KURIER WETERANA: O MISJACH MÓWIĄ ANDERS FOGH RASMUSSEN, GRZEGORZ KALICIAK, WOJCIECH DROBNY

MAGAZYN NIE TYLKO DLA ŻOŁNIERZY

POLSKA ZBROJNA

nr 5 (877)
MAJ 2019

ISSN 0867-4523

ANTONI ŁAPIŃSKI
o dramatycznych chwilach pod Monte Cassino

TEMAT NUMERU

Lider z charyzmą

W wojsku, biznesie, nauce czy sporcie przywódcy odgrywają kluczową rolę. Prowadzą ludzi do wspólnego zwycięstwa

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

05

9 770867 452908

POLSKA-ZBROJNA.PL

HISTORIA
POLSKA ZBROJNA

MAGAZYN O TRADYCJI I CHWALE
POLSKIEGO ORĘŻA

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna

Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA BORAŃSKA-CHMIELEWSKA

„JEŚLI TWOJA AKTYWNOŚĆ INSPIRUJE INNYCH DO TEGO, BY WIĘCEJ MARZYĆ, WIĘCEJ SIĘ UCZYĆ, WIĘCEJ DZIAŁAĆ I STAWAĆ SIĘ KIMŚ WIĘCEJ, TO JESTEŚ LIDEREM”, STWIERDZIŁ JOHN QUINCY ADAMS.

Te słowa szóstego prezydenta USA – mimo że wygłoszone dwa wieki temu – świetnie oddają założenia współczesnego leadershipu. Charyzmatyczny lider – przywódca jest potrzebny wszędzie tam, gdzie istnieje struktura społeczna. Zarządzanie zasobami ludzkimi nie jest proste, bo wiąże się z wzięciem na siebie odpowiedzialności za zespół, cel działania i przede wszystkim efekty podjętych decyzji. Przywództwa jednak nie można się tak po prostu nauczyć, potrzebne są przede wszystkim szczególne cechy charakteru. Odpowiednie szkolenia zaś dają warsztat osobom mającym predyspozycje lidera. W strukturze wojskowej przywódca formowany jest od początku ścieżki służbowej, niezbędną wiedzę i wyszkolenie zapewniają przyszłym oficerom szkoły wojskowe, które wzorują się na najlepszych uczelniach, np. amerykańskich, i inspirują przyjętymi w nich rozwiązaniami. W majowym numerze pokazujemy, jak ważna jest rola lidera, zarówno w środowisku wojskowym, jak i cywilnym.

18 maja 75 lat temu żołnierze 2 Korpusu Polskiego po dramatycznej, ale zwycięskiej bitwie weszli do ruin klasztoru na Monte Cassino. Był wśród nich Antoni Łapiński, wtedy świeżo upieczony absolwent gimnazjum. Przeszkolony na sanitariusza-noszowego wziął udział w legendarnej bitwie. Dziś tak wspomina tamte chwile: „Byliśmy z siebie dumni. Rachunek za pięć lat terroru i poniżenia został przez nas częściowo wyrównany. Nasz szlak bojowy, choć zwycięski, nie należał jednak wcale do łatwych, cały czas miałem w głowie hasło, które przeczytałem na drodze do Cassino: »Nie bądź głupi, nie daj się zabić«”.

Polscy weterani misji poza granicami państwa bronią bezpieczeństwa i pokoju w wielu regionach na świecie. Są przykładem odwagi i męstwa, a ich profesjonalizm i wyszkolenie doceniają dowódcy wojsk sojuszniczych. Z okazji ich święta obchodzonego 29 maja przygotowaliśmy we współpracy z Centrum Weterana informator, poświęcony m.in. nowelizacji przepisów, bohaterskiej bitwie polskich żołnierzy w Karbali, a także udziałowi weteranów w igrzyskach Invictus Games. ■

POLSKA ZBROJNA V 2019 / nr 5 (877)

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
14 Podążaj za mną
Liderzy w wojsku, biznesie, sporcie i polityce

PAULINA GLIŃSKA, MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
21 Kuźnia liderów

PAULINA GLIŃSKA
24 Za nim choćby w ogień

MAGDALENA MIERNICKA
28 Odbieram ci numer, zwracam nazwisko

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
31 Mistrz dowodzenia

EWA KORSAK
34 Tu się zadań nie wybiera
F-16 na „Orliku”

EWA KORSAK
40 15 minut przed startem

PIOTR RASZEWSKI
44 Niebo na ziemi

MICHAŁ ZIELIŃSKI
46 Nie boimy się wyzwań

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
50 Wyższa szkoła ratowania

ŁUKASZ ZALESIŃSKI
52 Jednostka do wielu zadań

MICHAŁ ZIELIŃSKI
58 Miasto duchów

KRZYSZTOF WILEWSKI
62 Drogowskaz na przyszłość
Modernizacja polskiego wojska

TADEUSZ WRÓBEL
68 Skrzydła małego smoka

TOMASZ OTŁOWSKI
72 Rewolucja dużego kalibru

TADEUSZ WRÓBEL
75 Wróżenie z liczb

KRZYSZTOF WILEWSKI
82 Kosmiczny wyścig

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
84 Uchylone wrota piekieł
Rozmowa z Wojciechem Góreckim

ROBERT SENDEK
90 Ciche przesuwanie granic

TOMASZ OTŁOWSKI
94 Lodowe koniczynki

ANDRZEJ WILK
98 Twierdza Kaliningrad

TADEUSZ WRÓBEL
103 Co ukrywa Kim?

WITOLD REPETOWICZ
105 Fabryka dżihadystów

MICHAŁ ZIELIŃSKI
108 Dobro, za którym czai się zło

ROBERT SENDEK
112 Oręż ubogich

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
118 I choć odchodzą, pamięć zostaje
Historyczne tradycje żołnierzy wojsk specjalnych

PIOTR KORCZYŃSKI
124 Nie bądź głupi, nie daj się zabić
Rozmowa z Antonim Łapińskim

PIOTR KORCZYŃSKI
128 Maj wojenny

ANNA DĄBROWSKA
130 Kawałek wolnej Polski

ROBERT SENDEK
134 Żołnierz, ornitolog, łgarz, morderca

KRZYSZTOF KUBIAK
137 Skradziony wojenny grób

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
138 Kadry pamięci
Projekt Michała Pańki

PIOTR KORCZYŃSKI
146 Dybuk spod Monte Cassino

ANNA DĄBROWSKA
149 Zawsze można coś zrobić

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER
151 Napisane przez życie
Rozmowa z Sylwią Winnik

JACEK SZUSTAKOWSKI
152 Laur dla zwycięzców

ANDRZEJ FĄFARA
154 Utwór nie do tańca

Zdjęcie na okładce:
Kiselev Andrey Valerevich/ Shutterstock

Znajdziesz nas tutaj:

WOJSKOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

DYREKTOR WOJSKOWEGO INSTYTUTU WYDAWNICZEGO
Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY
Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński, Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek, Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski, Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Andrzej Fąfara, Krzysztof Kubiak, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski, Witold Repetowicz, Andrzej Wilk, Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA
Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA
Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE
Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA
Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska, tel.: 261 845 387, 261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 19.04.2019 r.

DRUK
ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA
Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych „Polski Zbrojnej” można składać poprzez:
– www.polska-zbrojna.pl
– www.garmondpress.pl/prenumerata
– www.kolporter.com.pl/prenumerata
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: http://e-kiosk.pl, www.egazety.pl

PARTNER
Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl

Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów. Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400. Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

CZOŁG MID

MASZYNA INŻYNIERYJNO-DROGOWA

W latach 2000–2005 dostarczono dla jednostek inżynieryjnych Wojska Polskiego kilka czołgów inżynieryjnych, lepiej znanych jako maszyny inżynieryjno-drogowe, czyli MID. Pojazd ten opracowano na gąsienicowym podwoziu wozu technicznego WZT-3. W ramach kontraktu na czołg PT-91M dla Malezji wyprodukowano pojazdy MID-M na jego podwoziu.

BEZ PRZESZKÓD

Umiejscowiony z przodu lemiesz ma szerokość 4,2 m i wysokość 0,9 m, umożliwia m.in. usuwanie blokad lub zniszczonych pojazdów.

- **Masa wozu – 46,5 t**
- **Długość – 8,7 m**
- **Szerokość – 3,6 m (z lemieszem 4,2 m)**
- **Wysokość – 2,8 m**
- **Silnik – 12-cylindrowy, wysokoprężny o mocy 574 kW**
- **Prędkość – 60 km/h**
- **Zasięg – 500 km**
- **Załoga – 3+2 żołnierzy**
- **Wyposażenie specjalne – spychacz, manipulator z wysięgnikiem o maksymalnej długości 7,94 m i wymiennym osprzętem (łyżka, chwytak szczękowy, zrywak), wciągarka główna, wciągarka pomocnicza, urządzenie spawalnicze**

OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
FOT. OBRUM SP. Z O.O.

LEOPARDY NA SZOSIE

Czołgi Leopard i Abrams, BWP-y i wozy Bradley oraz samobieżne moździerze Rak i transportery Rosomak wyjechały z koszar, aby przetestować mobilność i przeprowadzić rekonesans terenu. W ćwiczeniach „Bull Run" na Mazurach wzięło udział 70 pojazdów i ponad 300 żołnierzy z 12 i 15 Brygady Zmechanizowanej, 1 Brygady Pancernej, a także Batalionowej Grupy Bojowej NATO. PZ, MM ■

Centrum serwisowe

Resort obrony zawarł kontrakt z firmą Leonardo MW o wartości 395 mln zł. Umowa offsetowa związana z realizacją programu zakupu śmigłowców AW101 w wersji ZOP/CSAR zawiera dziewięć zobowiązań offsetowych. Najważniejsze z nich dotyczy opieki technicznej nad planowanymi do zakupu maszynami. W Wojskowych Zakładach Lotniczych nr 1 w Łodzi powstanie centrum, które będzie się zajmowało serwisowaniem śmigłowców. Umowa offsetowa przewiduje również wsparcie prac badawczo-rozwojowych prowadzonych przez kadrę i studentów Centrum Morskich Technologii Militarnych Politechniki Gdańskiej.

Jak podkreślają przedstawiciele resortu obrony, umowa offsetowa gwarantuje, że łódzkie Centrum Wsparcia Eksploatacji Śmigłowców pozyska technologię i know-how, umożliwiające pełną obsługę techniczną, serwis i naprawy nowych polskich śmigłowców. PZ, KW ■

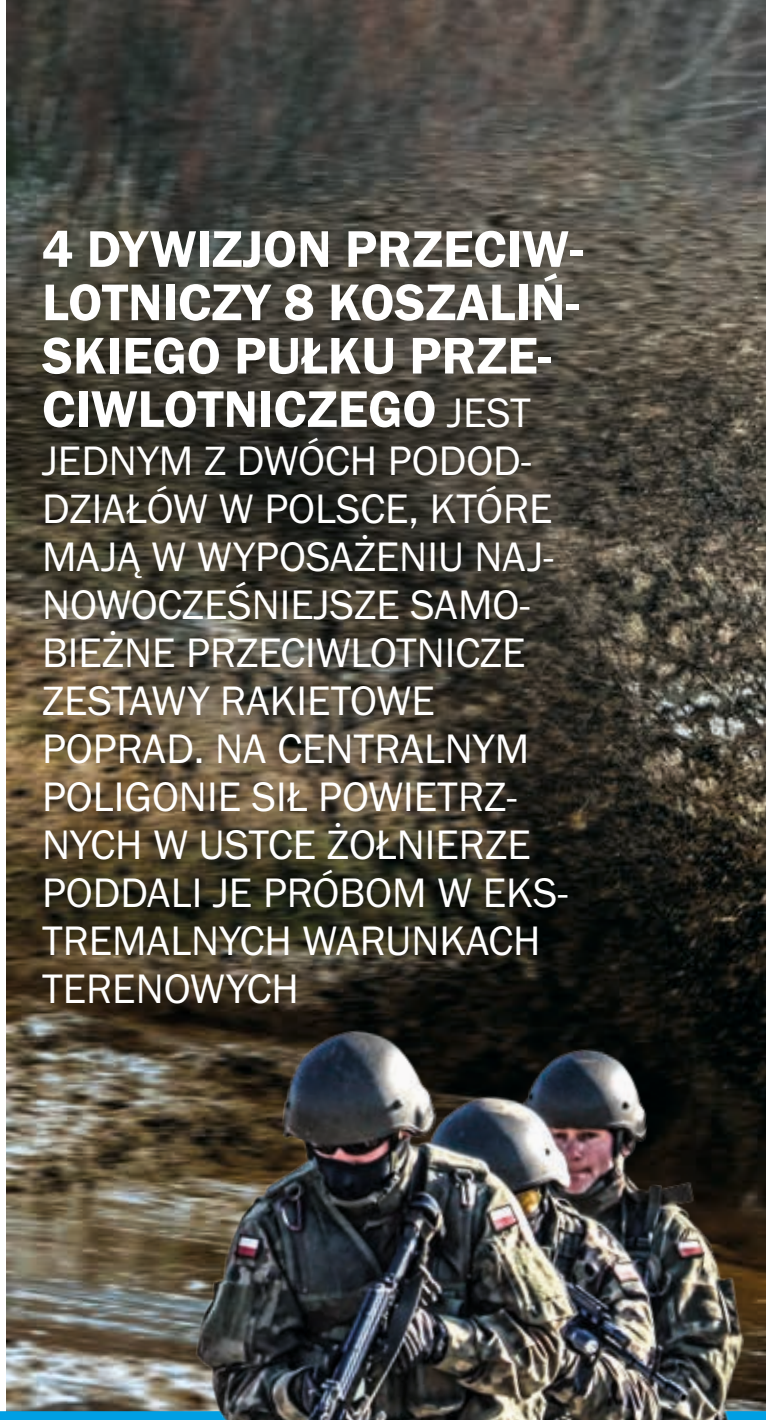

4 DYWIZJON PRZECIWLOTNICZY 8 KOSZALIŃSKIEGO PUŁKU PRZECIWLOTNICZEGO JEST JEDNYM Z DWÓCH PODODDZIAŁÓW W POLSCE, KTÓRE MAJĄ W WYPOSAŻENIU NAJNOWOCZEŚNIEJSZE SAMOBIEŻNE PRZECIWLOTNICZE ZESTAWY RAKIETOWE POPRAD. NA CENTRALNYM POLIGONIE SIŁ POWIETRZNYCH W USTCE ŻOŁNIERZE PODDALI JE PRÓBOM W EKSTREMALNYCH WARUNKACH TERENOWYCH

BŁAŻEJ ŁUKASZEWSKI/12 BZ

MUREM ZA MUNDUREM

Polacy mają coraz większe zaufanie do wojska.

W najnowszym sondażu Centrum Badania Opinii Społecznej (CBOS) dotyczącym zaufania Polaków do instytucji publicznych wojsko zajęło drugą pozycję. Wyprzedziła je tylko policja. AD

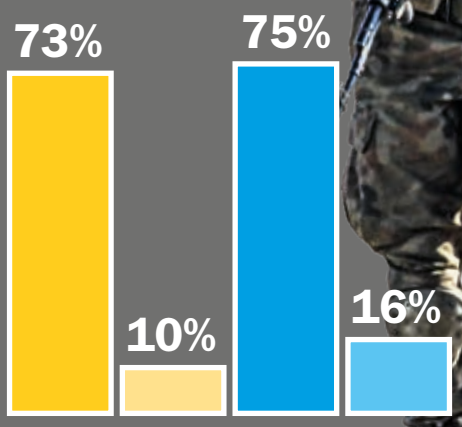

Wojsko – ocena pozytywna
Wojsko – ocena negatywna
Policja – ocena pozytywna
Policja – ocena negatywna

Sondaż CBOS przeprowadzono 7–14 marca 2019 roku.

MICHAŁ WAJNCHOLD

DOTACJE DO STRZELANIA

Kolejna edycja konkursu na budowę strzelnic.

Ministerstwo Obrony Narodowej ogłosiło trzeci konkurs na dotacje w ramach programu „Strzelnica w powiecie". Wybudowane obiekty mają umożliwić szkolenie m. in. uczniom klas wojskowych, członkom organizacji pozarządowych i żołnierzom. Program adresowany jest do jednostek samorządu terytorialnego szczebla gminnego, powiatowego lub wojewódzkiego. Żeby ubiegać się o dotację, samorząd musi dysponować nieruchomością oraz pokryć 20% kosztów budowy i wyposażenia. MON zakłada dwa warianty dofinansowania budowy. Do 800 tys. zł na strzelnicę stumetrową oraz 1 mln 200 tys. zł na dwustumetrową.

Nadesłane do początku maja oferty oceni komisja konkursowa. Na pierwszeństwo mogą liczyć inwestycje planowane w powiatach, gdzie znajdują się m.in. pododdziały wojsk obrony terytorialnej i klasy mundurowe.

NA PIERWSZEŃSTWO MOGĄ LICZYĆ **INWESTYCJE PLANOWANE W POWIATACH**

Pierwszą edycję konkursu MON ogłosiło pod koniec sierpnia 2018 roku. Do resortu wpłynęło 19 ofert, ale większość nie spełniała postawionych warunków. Ostatecznie komisja zakwalifikowała do dofinansowania dwa samorządy, ale nie podjęły się one realizacji zadania w 2018 roku. Do drugiej edycji, ogłoszonej w styczniu tego roku, zostało zgłoszonych 12 ofert. Pięć z nich zostało zakwalifikowanych. PZ, PG ■

Zabytkowy Achilles

Niszczyciel czołgów trafił do Muzeum Broni Pancernej.

Przez 30 lat służył jako cel na belgijskim poligonie. Potem dzięki wsparciu ministerstw obrony i spraw zagranicznych, w czerwcu 2015 roku, brytyjsko-amerykański niszczyciel czołgów Achilles IIC trafił do Polski. Zajęli się nim fachowcy z Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych w Poznaniu. Dziś odremontowany wóz nie tylko świetnie wygląda, lecz także jeździ. Trafił do Muzeum Broni Pancernej w Poznaniu. „Z takich wozów korzystali podczas II wojny światowej nasi żołnierze", mówi ppłk Tomasz Ogrodniczuk, szef Muzeum.

Wóz do armii amerykańskiej trafił w 1942 roku, a na Wyspy Brytyjskie rok później. Po przeprowadzeniu zmian konstrukcyjnych i dodaniu innego działa pojazdowi nadano nazwę Achilles. Spośród polskich żołnierzy jako pierwsi, wiosną 1944 roku, achillesy dostali wojskowi z 1 Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. PZ, KW ■

Czołg z polskiego muzeum otrzyma oznaczenia 2 Dywizjonu 1 Pułku Artylerii Przeciwpancernej 1 Dywizji Pancernej.

KRZYSZTOF WILEWSKI

GRUPA B9 ZOSTAŁA POWOŁANA, ABY ZACIEŚNIĆ WSPÓŁPRACĘ MIĘDZY PAŃSTWAMI ZNAJDUJĄCYMI SIĘ NA WSCHODNIEJ FLANCE NATO.

LESZEK CHEMPEREK/CO MON

RAZEM JESTEŚMY SILNI

Spotkanie ministrów obrony państw grupy B9.

Ten szczyt udowadnia naszą solidarność, bliską współpracę i siłę", mówił minister Mariusz Błaszczak podczas inauguracji w Warszawie dwudniowego spotkania ministrów obrony państw grupy B9, czyli Bukareszteńskiej Dziewiątki: Polski, Bułgarii, Czech, Estonii, Litwy, Łotwy, Rumunii, Słowacji i Węgier. Szef polskiego MON-u przypomniał, że spotkanie odbywa się w siedemdziesiątą rocznicę utworzenia Sojuszu Północnoatlantyckiego, dwudziestą przystąpienia do NATO Polski, Czech i Węgier, piętnastą – pozostałych członków Bukareszteńskiej Dziewiątki. „Dokonaliśmy dobrego wyboru. Razem jesteśmy silni, razem możemy zapewnić bezpieczeństwo naszym państwom. Kraje wschodniej flanki stoją w pierwszej linii, zawsze są gotowe nieść pomoc sojusznikom. Jesteśmy nierozerwalną częścią NATO i nikt już nie wyobraża sobie Sojuszu bez nas". Ministrowie dyskutowali na temat bezpieczeństwa wschodniej flanki NATO, zacieśniania współpracy między członkami grupy B9, możliwości wniesienia wspólnego wkładu w poprawę zdolności obronnych i odstraszania Sojuszu, wspólnych ćwiczeń wojskowych oraz cyberbezpieczeństwa. Poruszono również kwestię współpracy państw grupy B9 z Unią Europejską. Chodziło przede wszystkim o wdrażanie globalnej strategii UE dotyczącej polityki zagranicznej, a także zaangażowania w projekty, takie jak PESCO czy Europejski Fundusz Obronny.

Grupa B9 została powołana, aby zacieśnić współpracę między państwami znajdującymi się na wschodniej flance NATO. Działalność zainaugurowała w 2014 roku w Warszawie, a rok później w Bukareszcie jej członkowie podpisali deklarację regulującą zasady współpracy. Szczyt grupy B9 w Polsce to drugie spotkanie ministrów obrony państw wschodniej flanki. Pierwsze odbyło się w 2018 roku w Rumunii. PZ, MM ■

SOJUSZNICZE ZAPLECZE

W Powidzu powstanie kompleks logistyczny.

Na terenie bazy w Powidzu w lipcu 2019 roku rozpocznie się budowa amerykańskiego składu uzbrojenia LTESM-C (Long Term Equipment Storage and Maintenance Complex). Powstaną magazyny, budynek konserwacji pojazdów, hale garażowe. Kompleks o powierzchni prawie 300 tys. m^2 pozwoli na przechowywanie sprzętu i broni dla jednej pancernej brygady amerykańskiej armii. Według wstępnych szacunków skład powinien zostać ukończony w dwa lata. Koszty inwestycji, oceniane na około 250 mln dolarów, pokryje Sojusz Północnoatlantycki z programu NATO Security Investment Program (NSIP), który obejmuje inwestycje w budowę infrastruktury wsparcia jego sił, m.in. systemów łączności i informatyki w obronie powietrznej i dowództw wojskowych.

Jak wyjaśnia Irina Novakova z biura prasowego Kwatery Głównej NATO, budowa w Polsce kompleksu dla Amerykanów jest inwestycją strategiczną dla całego Sojuszu. „Jest to część prac zmierzających do zwiększenia gotowości bojowej naszych sił. Pokazuje, że poważnie podchodzimy do mobilności i naszej zdolności do wzmocnienia wschodniej części Sojuszu". O zlecenia w przetargach na budowę kompleksu mogą ubiegać się wyłącznie firmy z państw należących do NATO. Wybór najlepszych ofert nastąpi na przełomie czerwca i lipca 2019 roku. PZ, KW ■

PATROLE NAD MORZEM

Trzecia zmiana PKW „Sophia".

We włoskiej bazie lotniczej Sigonella stacjonuje już III zmiana polskiego kontyngentu w misji Unii Europejskiej „Sophia". Tworzy ją ponad 80 żołnierzy, głównie z Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej, pod dowództwem kmdr. por. pil. Cezarego Zygmunta. Dysponują oni samolotem patrolowo-rozpoznawczym Bryza. W misji Polska bierze udział od lutego 2018 roku. Zadaniem Polaków są loty patrolowe nad Morzem Śródziemnym. Z pokładu bryzy załoga wypatruje podejrzanie zachowujących się statków, które mogłyby przemycać do Europy na przykład paliwo, a także łodzi z nielegalnymi imigrantami. Żołnierze nie tylko patrolują morze, lecz także szkolą libijską armię i straż przybrzeżną.

Polacy zostaną na Sycylii co najmniej trzy miesiące. PZ, ŁZ ■

TOMASZ MIELCZAREK/7BOW

Gen. broni Tadeusz Buk
zginął 10 kwietnia 2010 roku w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem. Był wówczas dowódcą wojsk lądowych.

ŻOŁNIERSKI PATRON

Patronem 18 Dywizji Zmechanizowanej zostanie gen. broni Tadeusz Buk. „To żołnierz, który wyróżniał się zapałem, zaangażowaniem i wiedzą", mówił o oficerze minister Mariusz Błaszczak. Jak podkreśla dowódca 18 DZ gen. dyw. Jarosław Gromadziński, jednostka powstaje w tym samym regionie, gdzie kiedyś stacjonowała 1 Warszawska DZ, którą dowodził generał. PZ, MM ■

Człowiek jest tyle wart, ile dobrego uczynił dla innych…

Niech te słowa będą pocieszeniem w bólu po stracie
Mamy
dla naszej redakcyjnej Koleżanki
Marii Janowskiej.
Szczere wyrazy współczucia składają Jej
dyrekcja oraz koleżanki i koledzy
z Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

Edukacja na celowniku

Podchorążowie ćwiczą w strzelnicy kontenerowej.

Nowa inwestycja w Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu umożliwia naukę prowadzenia strzelań sytuacyjnych w ruchu, indywidualnie lub w parach. Dzięki strzelnicy kontenerowej stworzono też warunki do prowadzenia m.in. kursów BLOS, czyli bezpiecznego posługiwania się bronią. W strzelnicy może prowadzić ogień jednocześnie dwóch żołnierzy. Mogą to robić maksymalnie z 25 m do wyświetlanych tarcz lub sylwetek przeciwnika ukazujących się podczas krótkich projekcji filmowych. BP ■

ARTUR ORZECHOWSKI (3)

MICHAŁ NIWICZ (3)

Srebrne Buzdygany

WYJĄTKOWE ŚWIĘTO! JUŻ PO RAZ 25. WRĘCZYLIŚMY NAGRODY „POLSKI ZBROJNEJ” LUDZIOM, KTÓRZY ZMIENIAJĄ ARMIĘ.

Laureaci odebrali swoje nagrody podczas uroczystej gali w warszawskim teatrze Palladium. Miesięcznik „Polska Zbrojna” oraz kapituła uhonorowali w ten sposób sześć osób: kpt. Tomasza Dembińskiego, instruktora walki wręcz z 15 Brygady Zmechanizowanej, gen. dyw. Krzysztofa Motackiego, dowódcę Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód, ppłk. Jarosława Neffego, kierownika Ośrodka Szkolenia Personelu Taktycznych Zespołów Kontroli Obszaru Powietrznego Lotniczej Akademii Wojskowej, kpt. Anitę Podlasin, ratownika medycznego z Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego, sierż. Krzysztofa Śliwińskiego, strażaka wojskowego z 20 Bartoszyckiej Brygady Zmechanizowanej, oraz mjr. Aleksandra Tarnawskiego, cichociemnego – w jego imieniu nagrodę odebrał płk Mariusz Pawluk, dowódca GROM-u. Nagrodę czytelników portalu polska-zbrojna.pl, otrzymał płk Szczepan Głuszczak, szef wydziału multimediów Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej oraz twórca „Projektu Wojownik”. Na gali ogłosił, że przekaże swoją nagrodę na aukcję, z której dochód zasili konto jednego ze stowarzyszeń działających na rzecz weteranów.

Minister Mariusz Błaszczak do laureatów Buzdyganów napisał list, który

Dyrektor WIW-u wyróżnił dziennikarzy projektu Wawa Bohaterom, z kolei prezes PGZ nagrodził trzech swoich pracowników: Jakuba Bytnera, Tomasza Gugałę oraz Jacka Żołnierkiewicza.

w jego imieniu przeczytała Agnieszka Glapiak, dyrektor Centrum Operacyjnego MON: „Na straży prestiżu wojskowych Oskarów stoi co roku kapituła składająca się z laureatów poprzedniej edycji. To gwarancja, że do nagrody nominowane są osoby wyjątkowe i szanowane w Wojsku Polskim”, napisał minister.

Izabela Borańska-Chmielewska, redaktor naczelna „Polski Zbrojnej”, podkreśliła z kolei na gali, że już od ćwierćwiecza w ten sposób honorujemy ludzi, którzy mają odwagę zmieniać polskie wojsko: „Przez 25 lat Buzdygan został przyznany ponad 200 laureatom – marynarzom, pilotom, żołnierzom wojsk specjalnych, weteranom misji zagranicznych i dyplomatom. Generałom, porucznikom, szeregowym. A także cywilom: naukowcom, dziennikarzom, gwiazdom sportu światowego. Łączy ich pasja, wizja i pracowitość. I coś, z czym się człowiek podobno rodzi – charyzma”. EK ■

Nagroda „POLSKI ZBROJNEJ” 25 lat BUZDYGANY

PATRONAT HONOROWY
MARIUSZA BŁASZCZAKA
MINISTRA OBRONY NARODOWEJ

MECENAS

MINISTERSTWO OBRONY NARODOWEJ

PGZ
POLSKA GRUPA ZBROJENIOWA

PARTNER SREBRNY

AGENCJA MIENIA WOJSKOWEGO

AMW SINEVIA

TELDAT

INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

PARTNER BRĄZOWY

CENZIN

PGO

MSPO

WPH
WOJSKOWE PRZEDSIĘBIORSTWO HANDLOWE

GALA ZORGANIZOWANA BEZ UDZIAŁU ŚRODKÓW BUDŻETOWYCH

PODĄŻAJ ZA MNĄ

Potrafią przekonać do siebie innych ludzi. Inspirują, motywują, wyznaczają cel. Liderzy. Obecni są nie tylko w wojsku, lecz także w polityce, biznesie i sporcie.

PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Dwight Eisenhower, amerykański dowódca wojskowy i prezydent USA, mawiał, że tym, co decyduje o sile przywódcy, jest umiejętność przekonania jego pracowników, by z własnej woli zrobili to, czego on chce. Gdy w czasie II wojny światowej Eisenhower był naczelnym dowódcą alianckich sił ekspedycyjnych, przeprowadził wśród swoich podwładnych pewien eksperyment. Wziął łańcuch i ułożył go w stos. Następnie zapytał: „Jeśli popchnę ten łańcuch, w którą stronę się przemieści?". Usłyszał wiele odpowiedzi. Poprawna brzmiała: „Nie wiadomo". Potem było kolejne pytanie: „Jeśli podniosę łańcuch za jego koniec i pociągnę go, w którą stronę się przemieści? Odpowiedź brzmiała: „Podąży za tobą".

„To istota przywództwa. Jeśli popychasz ludzi, tak naprawdę nie wiesz, w którą stronę pójdą. Jeśli jednak potrafisz ich poprowadzić i sprawisz, że pójdą za tobą, będzie to dowód na to, że masz umiejętności potrzebne do tego, by być przywódcą. Przywództwo jest darem. Nie można go kupić, nie można go sprzedać, nie można się nim wymienić. Albo je masz, albo nie", mówił Bob Davids, amerykański projektant i przedsiębiorca, w wykładzie na temat przywództwa we współczesnym świecie.

Anna Piekut: „Rzemieślnik zgodnie z planem wykonuje mnóstwo pożytecznych rzeczy, ale to artysta ma charyzmę, iskrę, to coś, dzięki czemu jest w stanie nadać tym rzeczom jakiś nowy kształt, bardziej zaangażować do nich ludzi".

AAA POTRZEBNY OD ZARAZ

Kilka lat temu Światowe Forum Ekonomiczne w Genewie przeprowadziło badania wśród ponad 1700 różnego rodzaju ekspertów, by określić tendencje obowiązujące w leadershipie. Jednym z wniosków było to, że świat znalazł się w obliczu kryzysu przywództwa i brakuje silnych, skutecznych liderów. „Ma to związek z przeobrażeniami w otoczeniu światowym: żyjemy w pędzie, czujemy się zagubieni, zatracamy relacje. Powstało zatem zapotrzebowanie na nowy sposób przewodzenia ludźmi", mówi dr Marek Pawlak, były wojskowy, wykładowca w Akademii Sztuki Wojennej, szkoleniowiec z doświadczeniem w wojsku i biznesie.

Leadership nie jest jednak niczym nowym. Jego źródeł można się doszukiwać na przykład w postawach dowódców wojskowych odnoszących sukcesy w walce. Wystarczy sięgnąć chociażby do naszej historii, żeby przywołać takie postaci, jak Władysław Jagiełło, Tadeusz Kościuszko czy Józef Piłsudski. Dziś jednak na przywództwo trzeba spojrzeć szerzej i nie ograniczać go jedynie do relacji między żołnierzami a dowódcą. Kierowanie ludźmi pojawia się tam, gdzie powstają różnego rodzaju wspólnoty i tworzy się władza. „W każdym wypadku mamy do czynienia z jednakowymi mechanizmami działania. Różny jest oczywiście kontekst, inne są cele każdej organizacji i konsekwencje działań. W armii negatywnymi skutkami mogą być np. straty ludzkie, w biznesie – finansowe, a w polityce – mniejsze poparcie społeczne", tłumaczy dr Pawlak.

Eksperci przyznają, że tak naprawdę prawdziwych liderów jest niewielu. „Cała rzesza tylko o przywództwie marzy, a zapomina o fundamentalnych kompetencjach menedżerskich. Bez nich nie da się być prawdziwym liderem, a co więcej, nie da się nim stać z dnia na dzień. To długie, mozolne, konsekwentne pogłębianie swojej wiedzy, rozwijanie umiejętności i budowanie autorytetu", wylicza Waldemar Dziwniel, konsultant najwyższej kadry menedżerskiej z ponad 20-letnim stażem, prezes Fabryki Motywacji, firmy doradczo-szkoleniowej z dziedziny zarządzania zasobami ludzkimi. Słowo „lider" często bywa też nadużywane. Poniekąd wynika to z mody na bycie w czołówce, ale też z nienazywania rzeczy po imieniu i zamiłowania do wielkich słów. „Pewne pojęcia celowo są sztucznie kreowane, bo przyciągają uwagę. Nie ma wątpliwości, że lepiej niż »kierownik« brzmi słowo »lider«", mówi Anna Piekut, specjalista do spraw rekrutacji w Fabryce Motywacji.

Zastosujmy więc analogię: tak jak w armii dowodzenie jest mylone z przywództwem, tak w środowisku cywilnym permanentnie myli się menedżera z liderem. „Ten pierwszy stawia cele i sprawdza, jak zostały one zrealizowane. Przewodzenie jest niczym innym jak tchnieniem ducha w to wszystko. Trudno to opisać, łatwiej zauważyć", dodaje Waldemar Dziwniel. Anna Piekut twierdzi, że przywództwo to pewnego rodzaju sztuka, i wskazuje na jeszcze inną analogię: „Rzemieślnik zgodnie z planem wykonuje mnóstwo pożytecznych rzeczy, ale

English version: polska-zbrojna.pl

MATEJ KASTELIC/SHUTTERSTOCK

PRZYWÓDCY INSPIRUJĄ, WYZNACZAJĄ CEL. BYCIA LIDEREM NIE MOŻNA SIĘ NAUCZYĆ, TRZEBA MIEĆ CHARYZMĘ, UMIEĆ BUDOWAĆ ZAANGAŻOWANIE LUDZI

to artysta ma charyzmę, iskrę, to coś, dzięki czemu jest w stanie nadać tym rzeczom jakiś nowy kształt, bardziej zaangażować do nich ludzi. Nie każdy rzemieślnik może stać się artystą, ale też nie da się być artystą bez odpowiedniego przygotowania i wiedzy".

W BUTACH PRACOWNIKÓW

Nawet dla kogoś, kto tę wiedzę posiądzie, leadership wciąż może pozostać w sferze marzeń, bo warunkiem koniecznym do pociągnięcia za sobą ludzi jest zestaw różnorodnych cech osobowości, które można wykorzystać do zarządzania zespołem. Jaki więc powinien być lider? Charyzmatyczny, kreatywny, zaradny, cieszący się autorytetem, otwarty, potrafiący zjednywać ludzi – na pewno tak. Cechy dobrego przywódcy można mnożyć, ale zdaniem dr. Pawlaka nasze wyobrażenie o liderze nierzadko mija się z rzeczywistością: „Skuteczny lider rzadko jest współczujący i przyjacielski. Nigdy nie może być kumplem, bo zmiany, które wprowadza w swojej organizacji, często są wbrew woli ogółu. Dlatego wiele książkowych definicji lidera to dla mnie często mitologizacja tematu".

Pawlak mówi wręcz o „pozytywnym psychopacie". „Pożądani i skuteczni liderzy mają, niestety, w sobie wiele cech psychopatów. Wpisują się w oczekiwania ludzi, potrafią zagwarantować im poczucie bezpieczeństwa i sprawczości. Liderzy odczytują emocje i potrafią je wykorzystywać, by planować i przekonywać innych do skutecznych działań, niestety często też destrukcyjnych", wyjaśnia Marek Pawlak. „To nie będzie na pewno osoba, która każdego dnia z uśmiechem poklepuje nas po plecach. Lider musi być stanowczy, ale równocześnie fair. Powinien umieć odpowiednio dyscyplinować, ale też pozytywnie motywować zespół, by osiągnął nadrzędny, ale zrównoważony, dobry dla organizacji cel", dopowiada. Prezes Fabryki Motywacji wskazuje z kolei: „Radykalna zmiana swoich cech osobowych, stanie się kimś innym tylko po to, by móc aspirować do roli lidera, to pewnego rodzaju schizofrenia. To się nie może udać" mówi.

W praktyce nawet szef, który jest doskonałym fachowcem, wiele nie ugra, gdy nie zna się na ludziach, nie umie budować relacji w zespole i poczucia wartości teamu. „Liderzy powinni zwrócić szczególną uwagę na komunikację między ludźmi. Zarówno w armii, jak i biznesie mamy z tym ogromny pro-

blem. Podczas szkoleń często się okazuje, że i dowódcy, i menedżerowie niewiele wiedzą o swoich podwładnych", przyznaje dr Pawlak. W takich wypadkach trudno mówić o współdziałaniu. „Jeden dział nie wie, czym zajmuje się drugi. Każdy skupiony jest na swoich obowiązkach, ludzie nie spotykają się na odprawach, nie widują w sytuacjach nieformalnych. Nie wiedzą, że współdziałanie służy całej organizacji. Myślałem, że to oczywiste, a jednak niezrozumienie tematu bardzo mnie zaskoczyło", przyznaje Piotr Gąstał, były dowódca Jednostki Wojskowej GROM.

Grzegorz Kokot, prezes firmy szkoleniowej Mind Valve, w pracy zajmuje się psychologią przywództwa i zarządzania oraz behawioralnymi aspektami bezpieczeństwa. Kilka lat temu jako instruktor prowadził zajęcia z przywództwa na kursie Lider, organizowanym przez ówczesne Dowództwo Wojsk Lądowych. „Przywództwo to budowanie więzi z podwładnymi, wymaga aktywnego uczestnictwa i wyjścia zza biurka. Te najsilniejsze więzi powstają najczęściej w wyniku wspólnych, często ekstremalnych przeżyć. Wystarczy spojrzeć na relacje wśród żołnierzy, którzy jeździli na misje. Byli ze sobą non stop, wspólnie przeżywali trudne sytuacje", mówi Kokot. I dlatego, jak zauważa ekspert, by zrozumieć swoich podwładnych, lider musi wejść w ich buty, razem z nimi przekroczyć jakieś granice.

„Prowadziliśmy szkolenie w firmie, która borykała się z problemami związanymi z zarządzaniem, począwszy od kierownika zakładu w dół. Postanowiliśmy zrobić dla wszystkich kierowników dobowe zajęcia w lesie. Jeden z szefów, mimo że nie musiał, zdecydował się na udział w zajęciach. Z pracownikami mierzył się w zadaniach, przeszedł z nimi wszystkie kałuże, tak jak oni marzł i odczuwał ból. W taki prosty sposób zyskał sobie szacunek, co potem procentowało przez lata", mówi Kokot.

FABRYKA MOTYWACJI

Waldemar Dziwniel: „Cała rzesza tylko o przywództwie marzy, a zapomina o fundamentalnych kompetencjach menedżerskich. Bez nich nie da się być prawdziwym liderem".

PRZYWÓDCY TO NIE TYLKO PREZESI KORPORACJI, LECZ TAKŻE DZIAŁACZE SPOŁECZNI, PRZEDSTAWICIELE ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH, NAUCZYCIELE, DUCHOWNI

WSZYSCY ZA JEDNEGO

Dlaczego tak ważna jest znajomość personelu? Jeśli lider zna swoje otoczenie, to dobrze się z nim komunikuje, ale też potrafi aktywizować ludzi i wykorzystać ich zdolności w odpowiednim momencie. Chodzi np. o to, by wiedzieć, na kim można polegać w sytuacjach kryzysowych. Waldemar Dziwniel podkreśla, że lider ma dostrzec w ludziach to, co w nich najlepsze, a nie da się tego zrobić, jeśli nie zbuduje się z nimi relacji. „To podwładni czynią liderów, idąc za nimi, inspirując się, realizując ich cele. Za sukcesami, zyskami zawsze stoi jakiś zespół ludzi. By wymyśleć projekt kampanii wojny polsko-radzieckiej w 1920 roku, trzeba było być Piłsudskim, ale przecież on sam tego nie dokonał, on pociągnął za sobą ludzi, którzy byli gotowi zrobić dla niego wszystko", mówi Dziwniel.

Funkcja lidera wiąże się też więc z umiejętnością podejmowania decyzji i delegowania zadań. „Założyciele firmy Google na początku każdą rekrutację przeprowadzali osobiście. Teraz, jako jedna z najbardziej pożądanych firm na rynku, liczy tak wielu pracowników, że byłoby to po prostu niemożliwe. Tam nie ma ludzi przezroczystych, każdy jest jakiś. Ten wymagający model doboru kadry to nic innego jak efekt decyzyjności szefów, zaufania, ale także

MICHAŁ NIWICZ

Dr Marek Pawlak: „Żyjemy w pędzie, czujemy się zagubieni, zatracamy relacje. Powstało zatem zapotrzebowanie na nowy sposób przewodzenia ludźmi".

BOB DAVIDS O PRZYWÓDZTWIE

W Chinach stworzyłem firmę budowlaną. Zacząłem z garstką ludzi, w końcu miałem 800 pracowników. Musieliśmy zbudować fabrykę. Czasami jechałem do Guangzhou i przechadzałem się po placu budowy. Pewnego deszczowego popołudnia, gdy obchodziliśmy fundamenty, zajrzałem do dołu i zobaczyłem kilku robotników instalujących rurę ściekową. [...] Wystarczyło mi wiedzy technicznej, by poznać, że tymi rurami nic nie popłynie. [...]

Miałem zamiar powiedzieć im o tym, gdy zdałem sobie sprawę, że nie mówię po chińsku. Zdjąłem więc buty i wskoczyłem do wykopu. Wiedziałem, że jednocalowy kamyk pod jednym końcem poziomicy da nam niezbędne nachylenie. Tego właśnie potrzebowaliśmy. Bez słowa chwyciłem poziomicę, wziąłem kamyk, przytrzymałem i skinąłem na nich, by podsypali nieco piasku. Udało się, więc podszedłem do kolejnej rury, zrobiłem to samo, a przy trzeciej przekazałem pracę robotnikom. Pilnowałem, by zrobili to dobrze.

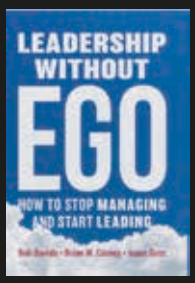

Potem włożyłem buty i wróciłem do hotelu. Dziś myślę, że [...] gdybym się na nich wydarł, rozkazując im, co mają zrobić, nie wiedziałbym, w którą stronę się to potoczy. Pokazanie im dokładnie, co mają zrobić, stało się pewnym symbolem tego, że jak będzie trzeba, to będę wskakiwał do wykopów razem z nimi. Nie miałem pojęcia, że będzie to takie mocne, ale naprawdę się opłaciło. Władza przychodzi, gdy ludzie, którymi przewodzisz, dają ci swoje wsparcie". ■

Cytat pochodzi z wygłoszonego w 2015 roku wykładu amerykańskiego projektanta i przedsiębiorcy Boba Davidsa „Przywództwo bez ego".

dzielenia się władzą z pracownikami odpowiedzialnymi za rekrutację", mówi Dziwniel.

Jedną z ważniejszych dziś tendencji, na którą żaden z liderów nie może pozostać obojętny, jest zarządzanie przez odwoływanie się do wartości. „To może być np. wysoka jakość życia, choć w praktyce zdarzają się też nieumiejętne odwoływania do abstraktów. Musi pojawić się konkret, by zaangażować ludzi", mówi prezes Fabryki Motywacji. Takie wartości może nieść ze sobą wewnętrzna kultura firmy – to, co ludzie o niej myślą, jak postrzegają sposób zarządzania, jakość pracy, rolę człowieka. „Przywiązuje się dziś wagę do wizerunku zewnętrznego firmy, tymczasem o jej sile i warunkach do kreowania liderów decydują w głównej mierze uwarunkowania wewnętrzne. Przykład idzie z góry. Jeśli prezes zarządu i najwyższa kadra menedżerska cały czas szukają nowych, coraz to lepszych metod działania, to taką potrzebę zmiany dostrzegą też pracownicy. Gorzej, gdy ktoś jest przekonany o swojej wartości, nieomylności i o tym, że jest niezastąpiony. Taki narcyzm, mimo szczytnych haseł na sztandarach, z pewnością nie sprzyja kreowaniu liderów", ocenia Kokot.

Czy liderzy są potrzebni? Zgodnie z teorią potrzebujemy kogoś, kto nam pokaże kierunek. „Było wiele eksperymentów mających sprawdzić, czy społeczeństwo potrzebuje liderów. W Moskwie na przykład muzycy orkiestry próbowali grać bez dyrygenta. Znali nuty, tempo, słyszeli siebie nawzajem. Ale nie wyszło", mówi Dziwniel. Trzeba więc przyjąć, że w każdym środowisku – wśród polityków, w Kościele, wojsku, biznesie – musi być ten, który poprowadzi za sobą innych. ■

DEFENDERE PATRIAM LEX NOSTRA

NASZYM PRAWEM OBRONA OJCZYZNY

ZOSTAŃ ŻOŁNIERZEM
18 DYWIZJI ZMECHANIZOWANEJ

ZADZWOŃ DO NAS!

261 351 405

261 351 410

ZNAJDŹ NAS:

@ZELAZNADYWIZJA

@ZELAZNA_DYWIZJA

#ŻELAZNADYWIZJA #18DZ

PAULINA GLIŃSKA
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Kuźnia liderów

Wrocławską uczelnię wojskową nazywa się akademią liderów. Przywiązuje się tam bowiem dużą wagę do kształtowania kompetencji przywódczych przyszłych oficerów.

Eksperci zajmujący się leadershipem przyznają, że nie można się nauczyć bycia przywódcą. Po prostu albo się nim jest, albo nie. Dzięki odpowiedniemu treningowi można jednak sprawić, że zarządzanie ludźmi stanie się bardziej efektywne.

OD ŻOŁNIERZA DO DOWÓDCY

W Akademii Wojsk Lądowych szkolenie z przywództwa jest jednym z priorytetów zapisanych w strategii uczelni i programach nauczania. „Trudno byłoby jednak oczekiwać, że każdy absolwent studiów wojskowych zostanie w przyszłości przywódcą z wielką charyzmą – to sytuacja nierzeczywista”, zauważa ppłk dr Marcin Bielewicz, kierownik Studium Języków Obcych. Ale, jak podkreśla, uczelnia robi wszystko, by podchorążowie zdobyli odpowiedni poziom kompetencji, które pozwolą im w przyszłości dobrze dowodzić, a w niektórych wypadkach – stać się prawdziwymi liderami.

Wyzwanie jest niemałe. Świeżo upieczonemu podporucznikowi przychodzi dowodzić zaprawionymi w bojach podoficerami i szeregowymi, często z wieloletnim doświadczeniem w służbie, także w operacjach poza granicami kraju. „By podołali nowej roli, dajemy im porządny warsztat. Zadaniem naszych absolwentów jest rozwijanie tego potencjału w kolejnych latach służby”, mówi ppłk Bielewicz.

Kadra Zakładu Przywództwa Wydziału Zarządzania Akademii Wojsk Lądowych opracowała szczegółowy model rozwoju leadershipu u podchorążych. W pierwszym roku nauki wojskowi studenci uczą się zgodnie z hasłem „ja – żołnierz”. Wtedy młodzi ludzie zdobywają tzw. kompetencje bazowe, związane np. z systemem wartości. „Zwracamy uwagę m.in. na patriotyzm, uczciwość, szacunek, samodyscyplinę, lojalność, a także sprawność fizyczną. Podchorąży powinien zacząć utożsamiać się z uczelnią, czuć, że jej jest częścią”, mówi mjr dr Piotr Pietrakowski, kierownik Zakładu Przywództwa. W drugim roku nauki podchorąży kształci się zgodnie z hasłem: „ja – lider zespołu”. Podchorążowie z predyspozycjami przywódczymi uczestniczą w kursach z leadershipu, gdzie uczą się zarządzać małymi zespołami. „To tylko pozornie jest łatwe, bo jako dowódcy drużyn muszą wyegzekwować wykonanie zadania, gdy dysponują jedynie swoją osobowością i zdobytymi dotychczas umiejętnościami”, tłumaczy mjr Pietrakowski. Trzeci rok studiów układa się zgodnie ze wzorem „ja – dowódca”. Jest to teoretyczne i praktyczne →

ARCH. AWL

LEADERSHIP coraz częściej staje się przedmiotem współpracy AWL-u z uczelniami zagranicznymi. Placówka organizuje kurs przywództwa dla podchorążych z Europy i Stanów Zjednoczonych (International Military Leadership Course – IMLC).

przygotowanie podchorążych do roli pomocnika dowódcy plutonu, na które składają się treningi technik motywacyjnych i komunikacji. Kształcenie przez dwa ostatnie lata nauki opiera się na zasadzie „ja – przywódca". Przyszli oficerowie zdobywają zaawansowane kompetencje do przewodzenia. „Uczą się, jak delegować uprawnienia, budować relacje, pojawiają się elementy myślenia krytycznego. Chodzi o tzw. otwieranie im głów", mówi kierownik Zakładu Przywództwa. Oficer dodaje, że w rozwijaniu kompetencji przywódczych akademia chce korzystać ze sprawdzonych rozwiązań armii amerykańskiej.

Jedno z nich, z powodzeniem stosowane od lat w kształceniu kadetów amerykańskich, podsunął współpracujący z AWL-em Steven Horsley, weteran wojsk specjalnych USA, koordynator edukacyjny Uniwersytetu w Charleston i specjalista ds. przywództwa. „Zgodnie z jego podpowiedzią nasz model kształcenia powinien zakładać udział podchorążych starszych roczników w systemie dowodzenia pododdziałami szkolnymi młodszych roczników oraz pełnienie służb dyżurnych. Miałaby to być taka praktyczna namiastka przyszłych obowiązków, przejmowania odpowiedzialności, decyzyjności, wspierania podwładnych i dzielenia się doświadczeniem", dodaje mjr Pietrakowski. I przyznaje, że taka koncepcja jest już gotowa do wdrożenia.

SZERSZA PERSPEKTYWA

Leadership coraz częściej staje się przedmiotem współpracy Akademii Wojsk Lądowych z uczelniami zagranicznymi. Od 2013 roku placówka organizuje np. międzynarodowy kurs przywództwa dla podchorążych z Europy i Stanów Zjednoczonych (International Military Leadership Course – IMLC). Ubiegłoroczna edycja, w której wzięli udział wojskowi z Grecji, Łotwy, Włoch, Belgii i Austrii, była największym tego typu przedsięwzięciem w Europie. Ponad 30 uczestników mierzyło się z zadaniami praktycznymi, które miały sprawdzić ich umiejętności podejmowania decyzji pod presją czasu, stawiania i egzekwowania zadań, motywowania podwładnych.

Kursy to jednak nie wszystko. Kilkanaście miesięcy temu AWL zakończyła prace nad programem międzynarodowego semestru dla studentów wojskowych z Unii Europejskiej, w którym poza Polakami uczestniczyli też Austriacy, Węgrzy, Czesi i Rumuni. Chodzi o to, by każda z uczelni mogła poprowadzić bliźniaczy program nauczania, a podchorąży – niezależnie od tego, czy studiowałby w Austrii czy w Polsce, otrzymałby taką samą dawkę wiedzy.

Akademia kończy też fazę testową kolejnego międzynarodowego programu, który będzie się koncentrować na leadershipie. Chodzi o International Military Leadership Academy (IMLA), przygotowany z udziałem Grecji i Portugalii. Jego celem jest uzupełnienie programów szkoleniowych o rozwijanie kompetencji przywódczych. „Dostrzegamy, że w różnych krajach Unii Europejskiej są rozbieżności w procesie przygotowania przyszłych oficerów. Dla wszystkich uczelni wojskowych to sprawa niezwykle ważna, dlatego zdecydowaliśmy się na wspólny, międzynarodowy program", tłumaczy ppłk Marcin Bielewicz.

IMLA składa się z czterech międzynarodowych i krótkoterminowych kursów doskonalących,

TRZY PYTANIA DO

Olafa Koryciaka

Jako jeden z trzech Polaków studiujesz na uczelni w West Point, która od kilkuset lat pozostaje światowym liderem w kształceniu przyszłych dowódców. Co jest ich priorytetem w edukacji kadetów?

Misją akademii jest kształcenie dowódców liderów, którzy w każdej sytuacji będą potrafili podjąć decyzję i rozwiązać problem. Nauka w uczelni, w sumie trwająca 47 miesięcy, to nieustanne szlifowanie charakteru, kondycji, wiedzy wojskowej i ogólnej. Nasza codzienność oparta jest na zasadach: żyj honorowo, przywódź honorowo, dąż do doskonałości we wszystkim, co robisz. Wszystko w duchu takich wartości, jak obowiązek, honor, ojczyzna. Brzmi to może górnolotnie, ale zgodnie ze standardami uczelni połączenie tych wszystkich aspektów jest warunkiem koniecznym, by stać się liderem.

Jak wygląda to w praktyce?

Praktyka dowódcza już od drugiego roku studiów staje się dla nas codziennością. Kadeci dowodzą kolegami z pierw-

przygotowanych przez poszczególne kraje. Akademia wojskowa z Portugalii skupiła się na przywództwie i komunikacji, grecka przygotowała warsztaty z zarządzania kryzysowego, a polska, jako lider projektu, stworzyła dwa kursy dotyczące zarządzania stresem oraz motywowania. „Kursy doskonalące odbyły się już dwukrotnie. Pierwsza edycja była dla instruktorów, w kolejnej wzięli już udział kadeci", mówi mjr Pietrakowski. Kadra wrocławskiej akademii nie ma wątpliwości, że projekt przyczyni się do poprawy oferty edukacyjnej europejskich uczelni wojskowych, ale jak zaznacza ppłk Bielewicz, kursy nie zastąpią programowego kształcenia w ramach studiów, będą po prostu jej uzupełnieniem.

By kształtowanie kompetencji przywódczych nie kończyło się wraz z edukacją podchorążych, akademia wychodzi naprzeciw także absolwentom. Z myślą o nich już dwukrotnie został zorganizowany kurs przywództwa dla oficerów młodszych – dowódców plutonów. „Nasi absolwenci, choć teraz są już dowódcami, nie mają na co dzień zbyt wielu okazji, by szlifować swoje umiejętności przywódcze", mówi mjr Pietrakowski. W czasie szkolenia oficerowie doskonalili umiejętności budowania zespołu, podejmowania decyzji pod presją czasu, efektywnej komunikacji oraz skutecznego współdziałania. Po raz pierwszy do diagnozy kursantów wykorzystano nowoczesną technologię w postaci termoskanera STRD (skaningowa diagnostyka termoregulacyjna). Urządzenie pozwala określić profil badanego kursanta pod kątem predyspozycji i kompetencji przywódczych.

KOMENTARZ

DARIUSZ SKORUPKA

Wyzwania stojące przed siłami zbrojnymi wymagają nowego podejścia do edukacji przyszłych oficerów. Zgodnie z naszą strategią jednym z najważniejszych celów, które sobie stawiamy, jest stworzenie najlepszej uczelni dowódców w Europie. Przywiązujemy wagę do kształcenia naszych podchorążych w duchu przywództwa, pamiętając, że budujemy fundamenty pod stanowiska przyszłych generałów. ■

Gen. bryg. dr hab. inż. DARIUSZ SKORUPKA jest rektorem-komendantem Akademii Wojsk Lądowych.

SELEKCJA KANDYDATÓW?

Jeszcze jest sporo do zrobienia, jeśli chodzi o kształcenie. Problemem jest dobór kandydatów na studia wojskowe. Na razie, poza badaniami diagnostycznymi (lekarskie i psychologiczne), ochotnicy nie są weryfikowani pod kątem posiadania predyspozycji przywódczych. Władze uczelni zastanawiają się zatem nad zmianą procesu rekrutacji. „W tej chwili oceniamy świadectwo, sprawność fizyczną kandydata oraz to, jak się prezentuje w czasie rozmowy kwalifikacyjnej. To jednak nie oddaje w pełni, z kim mamy do czynienia", mówi kierownik Studium Języków Obcych.

Kadra Akademii Wojsk Lądowych analizuje stosowane w innych krajach systemy rekrutacyjne badające cechy przywódcze. „Narzędzia są różne: mogą to być testy, rozmowy z psychologiem czy zadania praktyczne. Trzeba się zastanowić, która z opcji pozwoli najlepiej ocenić cechy charakteru kandydatów", dodaje ppłk Bielewicz. Za przykład podaje jedną z brytyjskich uczelni wojskowych, która w czasie egzaminów wstępnych wymaga, by kandydaci wykonali jedno zadanie grupowe. Obserwowani przez instruktorów rekruci otrzymują za to ocenę opisową, która potem jest brana pod uwagę w ogólnej punktacji. ■

szego roku, a podczas kolejnych lat nauki stają się dowódcami plutonów i kompanii. Ci wyjątkowo zdolni trafiają z kolei na stanowiska dowódców batalionów i pułków. Kadeci są odpowiedzialni za młodszych kolegów, monitorują ich postępy w szkoleniu, prowadzą wykłady, treningi militarne, zajęcia. Robią więc wszystko to, czym będą się zajmować w przyszłości. Dzięki temu uczą się, jak skutecznie przekazywać wiedzę i inspirować podwładnych, zdobywają też niezbędne doświadczenie w relacjach przełożony–podwładny. Po takiej praktyce są gotowi, by objąć pierwsze stanowiska służbowe w jednostkach. Takie przygotowanie ma znaczenie o tyle, że młodzi oficerowie niejednokrotnie wysyłani są na misje zagraniczne. W sytuacjach bojowych doświadczenie dowódcze, które zdobyli w trakcie nauki, może przesądzić o życiu i zdrowiu podwładnych.

W West Point nie ma miejsca dla słabeuszy. Gęste sito selekcji przechodzi zaledwie 10% chętnych. Na jakie cechy zwraca uwagę akademia?

Każdy z nas musi przede wszystkim być mentalnie i fizycznie gotowy do codziennych wyzwań. Studia nie są łatwe, wymagają wielu wyrzeczeń, dobrej organizacji pracy i czasu, pracowitości. Liczą się dyscyplina, komunikatywność oraz szacunek do podwładnych. Przyszły dowódca musi się wykazywać innowacyjnością i umiejętnością dopasowania do sytuacji. Wykładowcy szczególnie mocno podkreślają zasadę „lead by example", czyli przykładu własnego. Każdy, kto aspiruje do miana lidera, musi być ekspertem w swojej dziedzinie, stanowić przykład dla podwładnych zarówno w kwestiach wojskowych, jak i tych niezwiązanych ze służbą. PG ■

Sierż. pchor. OLAF KORYCIAK z Wojskowej Akademii Technicznej studiuje w United States Military Academy w West Point.

Za nim choćby w ogień

Od wojskowego drylu i stukania obcasami ważniejsze stają się autorytet dowódcy i samodzielne myślenie.

PAULINA GLIŃSKA

MICHAŁ ZIELIŃSKI

W wojsku niby wszystko jest oczywiste – na czele żołnierzy stoi dowódca. Pada rozkaz, zadanie zostaje wykonane. Hierarchia oraz zasady panujące w armii nie pozostawiają w takich sytuacjach wiele miejsca na kreatywność. Liderzy wydają się zbędni. Czy aby na pewno?

NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH

„Leadership niezbędny jest w wojsku tak samo jak w świecie cywilnym. Nie zawsze wystarcza odwoływanie się do sztywnych reguł, rozkazów, stopnia czy stanowiska. Także w dowodzeniu trzeba być inspirującym, motywującym, trzeba wychodzić poza schematy", mówi st. chor. sztab. Sławomir Nastarowicz, starszy podoficer Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Problemem pozostaje odpowiedź na pytanie: jak kreować liderów? „Jakiś czas temu dokonano analizy tego, jak wygląda budowanie kompetencji przywódczych w naszej armii. Wniosek był smutny, bo okazało się, że nie istnieje jeden spójny system szkolenia i każdy bawi się na własnym podwórku. Szkolenie z przywództwa musi być scentralizowane, realizowane na każdym szczeblu dowodzenia, od drużyny w górę", przyznaje st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik, starszy podoficer Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej, pomysłodawca kursu przywództwa Lider, prowadzonego kilka lat temu w jednostkach wojsk lądowych.

Kurs Lider rodził się w bólach, bo kilkanaście lat temu mało kto dostrzegał potrzebę szkolenia z rozwijania u podoficerów umiejętności przywódczych. Wiedzę na ten temat ludzie czerpali z książek, filmów i od tych, którzy wracali ze Stanów Zjednoczonych po kursach organizowanych przez Akademię Starszych Podoficerów Armii USA (US Army Sergeants Major Academy). Wojtusika uznano za wywrotowca, gdy w 11 Batalionie Dowodzenia, gdzie wtedy służył, napisał wniosek o stworzenie centrum szkoleniowego specjalizującego się w przywództwie. „Dziś wiem, że nic nie zadzieje się bez ludzi, którzy czują i rozumieją potrzebę zmian. Ja wtedy takiego zrozumienia nie znalazłem", mówi podoficer. Nie ustawał jednak w wysiłkach. Okazja nadarzyła się, gdy trafił do szkoły podoficerskiej w Zegrzu, najpierw na stanowisko rzecznika prasowego, potem komendanta. Powoli zaczął przekonywać innych do nowych idei, a prowadząc zajęcia z żołnierzami, przemycał nadprogramowe zajęcia z leadershipu.

Skończył też studia z przywództwa i negocjacji. Praca dyplomowa, którą napisał, dotyczyła kursu Lider, z którym wkrótce ruszył do jednostek. Pierwsza edycja odbyła się w 2007 roku w 17 Brygadzie Zmechanizowanej. „Skupiłem wokół siebie ludzi, którzy doskonale zrozumieli ideę. Chcieli wyrwać się z marazmu, ale jednocześnie swoim zaangażowaniem, perfekcją, kompetencjami zaświadczali, że są liderami. Kilkunastu uczestników pierwszej edycji zostało później instruktorami. To oni byli kołem zamachowym pewnej innowacji w naszym wojsku", mówi st. chor. sztab. Wojtusik.

Kurs Lider szybko stał się elitarny. Dowódcy doceniali żołnierzy, którzy go ukończyli, wysyłali ich na kursy, potrafili umiejętnie i zgodnie z predyspozycjami podwładnych układać klocki kadrowe w jednostkach. Lider odbył się 46 razy. Z ponad 560 uczestników wszystkich edycji ukończyło go jedynie 220 żołnierzy. Najlepsi z najlepszych.

ZABRAKŁO EFEKTU DOMINA

Niestety Lider przeszedł do historii wraz z odejściem Wojtusika z armii. Choć kurs został sprawdzony w praktyce, a do tego zatwierdzony jako przygotowawczy dla dowódców plutonów i pomocników dowódców plutonów szykujących się do misji w Afganistanie, nie znalazł się nikt, kto mógłby go kontynuować. „Przywództwo to bardzo ciężki kawałek chleba. Niesie ze sobą nieustanną pracę, mnóstwo porażek, niewiele sukcesów, przysparza sporo wrogów i nieliczną grupę osób wspierających. A jaka zapłata? Żadna. Bardziej należy to rozpatrywać w kategoriach stylu życia", mówi chor. Wojciech Jackowski, jeden z instruktorów Lidera, który dziś służy w 5 Pułku Artylerii w Sulechowie.

Mimo to ślad po kursie pozostał w wojsku. „Dziś jeszcze wielu drapie się po głowie, gdy mowa o przywództwie, ale jednak coraz więcej żołnierzy rozumie, o co w tym chodzi. Ziarno zostało zasiane", mówi Wojtusik. Zajęcia z przywództwa prowadzi się w szkołach oficerskich i podoficerskich, a niektóre jednostki mają dla swoich żołnierzy praktyczne szkolenia z tej dziedziny. W 15 Brygadzie Zmechanizowanej na przykład od 2016 roku organizowany jest kurs dla podoficerów młodszych Wilk. „Takie inicjatywy pokazują, że jest potrzeba tego rodzaju szkoleń. Tyle tylko, że to raczej wyjątki potwierdzające regułę. Nie dość, że nauka jest nieusystematyzowana, to czasami sprowadza się do regułek, definicji i kilku slajdów. A z przywództwem jest jak z musztrą – trzeba je doskonalić cały

„Gdy przyglądam się dziś oficerom, którzy mogą stanowić przykład liderów, to widzę, że są to ludzie cechujący się niesamowitą umiejętnością komunikowania się z innymi, na każdym poziomie, niezależnie od tego, czy jest to prezydent, czy dowódca drużyny", mówi st. chor. sztab. Andrzej Wojtusik.

→

czas, szlifować w praktyce", przekonuje st. chor. sztab. Nastarowicz.

Dlatego żołnierzom najbardziej brakuje praktycznych szkoleń. Takich, jak chociażby to, które w 2018 roku w Dęblinie przeprowadzili Amerykanie. Międzynarodowy kurs został zorganizowany z inicjatywy Inter-European Air Forces Academy we współpracy z zespołem starszego podoficera Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. „Przywództwo jest priorytetem armii amerykańskiej w relacjach między żołnierzami. Przełożeni mają autorytet, potrafią inspirować podwładnych, pozwalają im na swobodę w działaniu. Wierzą, że nie środkami przymusu, ale właśnie motywacją, zaufaniem można sprawić, że ludzie będą sami chcieli pracować, by osiągnąć zamierzony cel", mówi kpr. Daria Ziarkiewicz, młodszy instruktor w Szkole Podoficerskiej Sił Powietrznych w Dęblinie, gdzie prowadzi zajęcia z przywództwa, psychologii i komunikacji społecznej.

Kpr. Ziarkiewicz przyznaje, że wiedza zdobyta na kursie nie poszła na marne. „Kurs stał się dla nas drogowskazem, zobaczyliśmy, co możemy zmienić, by nasze szkolenie było ciekawsze. Ostatecznie w programach przeznaczonych dla podoficerów niemal całą teorię przerzuciliśmy do e-learningu, dzięki czemu więcej godzin poświęcamy teraz na zajęcia praktyczne, warsztatowe", mówi.

W takim kierunku wojsko powinno podążać. „Nie musimy od razu organizować wielkich konferencji, sympozjów. Bo w gruncie rzeczy chodzi tylko o to, by dowódcy, zwłaszcza niższych szczebli, wykształcili w sobie i w otoczeniu poczucie, że są tymi, za którymi żołnierze idą nie ze względu na rozkaz i stopień. Tendencja jednak wciąż jest taka, że bardziej skłaniamy się w kierunku dowodzenia i formalnego autorytetu niż prawdziwego przywództwa", mówi Nastarowicz.

AUTORYTET ZAMIAST DRYLU

Mimo zwiększającej się świadomości na temat leadershipu, problemem wciąż pozostaje rozróżnienie pojęć „dowodzenie" i „przewodzenie". A to klucz do zrozumienia idei bycia liderem. „Wielu myli te pojęcia, łączy ze sobą. Często używa jako synonimów. Tymczasem dowodzenie jest uregulowane rozkazami, przepisami, hierarchią, objęte regulaminami. Przywództwo zaś rodzi się w sercach, wynika z predyspozycji człowieka, z jego umiejętności budowania zespołu, autorytetu, integrowania ludzi wokół swojej wizji i sprawienia, by podwładni wykonywali zadania, bo sami tego chcą, a nie dlatego, że muszą. Lider musi mieć w sobie tę iskrę", mówi podoficer w WOT.

Nie bez znaczenia jest komunikacja. Bo jeśli przywódca chce, by żołnierze go słuchali, sam musi umieć ich wysłuchać. „Gdy przyglądam się dziś oficerom, którzy mogą stanowić przykład liderów, to widzę, że są to ludzie cechujący się niesamowitą umiejętnością komunikowania się z innymi, na każdym poziomie, niezależnie od tego, czy jest to prezydent, czy dowódca drużyny", mówi Wojtusik.

NIE POWINNO SIĘ Z URZĘDU OKREŚLAĆ DOBRYM PRZYWÓDCĄ KOGOŚ, KTO OTRZYMAŁ STOPIEŃ, STANOWISKO. TU TRZEBA CZEGOŚ WIĘCEJ: CHARYZMY, WYJŚCIA POZA SCHEMATY

Cech prawdziwego lidera jest jednak znacznie więcej. „Co się stanie w sytuacji nietypowej, gdy na przykład na polu walki zabraknie łączności? Czy kapral będzie wiedział, co zrobić? Czy będzie czekał na rozkazy dowódcy, czy przejmie inicjatywę i sam znajdzie wyjście z sytuacji? To pokazuje, czy jest się liderem. Dlatego uważam, że nie powinno się z urzędu określać dobrym przywódcą kogoś, kto otrzymał stopień, stanowisko. Tu trzeba czegoś więcej: charyzmy, decyzyjności, wyjścia poza schematy, ale jednocześnie poruszania się w granicach wizji przełożonego", mówi Nastarowicz. Podoficer zauważa, że nie mniej istotny jest przykład własny. „Poza naturalnymi predyspozycjami ważne są wiedza, umiejętności, kompetencje. W założeniu lider musi być wzorem. Nie można od ludzi wymagać piątki z WF-u, jeśli samemu ma się trójkę. Podobnie jest ze znajomością języka angielskiego czy regulaminów", przyznaje podoficer ze Sztabu Generalnego.

Kpr. Ziarkiewicz zwraca uwagę także na aspekt humanistyczny przywództwa. „Chodzi o budowanie więzi z podwładnymi. Lubisz swojego dowódcę? Więcej dla niego zrobisz. Te więzi są niezwykle istotne i niekiedy liczą się bardziej niż stopnie wojskowe", mówi. A chor. Jackowski dodaje: „Przy modernizacji armii nie możemy zapominać, że w najlepszym czołgu, z najlepszym karabinem i za najlepszą kamizelką dalej będzie krył się człowiek-żołnierz, który będzie chciał mieć najlepszego dowódcę-przywódcę, za którym pójdzie w ogień".

Sporym krokiem na drodze rozwoju przywództwa w armii może okazać się podpisana przez ministra Mariusza Błaszczaka „Koncepcja rozwoju korpusu podoficerów zawodowych". Jednym z jej elementów są zmiany w programach kursów podoficerskich. „Nad propozycjami wciąż pracujemy, ale już dziś mogę zapewnić, że przywództwa wojskowego będzie znacznie więcej niż obecnie", mówi st. chor. sztab. Nastarowicz. Dokument zakłada też dwa modele rozwoju podoficerów – ci z predyspozycjami przywódczymi będą kwalifikowani na stanowiska dowódców, pozostali zostaną specjalistami.

Rozwijanie kompetencji przywódczych ważne jest także dla gen. broni Rajmunda T. Andrzejczaka, szefa Sztabu Generalnego WP. Kwestia ta stała się jedną z jego pięciu najważniejszych linii operacyjnych na trwającą kadencję. On sam tak rozumie tę ideę: „Nie chodzi o to, żeby dobry przywódca powiedział ludziom: zetnijcie drzewa i zbudujcie tratwę, żeby gdzieś dopłynąć. Chodzi o to, żeby wzbudzić w zespole, którym się kieruje, pragnienie żeglugi". I to jest istota przywództwa. ■

MBDA
MISSILE SYSTEMS

EXCELLENCE
AT YOUR SIDE

CAMM

na każdą pogodę
na każde zagrożenie
zawsze gotowy

CAMM to wysoce elastyczny system zaprojektowany w celu zwalczania gamy szybkoewoluujących zagrożeń z powietrza, zarówno dziś jak i w przyszłości. Sprawdzona interoperacyjność, zdolność do działania w każdych warunkach pogodowych i innowacyjna technologia suchego startu umożliwiają platformie CAMM dookólne rażenie celów powietrznych przy minimalnej sygnaturze wystrzału w podczerwieni i zapewnienie najwyższego poziomu ochrony sił.

PANOWANIE W POWIETRZU

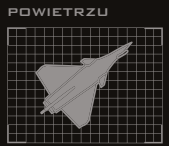

OBRONA POWIETRZNA

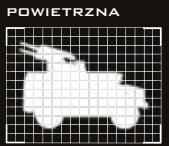

PRZEWAGA NA MORZU

KONTROLA POLA WALKI

www.mbda-systems.com

Odbieram ci numer, zwracam nazwisko

MAGDALENA MIERNICKA

Już na początku żołnierze czują się, jakby zostali rzuceni na pożarcie wilkom. Robią jednak wszystko, aby szkolenie ukończyć, bo wiedzą, że jak z niego wrócą, będą dowodzić watahą.

Tu nazwisko ani stopień nie mają znaczenia, wszyscy stają się numerami. Potem przychodzi czas na morderczy test ze sprawności fizycznej, szlifowanie taktyki, strzelanie i terenoznawstwo. Do tego ograniczona ilość snu, jedzenia oraz wiele pokonanych kilometrów. A na koniec test – trzydniowy patrol, podczas którego każdy musi udowodnić, że zdobytą wcześniej wiedzę ma w małym palcu. Wbrew pozorom to nie opis selekcji do wojsk specjalnych, lecz szkolenia dla podoficerów młodszych i kandydatów na podoficerów Wilk, które odbyło się w 15 Brygadzie Zmechanizowanej.

„»Wilk« to akronim od słów »waleczność«, »inicjatywa«, »lojalność« i »kreatywność« – cechy idealnego przywódcy. Kurs, który odbywa się w Brygadzie, ma je wydobyć z podoficerów, aby mogli skutecznie dowodzić podległymi im żołnierzami”, mówi st. chor. sztab. Sławomir Samborek, starszy pod-

Żołnierze muszą odpierać ataki napastników, bronić się przed ostrzałem moździerza, ratować zakładników z zasadzki, opatrywać i ewakuować rannych, poradzić sobie podczas ataku chemicznego, a przede wszystkim osiągnąć wyznaczony przez instruktorów cel.

BARTOSZ GRĄDKOWSKI/15 BZ

oficer dowództwa. „Dowódca drużyny w polskim wojsku przez wiele lat był niedoceniany, a przecież to właśnie na nim spoczywa odpowiedzialność za żołnierzy. Ale aby mógł działać, musi mieć nie tylko charyzmę, lecz także umiejętności, które sprawią, że pociągnie za sobą innych. Wilk ma mu w tym pomóc”, dodaje.

FALA KRYTYKI I MOTYWACJA

Dlatego na tym kursie liczy się każdy szczegół. Żołnierze muszą odpierać ataki napastników, bronić się przed ostrzałem moździerzem, ratować zakładników z zasadzki, opatrywać i ewakuować rannych, poradzić sobie podczas ataku chemicznego, a przede wszystkim osiągnąć wyznaczony przez instruktorów cel. Żeby do niego dotrzeć, muszą pokonać wiele kilometrów, przez cały czas dźwigając na plecach wszystko to, co umożliwi im przetrwanie tygodnia w terenie. Wszystkie zadania wykonują w czteroosobowych zespołach. Każdy po kolei jest dowódcą, medykiem, odpowiada za łączność i orientację w terenie, ale żaden nie wie, którą funkcję będzie pełnił podczas wykonywania kolejnego zadania.

Stres jest tym większy, że ich działanie czujnie obserwują instruktorzy, a także… koledzy z grupy. „Sprawiedliwa ocena innych to bardzo ważna umiejętność lidera. Dowódca powinien wiedzieć, czego oczekuje od podwładnych, a także umieć im wyjaśnić, dlaczego nie spełnili jego oczekiwań”, wyjaśnia chor. Samborek. „Nie każdy dobrze przyjmuje krytykę. Tymczasem podczas kursu żołnierze nawzajem się oceniają, a za chwilę muszą dalej razem działać, tu nie ma miejsca na urazy”.

„Czasem było lepiej, czasem gorzej. Najtrudniejsze okazało się pogodzenie wszystkich elementów. Bo tu liczyło się wszystko – taktyka, kondycja, a przede wszystkim umiejętność działania pod presją”, mówił tuż po ukończeniu kursu st. szer. Piotr Zach, celowniczy haubicy Goździk. „Najważniejsza była chyba wytrzymałość, bo z powodu słabego przygotowania fizycznego odpadło wiele osób. Umiejętności też miały duże znaczenie, bo każdy błąd, a później jego poprawianie kosztowało wiele energii”, wtórował mu kpr. Grzegorz Orłowski, działonowy BWP.

Nie wszyscy jednak mieli szanse się przekonać, jak smakuje zwycięstwo – zdobycie tytułu wilka. Wyzwaniu rzuconemu przez instruktorów usiłowało sprostać 40 żołnierzy, a słowa wypowiedziane na mecie przez szefa szkolenia brygady: „Odbieram ci numer, zwracam nazwisko”, usłyszało tylko 11 z nich. Co zgubiło pozostałych? „Przede wszystkim zawiodły kondycja i brak woli walki. My nie staramy się zrobić z żołnierzy komandosów, tylko ich pobudzić, aby sami sobie udowodnili, do jakiego wysiłku i poświęcenia są zdolni”, mówi por. Karol Rajcow, dowódca kompanii rozpoznawczej z Giżycka, który kierował szkoleniem. „Nikomu nie zabieramy numeru na siłę, nie eliminujemy z kursu. My tylko ograniczamy sen, jedzenie i dbamy o to, aby żołnierze przez cały czas mieli co robić. A to, czy chcą się zmierzyć z tym wyzwaniem, zależy tylko od nich samych”, podkreśla.

ROSNĄ W SIŁĘ

Szkolenie, które w zeszłym miesiącu przeprowadzono w 15 Brygadzie Zmechanizowanej, było już ósmą edycją wydarzenia. Pierwsza odbyła się w 2017 roku. Wówczas program zajęć opracowało trzech żołnierzy – kpt. Tomasz Dembiński, st. chor. sztab. Benedykt Komarzewski oraz absolwent kursu Rangers, który wówczas służył w 15 Brygadzie, a dziś jest żołnierzem wojsk specjalnych. „Naszym celem było zaskoczenie uczestników, bo wiedzieliśmy, że tylko wtedy szkolenie spełni swoją rolę. Zależało nam na tym, aby jego uczestnicy nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, co ich czeka, bo tylko wtedy można zweryfikować, czy rzeczywiście mają zdolności przywódcze”, relacjonuje kpt. Dembiński. „Zadania, które czekały na kursantów, zaczerpnęliśmy właśnie z amerykańskiego Rangersa, a także ze szkolenia dla podoficerów Lider. Kiedy je wykonywali, towarzyszyły im hałas i kłęby dymu, dodatkowo

INSTRUKTORZY WYZWALAJĄ W KURSANTACH **DUCHA WALKI I PEWNOŚĆ SIEBIE**

Wśród uczestników szkolenia nigdy nie było kobiet. To ma się niebawem zmienić.

zabraliśmy wszystkim telefony i papierosy", relacjonuje. Przez wszystkie edycje przewinęło się już 400 uczestników, ale linię mety przekroczyło zaledwie 80. Wśród nich był st. kpr. Bartosz Grądkowski. „Spodziewałem się, że to szkolenie będzie ciężkie i takie właśnie było. Nie obawiałem się co prawda o moją kondycję, dlatego że dużo trenuję, ale samo dowodzenie sprawiło mi trochę kłopotów, nie miałem z nim wcześniej wiele wspólnego – służę w kompanii łączności. Na szkoleniu dowodziłem i drużyną, i plutonem. Przekonałem się, jak wielka jest to odpowiedzialność. Oprócz tego, że należy wykonać rozkaz, trzeba jeszcze przyjmować meldunki od podwładnych albo nadzorować, czy mają amunicję. Do tego dochodzi stres i zmęczenie. W takich warunkach nietrudno o błąd, a wiadomo, że jak źle pokieruje się człowiekiem, to można od razu założyć, że zadanie nie zostanie wykonane", opowiada starszy kapral. „Zadania nie ułatwiali sami instruktorzy. Kiedy widzieli, że ktoś jest u kresu wytrzymałości, podchodzili i spokojnym głosem pytali: »Słuchaj, co się będziesz męczył. W domu czeka żona. Samochód może tu być za chwilę, chodź, odwieziemy cię do domu«. Ale ja nie po to przyszedłem na ten kurs. Kiedy słyszałem takie słowa, myślałem, że prędzej zacznę jeść trawę, po której się musiałem czołgać, niż oddam numer", podkreśla Grądkowski.

Tytuł wilka zdobył także plut. Krzysztof Ojanowski, dowódca drużyny. „Miałem niefart, bo podczas kursu, w którym brałem udział, cały czas padał deszcz. Dziś brzmi to zabawnie, ale wtedy wcale nie było mi do śmiechu", wspomina. „Mimo to ani razu nie zwątpiłem. Cały czas powtarzałem sobie – dasz radę, dasz radę, nie oddasz numeru. I z tą myślą w głowie dotarłem do mety. Wtedy poczułem smak zwycięstwa. To było bardzo cenne doświadczenie, bo wiedziałem, że stało się udziałem tylko nielicznych", podkreśla.

WILK, TO BRZMI DUMNIE

I rzeczywiście, kiedy „wilki" wracają do swoich kompanii, zyskują szacunek nie tylko podwładnych, lecz także przełożonych. To niejedyny profit, który wiąże się z ukończeniem kursu. Jak mówi chor. Samborek, absolwenci zyskują też inne przywileje. „Kiedy taki żołnierz chce na przykład przenieść się do innego pododdziału, ukończyć jakieś specjalistyczne szkolenie, patrzy się na niego przychylniej, bo udowodnił, na co go stać, a tym samym, że warto w niego inwestować", mówi. Przyznaje także, że zdarzyła się sytuacja, kiedy szkolenie uratowało jednego z żołnierzy od pożegnania się ze służbą. „Postanowiliśmy dać mu jednak szansę", wyjaśnia. Padł rozkaz – ukończyć Wilka. Ten człowiek służy do dziś, mało tego, jest instruktorem na szkoleniu. „Przyznaję, że ta sytuacja nauczyła mnie, że ludzi nie wolno skreślać, bo jeśli komuś zależy, to na pewno się poprawi. Bardzo bym żałował, gdyby tego żołnierza nie było w naszej brygadzie", dodaje podoficer.

Z efektów szkolenia zadowolony jest gen. bryg. Norbert Iwanowski, dowódca 15 Brygady Zmechanizowanej. „W naszej jednostce odbywa się wiele szkoleń, żołnierze uczą się strzelania dynamicznego, czarnej taktyki, walki wręcz i nożem, ochrony VIP-ów. Wilk jest jednak najtrudniejszy. Cały czas modyfikujemy jego program, aby wydobyć jak najwięcej z uczestników. I to nam się udaje – wyzwalamy w kursantach ducha walki i pewność siebie", mówi. „W ósmej edycji po raz pierwszy wzięli udział kandydaci na podoficerów, bo zależało mi na tym, aby pokazali, co potrafią. To był strzał w dziesiątkę, udowodnili, że zasługują na awans", dodaje.

Co ciekawe, wśród uczestników szkolenia nigdy nie było kobiet. To ma się niebawem zmienić. Instruktorzy uważają co prawda, że należy przygotować dla nich specjalną edycję, ale dowódca widziałby wszystkich żołnierzy działających ramię w ramię. „Chciałbym, aby kobiety brały udział w szkoleniu z mężczyznami, w końcu na co dzień razem pracują, zatem muszą udowodnić, że mogą ze sobą współdziałać nawet w tak trudnych warunkach, jakie stwarzamy na szkoleniu", mówi. „Zresztą niedawno zostały ujednolicone normy z WF-u dla kobiet i mężczyzn. Nie możemy więc zacząć traktować ich w specjalny sposób, bo pewnie miałyby do nas żal. I słusznie", podkreśla.

Dodaje także, że wszyscy, którzy chcieliby zawalczyć o tytuł wilka, mogą już zacząć przygotowania. Bo dziewiąta edycja szkolenia odbędzie się w czerwcu, a kolejne – w październiku i listopadzie. Zostanie zorganizowana również edycja specjalna kursu – będą mogli wziąć w niej udział tylko podoficerowie, którzy ubiegają się o służbę stałą. ■

Mistrz dowodzenia

Jak wygrać wojnę? Przede wszystkim dzięki dowódcy: niezależnemu pragmatykowi, który potrafi gromadzić i analizować informacje oraz zarządzać własnym wojskiem. Już 2,5 tys. lat temu wyłożył to chiński strateg Sun Zi.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

W telewizyjnym orędziu do Amerykanów 23 marca 1983 roku prezydent Ronald Reagan zapowiedział prace nad programem Inicjatywy Obrony Strategicznej. Zakładał on przechwytywanie sowieckich pocisków nuklearnych i niszczenie ich w przestrzeni kosmicznej. Przemówieniu towarzyszyła animacja, na której rakiety są obracane w pył przez działka laserowe. Światowe media szybko zaczęły donosić o gwiezdnych wojnach, a na Kremlu wybuchła panika. Dziś wielu historyków uważa, że Reagan blefował. Zdołał jednak wciągnąć Moskwę w wyścig zbrojeń, któremu centralnie planowana gospodarka nie była w stanie sprostać. Sowieckie imperium z hukiem runęło. Obeszło się bez globalnej hekatomby. Reagan użył fortelu i wygrał. Postąpił dokładnie tak, jak blisko 2,5 tys. lat wcześniej radził w „Sztuce wojny" Sun Zi. I świadomie czy nie, amerykański prezydent raz jeszcze potwierdził, że traktat chińskiego stratega jest ciągle aktualnym kompendium wiedzy, które przynosi odpowiedź na pytanie, jak być skutecznym dowódcą, czyli przywódcą.

WSZYSTKIE SZNURKI W RĘKU WODZA

„Sun Zi to jeden z największych teoretyków wojny. Jego koncepcje wykładane są dziś we wszystkich znaczących uczelniach wojskowych: od Stanów Zjednoczonych po Rosję. Omawiamy je także u nas", wyjaśnia ppłk dr Jacek Lasota, kierownik Katedry Historii Wojskowej i Studiów nad Obronnością w warszawskiej Akademii Sztuki Wojennej.

Sun Zi, czyli Mistrz Sun, żył na przełomie V i IV wieku przed Chrystusem. Był doradcą na dworze króla Wu. Legenda głosi, że władca nakazał mu stworzyć karne wojsko ze 180 królewskich konkubin. Mistrz podzielił harem na dwa oddziały i wydał rozkaz „w prawo zwrot". Kiedy konkubiny zaczęły się śmiać, Sun Zi skłonił głowę i przyznał, że jeśli żołnierze nie słuchają poleceń, wina spada na dowódcę, który najwyraźniej źle je wytłumaczył. Po takiej przemowie wydał rozkaz ponownie. A gdy konkubiny raz jeszcze zachichotały, nakazał ściąć im głowy. Królowi wyjaśnił, że jeśli żołnierze nie słuchają dowódcy już po tym, jak dokładnie omówi swoje wymagania, dopuszczają się niesubordynacji. I w trosce o całą armię muszą zostać ukarani.

W anegdocie tej sposób myślenia chińskiego mistrza skupia się niczym w soczewce. „Sun Zi był pragmatykiem", tłumaczy Piotr Plebaniak, doktorant na Wydziale Historiografii w Chinese Culture University w Tajpej na Tajwanie. I dodaje: „Ale jego amoralny pragmatyzm to w głębszej warstwie protonaukowe podejście do prowadzenia wojny. Jego poglądy stanowiły prawdziwą rewolucję". Zawarł je w trzynastu rozdziałach wspomnianego już traktatu.

Prowadzenie wojny, według mistrza Sun, opiera się na pięciu podstawowych elementach: tożsamości celów między władcą a ludem, znajomości klimatu, warunków terenowych, własnych zasobów i postaci wodza, który jest kluczowy w tej układance. Jaki powinien być? Otóż powinien robić wszystko, by zwyciężyć, nie wyprowadzając armii w pole. W „Sztuce wojny" Sun Zi zauważył: „Dlatego właśnie stoczenie wielu bitew i odniesienie we wszystkich zwycięstwa nie jest wcale najlepszym z najlepszych. Najlepszym z najlepszych jest bowiem podporządkowanie sobie wojsk przeciwnika, ale bez walczenia". W ten sposób dowódca oszczędzi nie tylko życie żołnierzy, lecz także zasoby własnego państwa. Walczy dopiero wówczas, kiedy ta droga zawiedzie. Aby osiągnąć cel, może wykorzystać wszelkie dostępne fortele.

Władca powinien pozostawić wodzowi samodzielność w sprawach wojskowych. Ten musi być nieprzekupny, własne wojsko zaś poukładać, opierając się na zasadach Wen i Wu. „Wen to dobroć,

„Sztuka wojny" SUN ZI do dziś pozostaje jednym z najważniejszych i ciągle aktualnych podręczników skutecznego przywództwa.

→

troska, nagrody, Wu – dyscyplina, system kar i przepisów, słowem: przymus", wyjaśnia Plebaniak. Przywódca dba o własnych żołnierzy. W sytuacjach skrajnych nie waha się ich jednak postawić w „miejscu śmierci". „Doskonale obrazuje to bitwa z 207 roku p.n.e., która zdecydowała o upadku dynastii Qin. Naprzeciw cesarskiej armii stanęły dziesięciokrotnie mniej liczne wojska Liu Banga. Ich wódz, chcąc wzmóc we własnych żołnierzach determinację, nakazał zostawić zaopatrzenie na drugim brzegu rzeki, po czym spalić łodzie, którymi przeprawili się oni na miejsce bitwy", wyjaśnia Plebaniak.

„SZTUKA WOJNY" NA IRACKIEJ PUSTYNI

„Wiele prawd sformułowanych w »Sztuce wojny« w sposób świadomy lub nie wcielali w życie przywódcy w różnych momentach dziejów", zaznacza ppłk dr Lasota. Wystarczy wspomnieć dawne fortele dziś definiowane jako elementy wojny hybrydowej. „Tu można się odwołać choćby do zalewania Polski fałszywą monetą przez Fryderyka Wielkiego czy przekupywanie polskich możnowładców przez ambasadorów ościennych państw, co w konsekwencji stało się jedną z przyczyn, które doprowadziły kraj do upadku", podkreśla ppłk dr Lasota. Przykładem na udane stosowanie wojny psychologicznej jest wspomniane już wystąpienie prezydenta Reagana, ale też ofensywa Tet podczas wojny amerykańsko-wietnamskiej. „Komuniści nie odnieśli sukcesu militarnego, ale pokazali, że ta wojna może potrwać jeszcze bardzo długo. To spowodowało gwałtowny spadek poparcia dla administracji prezydenckiej i silne protesty. W efekcie stanowiło początek końca obecności armii USA w Wietnamie", tłumaczy Plebaniak.

„Kiedy studiowałem w Stanach Zjednoczonych, dowiedziałem się, że podczas pierwszej wojny w Iraku głównodowodzący amerykańskim wojskiem gen. Norman Schwarzkopf nakazał, by każdy z jego dowódców miał przy sobie egzemplarz traktatu Sun Zi", wspomina kadm. prof. dr hab. Tomasz Szubrycht, rektor Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni. „Jestem skłonny w to uwierzyć, bo »Sztuka wojny« to dzieło znaczące. Znajdziemy w nim wskazówki nie tylko na temat wojny psychologicznej i hybrydowej, ale też blitzkriegu czy rozpoznania. Autor potrafi dostrzec więzi łączące wojnę, ekonomię, stosunki społeczne. Z drugiej strony, miesza ze sobą kwestie dotyczące strategii, taktyki, dyplomacji. Na to nakładają się jeszcze kulturowe różnice między Azją a Europą... Rady Sun Zi, mimo upływu czasu, nadal mogą stanowić inspirację. Ale w żadnym razie nie można przekładać »Sztuki wojny« na realia pola walki w skali jeden do jednego", uważa kadm. Szubrycht. Podobnego zdania jest st. chor. Łukasz Bińkowski z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, instruktor kursu Lider dla podoficerów. „Prawdziwy przywódca powinien pociągać za sobą podwładnych przede wszystkim własnym przykładem", przekonuje.

Zwyciężanie bez walki jako pierwsza zasada według Sun Zi? „Na pewno znaczenie wojny psychologicznej jest ogromne, ale to przede wszystkim sprawa dowódców wyższego szczebla. My skupiamy się na działaniach kinetycznych, czyli samej walce zbrojnej", tłumaczy st. chor. Bińkowski. Samodzielność

TOILETROOM/SHUTTERSTOCK

dowódcy? „Jak najbardziej. Nasi przełożeni zwykle stawiają zadanie, określając cel, jaki należy osiągnąć. Dobór metod to już kwestia dowódcy niższego szczebla, do którego rozkaz został skierowany", podkreśla. Metoda kija i marchewki w dyscyplinowaniu podwładnych? „Do pewnego stopnia. Oczywiście istnieje ustawa o dyscyplinie wojskowej, ale przymus w wojsku to ostateczność. Tym bardziej że mamy armię zawodową. W jej szeregi wstępują ludzie, którzy chcą służyć i mają świadomość swoich obowiązków. Lepsza jest więc pozytywna motywacja", uważa instruktor.

Sun Zi pisze też o największych wadach wodza. Wymienia uporczywość, nadmierną honorowość, porywczość i zbytnią troskę o ludzi. „Tak, większość z tych cech rzeczywiście nie pomaga. Na polu walki należy podejmować ryzyko, a to musi wiązać się z gotowością do narażania życia swojego i własnych

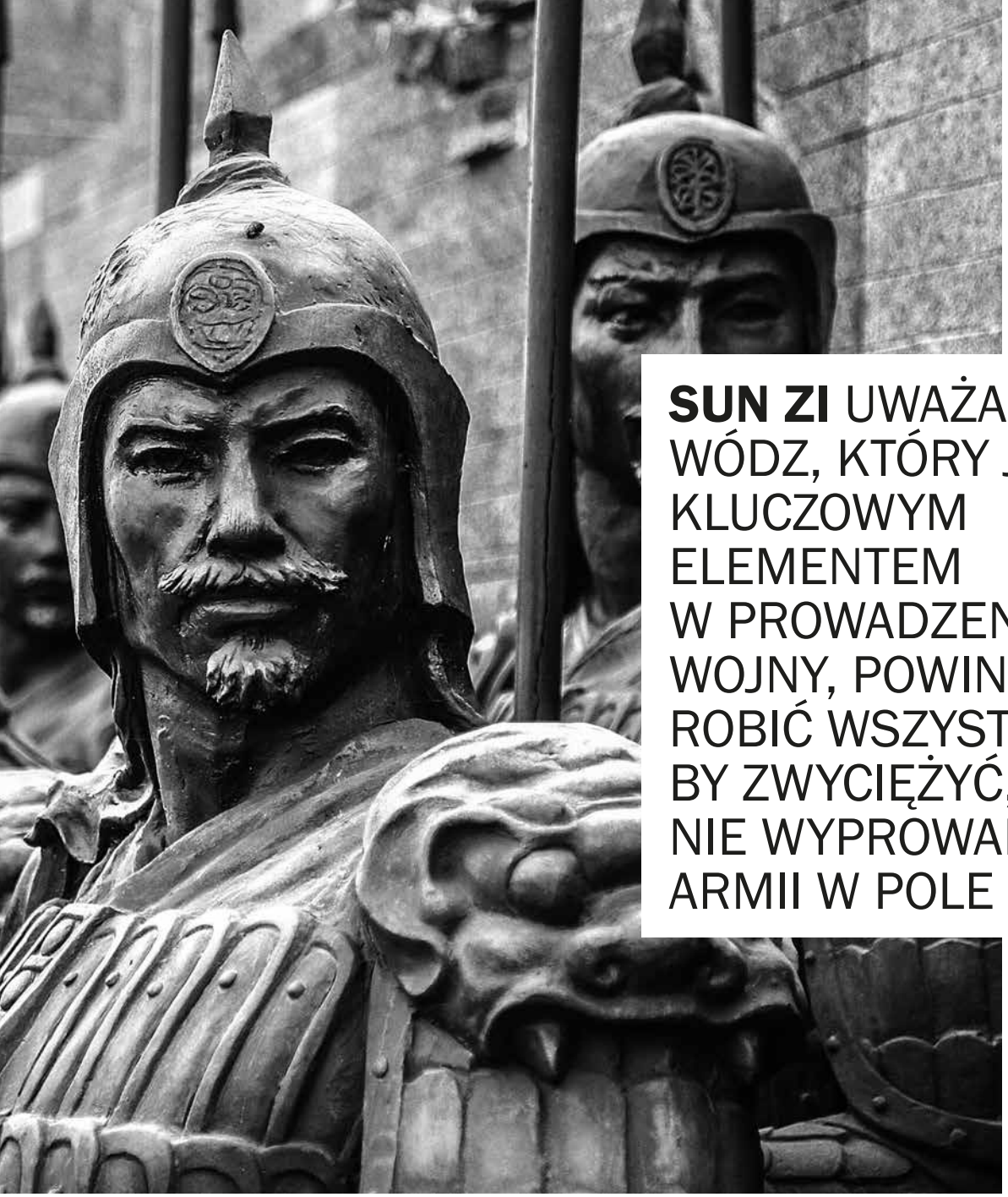

SUN ZI UWAŻA, ŻE WÓDZ, KTÓRY JEST KLUCZOWYM ELEMENTEM W PROWADZENIU WOJNY, POWINIEN ROBIĆ WSZYSTKO, BY ZWYCIĘŻYĆ, NIE WYPROWADZAJĄC ARMII W POLE

ludzi. Przywódca bezwzględnie musi być opanowany i elastyczny, jeśli chodzi o myślenie. Co do honorowości – współczesne konflikty zbrojne mają niewiele wspólnego z honorowym podejściem. Tak więc mamy prawo sięgać po środki i metody, którymi kieruje się przeciwnik. Z jednym zastrzeżeniem: w każdym momencie jesteśmy zobligowani do przestrzegania międzynarodowego prawa", podkreśla st. chor. Bińkowski. „Miałbym wątpliwości co do stawiania swoich żołnierzy w sytuacjach bez wyjścia. Spalenie łodzi, których mogliby użyć podczas odwrotu, jest raczej sprzeczne z postrzeganiem wojny w europejskim kręgu kulturowym", dodaje.

Wszystko to nie umniejsza jednak wagi dzieła Sun Zi, tym bardziej że, jak przekonuje Plebaniak, znaczenie traktatu wykracza nie tylko poza czas i miejsce, w którym został napisany, lecz także… poza samą sztukę prowadzenia wojny rozumianą jako starcie dwóch armii. „Dzieło Sun Zi to zarówno podręcznik psychologii, jak i prakseologii, czyli sztuki skutecznego działania", tłumaczy Plebaniak. „Militarna forma traktatu stanowi jedynie przygodną formę wyrażenia taoistycznej wizji świata rządzonego cyklicznymi przemianami zjawisk, takich jak gotowość bojowa, koniunktura gospodarcza, morale rozumiane jako usposobienie do działania, cykle natury. Dlatego też prawidła zawarte w »Sztuce wojny« mogą się przydać na przykład w biznesie czy po prostu – codziennym życiu", podsumowuje naukowiec. ■

Wszystkie cytaty z traktatu Sun Zi pochodzą z nieopublikowanego jeszcze tłumaczenia i opracowania autorstwa prof. Krzysztofa Gawlikowskiego. Tekst udostępniony dzięki uprzejmości Piotra Plebaniaka za zgodą autora.

TU SIĘ ZADAŃ NIE WYBIERA

Myśliwce F-16 są gwiazdami VIII zmiany PKW „Orlik”. Za sukcesem tej misji stoi wiele osób, nie tylko piloci.

EWA KORSAK

POLSKA jest państwem wiodącym misji Baltic Air Policing. Oznacza to, że gdy niezidentyfikowany samolot na przykład niebezpiecznie zbliży się do granicy państw bałtyckich, jako pierwsi podrywamy nasze maszyny w powietrze. Niemcy są teraz krajem wspierającym Polskę.

BARTOSZ BERA

„Stworzyliśmy w litewskiej bazie lotniczej w Szawlach taką krzesińską bazę [31 Baza Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach] w skali mikro”, mówi ppłk Adam Kalinowski „Monk”, dowódca VIII zmiany PKW „Orlik”, doświadczony pilot F-16 oraz instruktor. Na początku stycznia 2019 roku, kiedy Polska objęła dyżur w Baltic Air Policing, do Szawli przyleciały myśliwce F-16 wraz z grupą pilotów. To oni są bezpośrednio odpowiedzialni za wykonywanie misji przechwytywania samolotów, które niebezpiecznie zbliżają się do granicy państw bałtyckich bez planu lotu i łączności. Na te sukcesy pracuje jednak znacznie więcej osób. Służbę pilotów wspierają specjaliści, jak podkreśla dowódca kontyngentu, na wagę złota. Są to technicy, którzy dbają o F-16, specjaliści od uzbrojenia, odpowiedzialni za podwieszane w myśliwcach rakiety i pociski, oficerowie operacyjni, którzy koordynują misje przechwycenia, żołnierze z „life support” zajmujący się oporządzeniem pilota, a także logistycy, meteorolodzy, kierowcy, oficerowie rozpoznania, lekarze i medycy. Dzięki nim w kontyngencie wszystko działa jak w szwajcarskim zegarku.

MISJA BALTIC AIR POLICING rozpoczęła się w 2004 roku, gdy Litwa, Łotwa i Estonia poprosiły NATO o pomoc w patrolowaniu ich przestrzeni powietrznej. Państwa członkowskie NATO zdecydowały, że udzielą takiego wsparcia bezterminowo. Polacy weszli w skład misji dwa lata po jej rozpoczęciu.

PILOCI DO ZADAŃ SPECJALNYCH

W bazie w Szawlach dyżur pełnią piloci z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach. „Zabrałem ze sobą młodych pilotów. Nie mam jednak żadnych podstaw, by wątpić w ich umiejętności. Przeszli odpowiednie szkolenia oraz certyfikację”, wyjaśnia ppłk Adam Kalinowski. „Poza tym są młodzi wiekiem, ale nie na początku swojej służby. Każdy z tych pilotów zdobył status »combat ready«. Są zatem gotowi do wykonywania misji bojowych”, dodaje zastępca dowódcy. Dla części z nich nowością nie jest również rodzaj misji. Podobne przecież wykonują podczas dyżurów bojowych w Polsce. Niemniej jednak zwracają oni uwagę na to, że w trakcie dyżuru w Baltic Air Policing robią znacznie więcej i ich misje są zdecydowanie bardziej różnorodne. „W ciągu trzech miesięcy miałem więcej przechwyceń niż przez dwa lata dyżurów w Polsce. W powietrzu natykamy się również na bardzo różne statki powietrzne, od transportowych, przez rozpoznawcze, aż po bojowe”, mówi jeden z pilotów. Zdarza się jednak, że właśnie podczas „Orlika” piloci wykonują swoją pierwszą misję przechwycenia samolotu. „Jeden z chłopaków miał bardzo ciekawy chrzest bojowy. Na pierwszej w życiu misji przechwycił samolot transportowy osłaniany przez kilka myśliwców. Nie była to najłatwiejsza sprawa, ale tu się zadań nie wybiera”, mówi Adam Kalinowski.

Kiedy ogłaszany jest alarm „Alfa Scramble”, podrywają się dwa samoloty. Za sterami jednego z nich siedzi dowódca pary, w drugim jego skrzydłowy. „Taki sposób wykonywania misji jest standardem obowiązującym na prawie całym świecie”, wyjaśnia zastępca dowódcy. Skrzydłowy osłania dowódcę podczas operacji. Załogi uzbrojonych F-16 mają dokładnie kwadrans na to, by znaleźć się w przestrzeni powietrznej.

SPECJALIŚCI OD USTEREK

O to, by polskie samoloty dyżurujące w Baltic Air Policing były sprawne i gotowe do poderwania się w razie alarmu, w litewskiej bazie dbają technicy z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach.

English version: polska-zbrojna.pl

BARTOSZ BERA

DYŻUR BOJOWY WYMAGA SPECJALNEJ OBSŁUGI. PO WEJŚCIU PILOTA DO KABINY F-16 TECHNICY WYKONUJĄ SZYBKI PRZEGLĄD STARTOWY ZWANY „LAUNCH”, A BEZPOŚREDNIO PO LOCIE PRZEPROWADZAJĄ „RECOVERY”

To osoby z bardzo dużym doświadczeniem, sprawdzone nie tylko w kraju, lecz także na wielu międzynarodowych ćwiczeniach. Zespół obsługi technicznej tworzą m.in. technicy, specjaliści od silnika, od uzbrojenia oraz ci zajmujący się m.in. wprowadzaniem odpowiednich kodów do systemów F-16, niezbędnych do prowadzenia walki elektronicznej.

„Na Litwie pełnimy dyżury 24 godziny na dobę, tak jak piloci”, mówi „Maggie” z grupy techników. Podczas dyżuru odpowiada za stan techniczny i gotowość do lotu dwóch samolotów: głównego i zapasowego. „Gdyby po ogłoszeniu »Alfa Scramble« w pierwszym samolocie nagle wystąpił jakiś defekt, nie byłoby czasu na analizowanie, co jest nie tak. Pilot po prostu musi się przesiąść na drugi, sprawny samolot”, dodaje technik. Aby utrzymać wszystkie samoloty w gotowości, stacjonujące w litewskiej bazie F-16 przechodzą wiele przeglądów technicznych. Niektóre z nich muszą zostać wykonane po określonych godzinach lotu, inne raz na tydzień czy miesiąc. W zależności od rodzaju przeglądu technicy zwracają uwagę na każdą śrubkę albo sprawdzają tylko te systemy, które są niezbędne do wykonania misji bojowej. „Dokładniejszą obsługę przeprowadzamy na przykład po dwóch wykonanych przez F-16 misjach. Przed każdym lotem natomiast myśliwce przechodzą skróconą procedurę, zdecydowanie szybszą, którą nazywamy »walk around«. Każdy przegląd wykonujemy zgodnie ze specjalnymi listami. Na nich ujęte są wszystkie elementy, które mamy sprawdzić”, mówi „Piter”, szef zespołu techników.

Dyżur bojowy wymaga jednak specjalnej obsługi. Po wejściu pilota do kabiny F-16 technicy wykonują szybki przegląd startowy zwany „launch”, a bezpośrednio po locie przeprowadzają „recovery”. Po każdym locie odbywa się również odtwarzanie zdolności bojowej samolotu. „Musimy wykonać serię →

MICHAŁ LIPIŃSKI/INVIDIA ME

PPŁK ADAM KALINOWSKI „MONK”: SPECJALIŚCI, KTÓRYCH ZABRAŁEM ZE SOBĄ, SĄ TU NA WAGĘ ZŁOTA

czynności, znowu zgodnie z odpowiednią checklistą. Jeśli zauważymy usterkę i jest potrzebny czas, by ją naprawić, wyłączamy samolot z dyżuru bojowego aż do momentu, kiedy będzie z nim wszystko okej”, wyjaśnia „Piter”. Co to znaczy „okej”? „Robimy wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo lotu w dyżurze bojowym. Wykonujemy jednak tylko niezbędne czynności, ponieważ liczy się tu czas. To wystarczy, by piloci czuli się bezpiecznie”, dodaje Maggie. Technicy nie mogą mówić o szczegółach swojej pracy. „To jest dyżur bojowy, pewne rzeczy są po prostu niejawne”, zaznaczają „Piter” i „Maggie”.

Od służby techników zależy nie tylko powodzenie misji, lecz także życie pilota. „Od stresu, który nie dawałby mi spać w nocy, uwalnia mnie świadomość, że wiem, co robię. Mam wiedzę, doświadczenie i ufam sobie”, mówi „Piter”. Zgadza się z nim „Maggie”: „Wiedza daje pewność, że obsługa została dobrze wykonana. Zdaję sobie również sprawę z konsekwencji tego, co mogłoby się stać, gdyby... ”, przyznaje i dodaje: „To wszystko razem sprawia, że panuję nad stresem”. Oboje przyznają, że najgorzej wpływa na ich pracę jakakolwiek presja. „Mamy bardzo dokładnie określone ramy czasowe. Nie ma możliwości, by zrobić coś szybciej”, wyjaśniają.

W czasie dyżuru bojowego niezwykle ważną rolę odgrywają specjaliści od uzbrojenia. Ze względów bezpieczeństwa niewiele można jednak powiedzieć o ich służbie. Ich zadaniem jest nie tylko podwieszenie uzbrojenia na F-16, lecz także przegląd tuż przed startem na misję „Alfa Scramble”. Pociski rakietowe są zamontowane na polskich myśliwcach przez cały czas trwania dyżuru w Baltic Air Policing, nawet podczas treningu. „Jeśli wykonujemy lot treningowy, w każdej chwili może on być zmieniony na bojowy. Zawsze jesteśmy do tego przygotowani”, podkreśla ppłk Kalinowski. „Mamy pociski rakietowe AIM-120C AMRAAM i AIM-9X Sidewinder oraz sześciolufowe działko kalibru 20 mm”, wyjaśnia. I dodaje: „Możemy użyć uzbrojenia na rozkaz CAOC [Combined Air Operations Centre – ośrodek dowodzenia połączonymi działaniami powietrznymi] albo w momencie, gdy ktoś zacznie strzelać do nas”.

CZERWONY GUZIK

W pomieszczeniu objętym klauzulą tajności poziomu NATO Secret pracują oficerowie operacyjni PKW „Orlik”. Przez 24 godziny trwania dyżuru nie mogą opuścić pomieszczenia, którego okna są zasłonięte specjalnymi roletami. Nie mogą tu również używać telefonów komórkowych. Dlaczego tak wysoki poziom zabezpieczeń? „To my włączamy tzw. czerwony guzik i ogłaszamy dyżurującym osobom alarm »Alfa Scramble«. To my dostajemy informację od CAOC i przekazujemy ją przez głośnik dyżurującej załodze samolotów, a także technikom czy kierowcom”, mówi Czarek, oficer operacyjny VIII zmiany PKW „Orlik”.

Praca oficerów operacyjnych jest ściśle związana z dyżurującą parą pilotów oraz ich misjami i treningami. „W czasie dyżuru odpowiadamy za wszystko, co dzieje się wokół nich: sprawdzamy łączność, monitorujemy pogodę, planujemy loty treningowe załóg myśliwców”, wymienia Ania, która służy w PKW „Orlik”. Operacyjni kontaktują się również z CAOC oraz Dowództwem Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych, któremu podlega „Orlik”.

Oboje oficerowie operacyjni są doświadczonymi nawigatorami, którzy w Polsce zajmują się zabezpieczaniem lotów m.in. par dyżurnych F-16 lub MiG-29. „Trochę szkoda, że nie wykonujemy tutaj takich zadań, ale poznajemy dyżur bojowy od drugiej strony, a nie tylko przez pryzmat naszych nawigacyjnych urządzeń”, mówi Ania. Punkty naprowadzania, w których służą nawigatorzy Baltic Air Policing, są dwa: na Litwie oraz w Estonii. Choć pracują w nich tylko Litwini, Estończycy oraz Łotysze, to w każdej chwili, gdyby zaszła taka potrzeba, mogą do nich dołączyć Polacy. Taka sytuacja była podczas VIII zmiany, gdy nasi nawigatorzy wsparli Litwinów w misji „Quick Reaction Alert”.

VIII zmiana PKW „Orlik” wykonała ponad 20 misji wykonanych na alarm „Alfa Scramble”, znacznie więcej niż poprzednie zmiany polskich myśliwców. Przepis na sukces? Ludzie, którzy zdają sobie sprawę z tego, w czym uczestniczą. „Okej, nie jesteśmy w centrum konfliktu zbrojnego, ale mam świadomość, że przygotowuję samoloty uzbrojone, lecące na bojowo, które strzegą nadbałtyckiego nieba. To daje wiele satysfakcji”, mówi „Maggie”. Bojowy charakter misji podkreśla również dowódca PKW: „Jest stres, adrenalina i prawdziwe uzbrojenie, które znajduje się przecież nie tylko na naszych samolotach”, mówi ppłk Adam Kalinowski. „Ale w końcu szkolono nas na pilotów bojowych, od takich zadań jesteśmy”. ■

GLOBALNE ROZWIĄZANIA PATRIOT®

SKUTECZNE DZIŚ.

GOTOWE NA WYZWANIA JUTRA.

Raytheon dostarczy Polsce baterie Patriot zgodnie z wymaganiami i ze znaczącym udziałem polskiego przemysłu. Patriot, stanowiący najnowocześniejszą na świecie, sprawdzoną w boju obronę przeciwlotniczą i przeciwrakietową, ewoluuje wraz z nowo pojawiającymi się zagrożeniami, gwarantując bezpieczeństwo 16 państwom po umiarkowanych kosztach.

Raytheon.com/Poland

Raytheon

© 2018 Raytheon Company. All rights reserved.

BARTOSZ BERA

PIOTR ŁYSAKOWSKI (2)

15 MINUT PRZED STARTEM

„Alfa Scramble” brzmi jak zaklęcie, które sprawia, że w PKW „Orlik” nagle czas przyspiesza.

EWA KORSAK

BARTOSZ BERA

ZEGAR ODMIERZA KOLEJNE MINUTY. **PILOCI Z VIII ZMIANY PKW „ORLIK”** PEŁNIĄ 24-GODZINNE DYŻURY SIEDEM DNI W TYGODNIU

Informacja o tym, że samolot bez włączonych urządzeń identyfikujących zbliża się niebezpiecznie blisko do granicy państw bałtyckich, uruchamia alarm bojowy „Alfa Scramble”. Dyżurującym w Baltic Air Policing na Litwie polskim pilotom zostaje postawione zadanie: przechwycić maszynę, zidentyfikować i odprowadzić do granicy obwodu kaliningradzkiego. Czasami wykonanie misji trwa nawet kilkadziesiąt minut, ale gotowi do jej przeprowadzenia muszą być w zaledwie 15. Kiedy więc alarm zostaje ogłoszony, wszystko przyspiesza.

Piloci z VIII zmiany PKW „Orlik” pełnią 24-godzinne dyżury siedem dni w tygodniu. Chociaż nie czekają w napięciu, aż w głośnikach rozlegnie się sygnał alarmu bojowego, przez całą dobę są na to gotowi. Na sobie mają już spodnie kombinezonu MUP (morski ubiór pilota), który ma im pomóc przetrwać w zimnej wodzie Bałtyku w razie katapultowania. Po ogłoszeniu alarmu koledzy z „life support”, którzy utrzymują w gotowości oporządzenie pilota, pomagają im włożyć bluzę kombinezonu. Sami raczej nie daliby rady tego zrobić, bo jest ona sztywna, wycięcia na głowę i dłonie są niewielkie, a suwaki umieszczone tak, że trudno je zapiąć bez pomocy. Potem wkładają spodnie przeciwprzeciążeniowe i uprząż, za pomocą której przypinają się do fotela w kabinie F-16. Zabierają również hełmy oraz gogle noktowizyjne, jeśli alarm ogłoszony jest po zmroku. W tym czasie oficerowie operacyjni przekazują im wszystkie niezbędne do wykonania misji informacje – jakie mają zadanie, jakie informacje są znane, czego muszą się dowiedzieć już w przestrzeni powietrznej.

Zegar odmierza kolejne minuty. Piloci zbiegają po schodach przed budynek, gdzie czekają już na nich samochody z kierowcami. Oni również dyżurują przez całą dobę. Z piskiem opon zatrzymują się przed hangarami, w których stoją myśliwce. Miejsce, gdzie dyżurują piloci, i hangary dzieli niewielka odległość, ale pokonuje się ją samochodami, ponieważ przebiegnięcie nawet niewielkiego dystansu w kombinezonach MUP jest męczące. Mogłoby to wpłynąć na koncentrację pilotów i jakość wykonania misji. Z samochodu wybiegają i dosłownie kilka sekund później są już w kabinie F-16. Myśliwiec jest niemal gotowy do lotu. W każdej innej sytuacji, na przykład lotów szkoleniowych, uruchamianie F-16 trwałoby znacznie dłużej, ale na potrzeby dyżuru bojowego procedury są skrócone do minimum. Pilot włącza więc silnik, sprawdza, czy niezbędne systemy działają i czy uzbrojenie samolotu jest gotowe do użycia. W tym samym czasie technicy usuwają spod kół myśliwca zabezpieczające listwy i jeszcze raz rzucają okiem na maszynę.

Wszystko okej. Można startować. Pilot bierze długi oddech i koncentruje się maksymalnie na zadaniu. W myślach słyszy zawołanie tygrysiej eskadry [należącej do elitarnego Stowarzyszenia Tygrysich Eskadr] „Fangs out!” (wyszczerzyć kły), bo to jest ten moment, gdy oni faktycznie pokazują kły. Samolot kołuje i po chwili jest na pasie startowym. Kilka sekund później F-16 jest już gotowy, by w przestworzach wykonać zadanie: stanąć na straży bałtyckiego nieba. Od momentu ogłoszenia „Alfa Scramble” nie minął więcej niż kwadrans. ■

F-16 jest już gotowy, by w przestworzach wykonać zadanie: stanąć na straży bałtyckiego nieba. Od momentu ogłoszenia „Alfa Scramble” nie minęło więcej czasu niż kwadrans.

SWD C3IS JAŚMIN

Zautomatyzowany System Systemów Zarządzania Walką dla wszystkich szczebli dowodzenia i działań wojsk

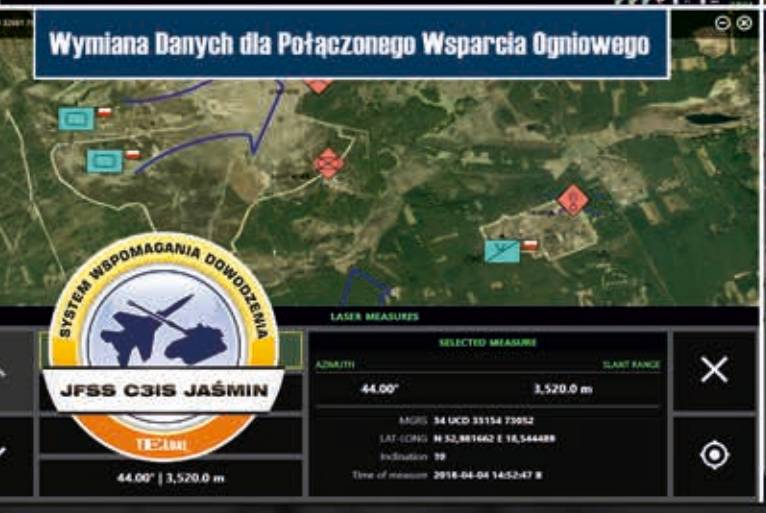

Opracowany i rozwijany przez największy, wysoce wyspecjalizowany, doświadczony i doskonalony przez 23 lata zespół polskich inżynierów z zakresu wojskowego IT

Kompleksowy, unikalny, wielokrotnie certyfikowany i rekomendowany przez NATO

Uhonorowany wieloma prestiżowymi nagrodami, w tym **DEFENDEREM 2018**

TELDAT

www.TELDAT.com.pl

ST. KPR. **PAULINA PIĘTA**

Data i miejsce urodzenia:
29 maja 1986 roku, Wrocław.

Tradycje wojskowe:
jestem w armii pierwszą osobą z rodziny.

W wojsku służy od:
2014 roku.

Zajmowane stanowisko:
ratownik medyczny w Lotniczej Grupie Poszukiwawczo-Ratowniczej w 33 Bazie Lotnictwa Transportowego w Powidzu.

EDUKACJA WOJSKOWA:
Szkoła Podoficerska Wojsk Lądowych w Poznaniu.

ZOSTAŁEM ŻOŁNIERZEM, BO:
lubię wyzwania i pracę z ludźmi, a na pokładzie śmigłowca najważniejsza jest współpraca.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:
udało mi się połączyć pracę z pasją. Jestem żołnierzem, ratownikiem, skoczkiem spadochronowym. Mogę się rozwijać zawodowo, a przy tym robić to, co lubię: latać i skakać. Mam pracę marzeń.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:
na misję do Afganistanu wyjechałam jako pracownik wojska i zupełnie nie wiedziałam, na co tak naprawdę się piszę. To było ogromne wyzwanie i niesamowite doświadczenie. To tam zakochałam się w mundurze.

MISJE I ĆWICZENIA:
za mną wiele różnych ćwiczeń wojskowych i dwie misje. W składzie PKW Afganistan służyłam na XI i XII zmianie.

NAJLEPSZA BROŃ:
UKM-2000 kalibru 7,62 mm.

GDYBYM NIE ZOSTAŁA ŻOŁNIERZEM, BYŁABYM RATOWNIKIEM MEDYCZNYM, BO LUBIĘ POMAGAĆ INNYM!

HOBBY:

podróże | literatura | film | sport

OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK
FOT. LUIZA WAWRZYNIAK-KOZERA

Niebo na ziemi

Godziny spędzone nad książkami, następnie szkolenie na symulatorach i wreszcie premierowy lot. Na samolotach szkolno-treningowych M-346 Bielik.

PIOTR RASZEWSKI

Epokowa zmiana i zakończenie pewnego procesu, który trwał już od dawna", zgodnie podkreślają instruktorzy z 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego. Ta dęblińska jednostka odpowiada za szkolenie młodych lotników na samolotach szkolno-treningowych M-346 Bielik. „Dla nas zmienia się w zasadzie wszystko. Zaczęliśmy pracę w zupełnie nowym systemie szkoleniowym. Czeka nas jednak zmiana podejścia do eksploatacji tego samolotu", zaznacza płk pil. Wojciech Pikuła, dowódca 4 Skrzydła, i podkreśla: „Nasi instruktorzy przygotowywali program tego szkolenia od kilku lat. Korzystali z doświadczeń, które zdobyli m.in. we Włoszech. Teraz dowiadujemy się, jak to wszystko sprawdza się w praktyce i nie wykluczamy, że pewne rzeczy będziemy korygować. W ciągu najbliższych lat nasze ustalenia i cele będą ciągle weryfikowane".

CZTERECH WYBRAŃCÓW

Największy wpływ na ewentualną weryfikację tych założeń będzie miało samo szkolenie podchorążych. Do pierwszej edycji wytypowano cztery osoby. „Po szkoleniu młodych lotników na samolocie PZL-130 Orlik przygotowaliśmy specjalne zestawienie. Analizowaliśmy m.in., jak radzą sobie w powietrzu, sprawdzaliśmy ich stan zdrowia, a nawet zdolności językowe. Na tej podstawie wybraliśmy tych najlepiej rokujących", tłumaczy płk pil. dr Konrad Madej, szef szkolenia 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego.

Dla czwórki wybranych to był dopiero początek, bo wiele trzeba przejść, by usiąść za sterami bielika. Ich dzienny rytm natychmiast został podporządkowany nauce. Plan zajęć został skonstruowany tak, by wykorzystać każdą chwilę. „Rzeczywiście nauka zabierała bardzo dużo czasu. Sama instrukcja do samolotu to 900 stron informacji, które musieliśmy przyswoić. Zajęcia rozpoczynaliśmy rano, a kończyliśmy po południu. Później uczyliśmy się w pokojach. I musieliśmy jeszcze znaleźć czas na treningi przygotowujące do lotów", wspomina st. kpr. pchor. Andrzej Milke. Z kolei sierż. pchor. Jędrzej Kmak dodaje: „Najwięcej czasu pochłaniały nauka komunikacji i poznanie różnych systemów samolotu. Bielik to znacznie bardziej skomplikowana maszyna niż te, na których lataliśmy do tej pory".

Podczas szkolenia naziemnego podchorążowie m.in. poznawali sposób wykonywania lotów na lotnisku w Dęblinie, lokalne procedury, specyfikę korespondencji radiowej czy warunki meteorologiczne lotniska. „Zajęcia w Lotniczej Akademii Wojskowej dotyczyły zagadnień bardziej ogólnych. Podchorążowie zapoznawali się tam z ogólną budową samolotu i podstawowymi zagadnieniami na temat latania. U nas poszerzali tę wiedzę o szczegółowe informacje odnoszące się do naszej specyfiki", tłumaczy ppłk pil. Marek Kejna, dowódca grupy działań lotniczych 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego.

REALISTYCZNA SYMULACJA

Kolejnym etapem jest blok wstępnego szkolenia symulatorowego, obejmujący m.in. procedury naziemne oraz naukę zachowań w sytuacjach awaryjnych mogących zaistnieć w trakcie wykonywania zadań. Wykorzystuje się do tego symulatory różnego rodzaju – procedur awaryjnych EPT (Emergency Proce-

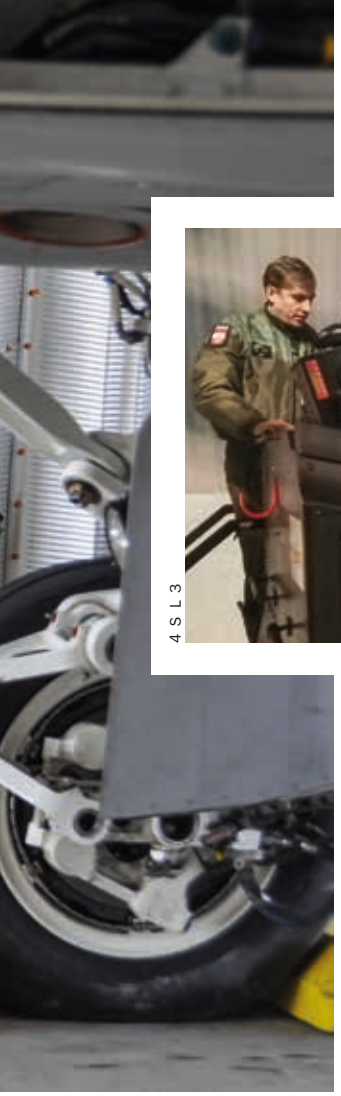

4 SLS

Pilot weryfikuje swoje umiejętności na symulatorze FTD.

PIOTR RASZEWSKI

Płk pil. Wojciech Pikuła, dowódca 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego, podkreśla, że eksploatowanie bielików wiąże się z zupełnie innym systemem szkolenia.

dure Trainer), FTD (Flight Training Device) i FMS (Full Mission Simulator). „Jest to niezwykle ważna część szkolenia lotniczego. Dzięki zaawansowanej technologii pozwala zwiększyć bezpieczeństwo młodych adeptów oraz obniżyć koszty szkolenia. Na każdym jego etapie symulatory znacznie ułatwiają pilotom utrzymanie nawyków oraz stałe podnoszenie poziomu wiedzy", zaznacza ppłk pil. Emil Bołtryk, komendant Ośrodka Szkolenia Symulatorowego.

Symulatory FMS i FTD różnią się jedynie systemem wizualizacji. „Jednym z wymagań kontraktu było to, aby symulator zachowywał się identycznie jak realny samolot. Zostało ono spełnione. Dzięki temu pilot może wykonać misję na symulatorze dokładnie tak samo, jakby to robił w samolocie. Technologia pozwala również na wykonywanie misji w ugrupowaniu kilku samolotów, więc jest to zupełnie nowy wymiar szkolenia symulatorowego. FMS dostosowano do użycia gogli noktowizyjnych, natomiast w obu urządzeniach można używać zintegrowanego wskaźnika nahełmowego HMD", tłumaczy ppłk pil. Emil Bołtryk i dodaje: „Urządzenia mają ogromne możliwości. Ograniczeniem jest jedynie wyobraźnia instruktorów przygotowujących misje do przećwiczenia". Piloci mogą więc wykonywać szeroko pojęte misje „air to air", „air to ground", przechwycenia z użyciem radaru, wsparcia CAS (close air support) czy rozpoznawcze. Samolot symuluje również użycie różnorodnego uzbrojenia precyzyjnego, m.in. bomb naprowadzanych laserowo czy za pomocą systemu GPS.

Na szkolenie symulatorowe podchorążowie poświęcają łącznie blisko 60 godzin. „W ten sposób ćwiczą wszelkie sytuacje – od uruchomienia silników, wszystkich systemów pokładowych, do lotu i wykonania danej misji. Dopiero wtedy rozpoczynają szkolenie w powietrzu. To potężna rewolucja. Do tej pory podstawą szkolenia był samolot, a teraz stał się jego ostatnim ogniwem", mówi ppłk pil. Marek Kejna, dowódca grupy działań lotniczych 41 Bazy Lotnictwa Szkolnego.

KOMPLEKSOWY SYSTEM

Szkolenie podchorążych w 4 Skrzydle prowadzi 14 instruktorów. Niektórzy wciąż uczestniczą w dodatkowych szkoleniach w Krzesinach, by jak najlepiej dopasować program do standardów szkoleń na F-16, za których sterami później zasiądą młodzi piloci. „Musimy sprawić, że wszystkie fazy się zazębią. Już sam proces szkolenia na samolocie PZL-130 Orlik trzeba było nieco przemodelować, by podchorążowie mogli rozpocząć naukę na M-346 Bielik. Z kolei to szkolenie powinno płynnie wchodzić w fazę następnego, na samolotach F-16. Wszystkie etapy muszą się przeplatać i uzupełniać. To jest absolutny wymóg nowoczesnego szkolenia, a dla nas pewna nowość organizacyjna", tłumaczy płk pil. Konrad Madej.

Instruktorzy przyznają, że szkolenie pierwszej grupy podchorążych to również czas, by sprawdzić, czy przyjęty program nie wymaga ewentualnych korekt. „To rzeczywiście jest pewien rodzaj eksperymentu. W naszym odczuciu przygotowaliśmy odpowiednie programy szkolenia. Rozmawialiśmy też z kolegami, którzy latają na F-16 i od nich dowiedzieliśmy się, czego musimy nauczyć podchorążych, by kolejne szkolenie na F-16 przebiegało sprawnie. Niewykluczone jednak, że pewne założenia będziemy musieli zrewidować", podkreśla ppłk pil. Marek Kejna.

Dowództwo dęblińskiej jednostki zakłada, że samo szkolenie naziemne ma trwać od czterech do sześciu tygodni, a cały proces przygotowania podchorążych, łącznie z lotami na M-346 Bielik, będzie co roku zaczynał się w kwietniu i kończył najpóźniej w listopadzie. „Ten rytm trwa od lat i nie będzie się zmieniał. Podyktowany jest m.in. systemem kształcenia w Lotniczej Akademii Wojskowej, a także warunkami atmosferycznymi, bo te miesiące to okres najlepszej pogody", przyznaje płk pil. Wojciech Pikuła. Zmianie może jednak ulec liczba kształconych podchorążych. „Uwarunkowana będzie ona m.in. potrzebami sił powietrznych, czyli zapotrzebowaniem na pilotów w 2 Skrzydle Lotnictwa Taktycznego. Na razie mamy osiem samolotów, ale wiemy, że Inspektorat Uzbrojenia MON podpisał kontrakty na kolejnych osiem. Przy 16 samolotach szkolenie około 10–12 pilotów rocznie to wariant optymalny, by je przeprowadzić w wymiarze około 100 godzin na każdego podchorążego".

Po raz pierwszy podchorąży z LAW wystartował bielikiem 16 kwietnia. Lot zapoznawczy trwał 1,5 godziny. ■

Nie boimy się wyzwań

Podhalańczycy pomyślnie przeszli certyfikację i uzyskali status gotowości do walki. Już na początku 2020 roku staną na czele Sił Odpowiedzi NATO.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Jednostki pełniące dyżury w ramach tzw. szpicy muszą zaliczyć certyfikację. Jej zasady opisano w podręczniku CREVAL (combat readiness evaluation), w którym uwzględniono pięć kluczowych dziedzin: przygotowanie, operacyjność, logistykę, komunikację oraz personel. Ocena ta jest wielostopniowa i odbywa się na wszystkich szczeblach dowodzenia, począwszy od drużyn, skończywszy na dowództwie brygady. Takie procedury musieli przejść żołnierze z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Wymagało to sporego wysiłku, ale osiągnięto cel – w połowie kwietnia podhalańczycy zakończyli ćwiczenia „Lampart ’19”, a tym samym uzyskali status „combat ready”.

„Ostatnia część certyfikacji polegała na sprawdzeniu pododdziałów pod kątem działań kinetycznych oraz niekinetycznych. Pierwszy etap odbył się w Trzciańcu, gdzie wykonywaliśmy zadania charakterystyczne dla konfliktów hybrydowych. Przebiegały one przy wsparciu lokalnej administracji cywilnej. Obejmowały także współpracę z policją, strażą pożarną i strażą graniczną”, tłumaczy płk Dariusz Lewandowski, dowódca 21 BSP. Na tym etapie ćwiczeń scenariusz zakładał operowanie w terenie, w którym aktywne są grupy dywersyjne przeciwnika. Druga faza certyfikacji odwzorowywała pełnoskalowy konflikt – z użyciem pojazdów pancernych, artylerii oraz lotnictwa. Ze względu na rozmach przedsięwzięcia oraz użycie ostrej amunicji przeprowadzono ją na poligonie w Nowej Dębie.

Osiągnięcie gotowości bojowej to efekt współpracy w skali międzynarodowej. Brygada wydzielona do tzw. szpicy została sformowana na bazie 1 Batalionu Strzelców Podhalańskich, ale tworzą ją także komponenty z innych jednostek, w tym z Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych, 25 Brygady Kawalerii Powietrznej oraz Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej. W jej struktury wejdą też pododdziały z Hiszpanii, Czech, Węgier oraz Litwy, które będą podlegać polskiemu dowództwu.

TRUDNE ZADANIE

Plan utworzenia sił NATO, które mogłyby zostać użyte w ramach operacji reagowania kryzysowego, został przedstawiony w 2002 roku podczas szczytu w Pradze. Sojusz zatwierdził postanowienia niespełna rok później, przy czym już jesienią 2003 roku zostało powołane dowództwo we włoskim Neapolu podlegające holenderskiemu Brunssum. Siły Odpowiedzi NATO teraz liczą około 40 tys. żołnierzy. Składają się z wojsk lądowych, lotniczych, morskich oraz specjalnych, gotowych do działania na całym świecie. W razie wojny mają poprzedzać główny rzut wojsk i utrzymać się samodzielnie nawet do 30 dni.

Ze względu na agresję Rosji we wschodniej Ukrainie oraz rosnące zagrożenie terrorystyczne, w 2014 roku podczas szczytu NATO w Newport zdecydowano o utworzeniu sił wysokiej gotowości, czyli tzw. szpicy. Struktura ta oparta jest na komponencie wojsk lądowych wielkości brygady, które w czasie kryzysu mają zareagować maksymalnie w ciągu kilkudziesięciu godzin. O ile polskie pododdziały wielokrotnie były częścią Sił Odpowiedzi NATO, o tyle w wypadku tzw. szpicy stanowią jej nieodłączną część. W 2016 roku dowództwo nad powstającą formacją objął Wielonarodowy Korpus Północno-Wschodni w Szczecinie.

DYŻUR PODHALAŃCZYKÓW ROZPOCZNIE SIĘ 1 STYCZNIA 2020 ROKU. BĘDĄ REAGOWAĆ W PRZYPADKU GROŹBY ATAKU NA PAŃSTWO CZŁONKOWSKIE SOJUSZU, A TAKŻE PODCZAS KATASTROF NATURALNYCH

Od stycznia 2020 roku Polska będzie państwem ramowym, ale dyżur podhalańczyków tak naprawdę już się rozpoczął. „Jesteśmy na pierwszym etapie, w fazie »stand up«, czyli jako jednostki rezerwowe. Do działania zostalibyśmy skierowani dopiero, gdyby doszło do eskalacji konfliktu. Rok 2020 to dla nas faza »stand by«. W tym czasie będziemy jednostką pierwszego rzutu, czyli szpicą. Następnie wejdziemy w fazę »stand down«, gdy będziemy stanowić siły drugiego rzutu”, tłumaczy płk Dariusz Lewandowski. Dowódca podhalańczyków przyznaje, że postawione przed nim zadanie stanowi jedno z największych wyzwań dla polskich sił zbrojnych od czasu wejścia do NATO. „Polska do szpicy wystawia ponad 3500 żołnierzy. W sumie będą to dowództwo brygady, dwa bataliony bojowe, zabezpieczenie stanowiska dowodzenia, logistyka, rozpoznanie, artyleria, pododdziały inżynieryjne oraz siły specjalne”, dodaje oficer.

WSPARCIE DLA SZPICY

Wielomiesięczne przygotowania przebiegły zgodnie z planem, ale nie obyło się bez trudności. Jedną z największych była integracja modułu moździerzowego Rak, który 1 Batalion dostał we wrześniu 2018 roku. Moździerze te zapewniają skuteczne wsparcie ogniowe batalionu, ale wymagają specjalistycznego szkolenia. Podhalańczykom udało się je zrealizować mimo tak krótkiego czasu. „Załogi raków przeszły pełen cykl szkolenia, począwszy od drużyny, skończywszy na kompanii i strzelaniach ogniowych”, mówi ppłk Zbigniew Zawadzki, szef artylerii 21 BSP. Podkreśla przy tym, że trudno przecenić rolę artylerii na współczesnym polu walki, także w Siłach Odpowiedzi NATO. „Ze względu na dużą siłę ognia w wielu przypadkach to właśnie artyleria decyduje o powodzeniu działań”, dodaje ppłk Zawadzki. Oprócz raków w czasie dyżuru żołnierze będą mieli także do dyspozycji działa samobieżne 2S1 Goździk wydzielone z 14 Dywizjonu Artylerii Samobieżnej w Jarosławiu. W skład batalionowego zgrupowania taktycznego wejdzie też ponad 30 czołgów T-72 z 1 Batalionu Czołgów.

→

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

JAKO TZW. SZPICA, podhalańczycy mogą zostać wysłani w dowolne miejsce odległe do 5 tys. mil od Brukseli. Niezależnie od rodzaju misji, muszą podjąć działania w ciągu kilkudziesięciu godzin.

Dyżur w ramach szpicy pełnią także siły powietrzne. Ich kooperacja z wojskami lądowymi wymaga skutecznej komunikacji. Za jej utrzymanie będzie odpowiadała komórka JTAC (Joint Terminal Attack Controller) wydzielona z 1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych w Inowrocławiu. „Nasz zespół realizuje zadania z CAS [Close Air Support], które polegają na skoordynowaniu wsparcia lotniczego z działaniami batalionu. Mogą to być zarówno myśliwce i bombowce, jak i śmigłowce szturmowe oraz uzbrojone platformy bezzałogowe”, wylicza kpt. Marcin Trzeciak, dowódca pododdziału JTAC, i dodaje: „Pilnujemy, żeby wszystkie potrzebne informacje dotarły do pilota i zostały przez niego właściwie zrozumiane. W zależności od sytuacji możemy być na wysuniętych pozycjach, razem z pododdziałami lub na stanowisku dowodzenia”.

Niezależnie od teatru działań współczesne wojska potrzebują także pomocy specjalistów do spraw współpracy cywilno-wojskowej (CIMIC). Rolę tę przyjmuje pluton z Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych w Kielcach. „Wspieramy brygadę jako doradcy przy dowództwie oraz przy żołnierzach wykonujących misję w terenie. Dzięki naszym działaniom obecność wojska jest mniejszym obciążeniem dla ludności cywilnej. Jednocześnie, w wypadku działań wojennych, minimalizujemy ich wpływ na otoczenie, ale także odwrotnie, pilnujemy, żeby nie było ono dużą przeszkodą w prowadzeniu operacji”, wyjaśnia mjr Michał Jankiewicz, dowódca zespołu CIMIC. Oficer podkreśla, że praca specjalistów do spraw CIMIC wymaga dużego wyczucia. „Mamy świadomość, że przebywamy w rejonie, w którym żyją mniejszości narodowe. O nich także musimy mieć szeroką wiedzę”, dodaje. W takich sytuacjach pomaga doświadczenie zdobyte właśnie na misjach zagranicznych. Dzięki niemu można lepiej zrozumieć, jak funkcjonuje administracja lokalna w czasie kryzysu.

Fundamentem tzw. szpicy jest sprawnie działająca logistyka. Mjr Radosław Kozielewicz, pełniący obowiązki dowódca batalionu logistycznego na czas ćwiczeń „Lampart ’19”, przypomina, że z roku na rok zwiększa się ilość sprzętu, który należy przetransportować. Jest on także coraz bardziej wyspecjalizowany. „Mówi się, że jeden walczący żołnierz to pięciu logistyków, i jest to prawda. Działamy we wszystkich klasach zaopatrzenia, ze szczególnym naciskiem na żywność, paliwa oraz środki bojowe”, mówi mjr Kozielewicz.

W wypadku działań kinetycznych logistyka zostanie rozmieszczona w kilku rzutach. Pierwszy z nich znajdzie się blisko pola walki i będzie prowadził działania pod ogniem przeciwnika. Nie oznacza to jednak, że pododdziały w tylnej strefie nie są narażone np. na zasadzki na drogach. Właśnie dlatego logistycy pełniący dyżur w tzw. szpicy przez cały czas muszą być także przygotowani do walki.

TO NIE KONIEC

Zaliczenie certyfikacji niesie ze sobą kolejne wyzwania. Po miesięcznym zgrywaniu nastąpi próba generalna, czyli „Dragon ’19”. Wtedy ostatecznie zakończą się przygotowania i brygada sił wysokiej gotowości będzie gotowa do działania. „Bataliony już są dobrze wyszkolone, tak naprawdę od kilku miesięcy nie schodzą z zajęć w polu. W czasie »Dragona« najważniejszy egzamin przejdzie dowództwo brygady. Później skupimy się na przedsięwzięciach logistycznych oraz organizacyjnych”, tłumaczy płk Dariusz Lewandowski.

Samo wejście w aktywną fazę dyżuru nie polega tylko na czuwaniu. Na przyszły rok jest zaplanowany cykl ćwiczeń zagranicznych, w których wezmą udział dowództwo brygady oraz część sił lądowych. Szkolenie obejmie także treningi sztabowe prowadzone wspólnie z Eurokorpusem. Dzięki temu tzw. szpica będzie mogła zareagować w każdej sytuacji – od misji humanitarnych i stabilizacyjnych, po klasyczne działania wojenne. ■

CENTRUM SERWISOWO – LOGISTYCZNE DO OBSŁUGI CZOŁGÓW LEOPARD 2

CSL-WZM-LEOPARD 2

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. w Poznaniu to dziś jedyny polski zakład posiadający autoryzowane uprawnienia do serwisowania i napraw czołgów Leopard 2 A4/A5, należących do Sił Zbrojnych RP. Konieczność zabezpieczenia serwisowo-logistycznego polskich Leopardów, w połączeniu z dynamicznym rozwojem firmy, pozwoliła na utworzenie w poznańskich zakładach Centrum Serwisowo–Logistycznego do obsługi czołgów Leopard 2, czyli CSL-WZM-LEOPARD 2.

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. istnieją od 1945 roku, cały czas działając w branży zbrojeniowej. Dziś wchodzą w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., konsolidującej polski przemysł obronny. Głównym profilem aktywności firmy są: produkcja, modernizacje, naprawy i serwisy czołgów, kołowych transporterów opancerzonych oraz projektowanie i produkcja szybko wymiennych zespołów napędowych do pojazdów wojskowych. Działalność WZM zapewnia kompleksowe zabezpieczenie potrzeb Sił Zbrojnych RP. W naszym Centrum Szkoleń załogi pojazdów wojskowych uczą się profesjonalnego użytkowania sprzętu.

WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.

WYŻSZA SZKOŁA RATOWANIA

Żołnierze w Wojskowym Centrum Kształcenia Medycznego będą się szkolić z medycyny pola walki według standardów NATO.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Absolwenci kursów medycyny pola walki Wojskowego Centrum Kształcenia Medycznego w Łodzi otrzymają certyfikaty honorowane we wszystkich państwach Sojuszu Północnoatlantyckiego. Taką decyzję podjęła w drugiej połowie marca 2019 roku międzynarodowa organizacja ratownictwa medycznego (National Association Of Emergency Medical Technicians – NAEMT), która nadzoruje kursy medycyny taktycznej na świecie. Na zajęciach z ratownictwa taktycznego (Tactical Combat Casualty Care – TCCC) w Łodzi będą się szkolić medycy oraz osoby bez wykształcenia kierunkowego.

PIERWSZY KROK: MONS

Zanim łódzka placówka dostała rekomendacje NAEMT, musiała spełnić kilka warunków. Jednym z nich było odpowiednie przygotowanie kadry instruktorskiej. Dlatego w 2018 roku Dowództwo Operacji Specjalnych NATO (NATO Special Operations Headquarters – NSHQ) zaprosiło dwóch ratowników medycznych z Łodzi do ośrodka Allied Center for Medical Education w Mons na kursy – Medical Simulation i instruktorski TCCC.

W pierwszej turze pojechały tam dwie ratowniczki: kpt. dr Anita Podlasin i ppor. Monika Trajdos. Polki dołączyły do kilkunastoosobowej grupy medyków – żołnierzy sił specjalnych m.in. z Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji, Niemiec i Włoch. „Wiedza medyczna, którą przekazywali nam instruktorzy, nie była dla mnie czymś nowym, ale w tym kursie nie chodziło o poznawanie nowinek w tej dziedzinie. To było szkolenie dla instruktorów lub kandydatów na instruktorów, którzy mają później prowadzić zajęcia z TCCC", mówi kpt. Podlasin. „W Mons podkreślano, że żołnierza nie wolno traktować przedmiotowo. Mówiliśmy o błędach ludzkich, tzw. human

Kpt. dr ANITA PODLASIN: „W Mons podkreślano, że żołnierza nie wolno traktować przedmiotowo".

PIOTR BERNABIUK

NATIONAL ASSOCIATION OF EMERGENCY MEDICAL TECHNICIANS to międzynarodowa organizacja ratownictwa medycznego, która sprawuje nadzór nad kursami medycyny pola walki. Opracowuje też programy szkolenia, scenariusze zajęć i udostępnia certyfikowanym przez siebie ośrodkom materiały dydaktyczne. Celem działania organizacji jest wprowadzenie ujednoliconych zasad nauczania taktycznej opieki nad poszkodowanymi na polu walki (Tactical Combat Casualty Care – TCCC).

factor, popełnianych w czasie wykonywania czynności medycznych", dodaje.

Instruktorzy pokazywali kursantom filmy m.in. z akcji ratunkowych w szpitalach i zwracali uwagę na przykład na złe zarządzanie zespołem medycznym. Wykładowcy podnosili również kwestię metodyki pracy z dorosłymi. Chodzi tu m.in. o metodę „hands-on training", czyli przyswajanie wiedzy poprzez doświadczenie. „Dorośli nie lubią uczyć się teorii. Muszą sami coś wykonać, by to zapamiętać. Dlatego kładzie się duży nacisk na to, by w szkoleniu medycznym wykorzystywać różnego rodzaju symulatory", uzupełnia kpt. Podlasin.

Ratowniczka ukończyła kurs z najlepszą lokatą i w kolejnej edycji – przeznaczonej dla instruktorów – wystąpiła w Allied Center for Medical Education NATO w roli nauczyciela. Zajęcia w Belgii prowadziła przez dwa tygodnie. Na początku uczyła medyków teorii z dziedziny TCCC i mówiła o metodyce nauczania. „Nie zajmowałam się podstawami, bo moimi słuchaczami byli doświadczeni medycy, kandydaci na instruktorów. Chodziło raczej o to, by przygotować ich do zajęć praktycznych. W grupie międzynarodowej pojawiają się bowiem drobne różnice w wykonywaniu czynności medycznych. Na przykład odbarczanie odmy opłucnej Polacy przeprowadzają nieco inaczej niż Brytyjczycy", opowiada kpt. Podlasin. Dlatego oficer miała ujednolicić zasady działania zgodnie z wytycznymi NAEMT. Polka nadzorowała też część praktyczną szkolenia, gdy instruktorzy musieli samodzielnie przygotować i poprowadzić zajęcia z TCCC.

DRUGI KROK: ŁÓDŹ

Wyszkolona odpowiednio kadra to jedno z kryteriów, jakie WCKMed musiał spełnić, by ubiegać się o certyfikację NAEMT. Ważne było także odpowiednio przygotowane zaplecze dydaktyczne. Z tym jednak nie było problemu, bo w Łodzi od dawna funkcjonuje wyposażone w dobrej jakości sprzęt centrum symulacji medycznej.

Wojskowe Centrum Kształcenia Medycznego już od jakiegoś czasu zabiegało o dołączenie do elitarnego grona krajów posiadających rekomendacje NAEMT. „Zależy mi, by uprawnienia, które kursanci zdobywają w naszym centrum, były honorowane przez różne międzynarodowe organizacje zdrowia. A nasi medycy reprezentowali ten sam poziom wiedzy, co ich koledzy ze Stanów Zjednoczonych czy Europy", mówi płk lek. Zbigniew Aszkielaniec, komendant łódzkiego centrum.

WCKMed jest jedyną placówką w kraju, która może się pochwalić takim certyfikatem. Oznacza to, że centrum jest gotowe do prowadzenia kursów TCCC dla żołnierzy z każdego państwa NATO. Będą się one odbywać w języku angielskim, według programu międzynarodowej organizacji ratownictwa medycznego i na podstawie przygotowanych przez nią materiałów dydaktycznych oraz zunifikowanego programu szkolenia. Mogą w nich uczestniczyć osoby zarówno z wykształceniem medycznym, jak i te bez specjalistycznego przygotowania. Pierwsze takie spotkanie będzie w Łodzi w czerwcu. Na kurs przyjedzie 20 medyków z sił specjalnych NATO oraz polscy żołnierze.

Osoby bez wykształcenia medycznego będą się uczyć podstawowych czynności ratujących życie na polu walki według protokołu MARCH (M – massive bleeding, opanowanie krwotoków, A – airway management, zabezpieczenie drożności dróg oddechowych, R – respiratory management, zabezpieczenie ran klatki piersiowej, C – circulation, poszukiwanie pozostałych krwotoków, H – hypothermia/head, zapewnienia komfortu termicznego, zabezpieczenie głowy, E – everything else, wszystko inne).

Zajęcia dla medyków zaś będą trudniejsze i dłuższe. Żołnierze przypomną sobie podstawowe czynności ratujące życie na polu walki i poznają skomplikowane zagadnienia związane z TCCC, czyli np. zasady farmakoterapii. Będą ćwiczyć monitorowanie stanu pacjenta w warunkach taktycznych oraz zaawansowane procedury medyczne, np. przetaczanie krwi, zapobieganie hipotermii, postępowanie w wypadku obrażeń czaszkowo-mózgowych na polu walki. Uczestnicy kursu TCCC (niezależnie od poziomu) po ukończeniu szkolenia otrzymają certyfikaty poświadczające znajomość zasad udzielania pomocy poszkodowanym na polu walki.

Wojskowe Centrum Kształcenia Medycznego dąży do utworzenia w Polsce wojskowego centrum szkolenia medycznego sił specjalnych NATO. Rekomendacja NAEMT jest jednym z wymagań narzucanych przez Sojusz Północnoatlantycki. ■

BALTICA
GDT-100
SAR MW-3

RADOSŁAW PIOCH/3 FO

POZNAJCIE Z NAMI SPECYFIKĘ SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻNYCH JEDNOSTKACH POLSKIEGO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO OD KULIS** PRZECZYTACIE O MARYNARZACH, PILOTACH, LOGISTYKACH, ARTYLERZYSTACH, PRZECIWLOTNIKACH CZY CHEMIKACH.

Jednostka do wielu zadań

Specjaliści z Brzegowej Grupy Ratownictwa na nudę na pewno nie mogą narzekać. Służą wszak w jednym z najwszechstronniejszych pododdziałów polskiej armii.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

O tej tragedii mówiła bez mała cała Polska. 5 maja 2018 roku, tuż przed godziną 11.00 w jastrzębskiej kopalni Zofiówka doszło do tąpnięcia. Jak się wkrótce okazało, najsilniejszego w dziejach przedsiębiorstwa. Pod ziemią zostało uwięzionych siedmiu górników. Dwóch udało się uratować, ciała dwóch kolejnych zostały szybko zlokalizowane. Nikt nie wiedział jednak, gdzie znajdują się pozostali, ani tym bardziej, czy żyją. Rozpoczęła się dramatyczna walka z czasem. Cztery dni później resort obrony poinformował: na miejsce katastrofy pojechali specjaliści z Brzegowej Grupy Ratowniczej. Włączą się w poszukiwania.

DRAMAT I CZEKANIE

„To była najbardziej nietypowa akcja, w jakiej mieliśmy wziąć udział”, wspomina st. bosman Robert Bojko, dowódca grupy ratowniczej. „Przez kilka dni śledziliśmy relacje w mediach. Ale tak naprawdę dopiero na miejscu dotarło do nas, co się w Zofiówce wydarzyło”, dodaje. Silny wstrząs dosłownie wprasował kopalniany chodnik w strop. „Zjechaliśmy 700 m pod powierzchnię. Potem 2 km kolejką i kolejne dwa pieszo – aż do wyrobiska. Ostatnie kilkaset metrów pokonaliśmy niemal w całości na czworakach. Temperatura przekraczała 40°C, a w powietrzu cały czas jeszcze unosił się pył”, opowiada st. bosman Bojko. Po tąpnięciu pod ziemią powstało rozlewisko, które blokowało ekipom poszukiwawczym możliwość posuwania się naprzód. Tymczasem właśnie w tamtym rejonie ratownicy natrafili na sygnał pochodzący z górniczych lampek osób zaginionych. W spenetrowaniu terenu pomóc miały pojazdy podwodne obsługiwane przez specjalistów z Gdyni. Gdyby się okazało, że górnicy żyją, marynarze za pomocą specjalistycznego sprzętu mogliby podjąć próbę tłoczenia powietrza do szczelin, w których czekano na pomoc. W podobny sposób utrzymuje się przy życiu załogę zatopionego okrętu podwodnego. „Ostatecznie jednak nie dostaliśmy zgody na użycie

HISTORIA

POCZĄTKI BRZEGOWEJ GRUPY RATOWNICZEJ SIĘGAJĄ 1972 ROKU. WÓWCZAS TO ZOSTAŁA SFORMOWANA GRUPA RATOWNICZA Z LĄDU, KTÓRA MIAŁA ZABEZPIECZAĆ DZIAŁANIA MARYNARKI WOJENNEJ W STREFIE PRZYBRZEŻNEJ.

Początkowo stacjonowała w Gdyni. Dwie dekady później, już pod nową, obowiązującą do dziś nazwą pododdział został przeniesiony do Kołobrzegu. W 2006 roku tamtejsza Komenda Portu Wojennego przeszła jednak do historii, BGR zaś wróciła do Gdyni. 1 lipca weszła w skład Dywizjonu Okrętów Wsparcia 3 Flotylli Okrętów.

BGR to jedyny pododdział marynarki wojennej przeznaczony do wykonywania zadań ratowniczo-nurkowych zarówno na morzu, jak i akwenach śródlądowych. Służący w Grupie żołnierze operują na terytorium całej Polski. Do ich zadań należy m.in. zabezpieczanie działalności sił przeciwminowych, a także załadunku i wyładunku sprzętu na okręty transportowo-minowe (takie operacje odbywają się często wprost z plaży), pomoc w ściąganiu z mielizny jednostek pływających, prowadzenie akcji ratowniczych zarówno samodzielnie, w strefie przybrzeżnej, jak i we współpracy ze specjalistycznymi okrętami, w dowolnej odległości od brzegu. Nurkowie z BGR regularnie szkolą się we współpracy z polską marynarką, wojskami sojuszniczymi oraz służbami cywilnymi. W ciągu przeszło 40 lat wzięli udział m.in. w ćwiczeniach „Anakonda", „Baltops", „Ostrobok", „Rekin", „Bold Monarch" (międzynarodowe manewry związane z ratowaniem okrętów podwodnych), czy „Sarex" (największe coroczne ćwiczenia SAR na Bałtyku). BGR liczy 30 marynarzy.

RADOSŁAW PIOCH/3 FO

pojazdów. Stężenie metanu w miejscu katastrofy okazało się zbyt duże", tłumaczy dowódca grupy ratowniczej i dodaje: „Kiedy po czterech godzinach wyjechaliśmy z kopalni, miałem wrażenie, że wypociłem tam kilka kilogramów".

Marynarze z BGR spędzili na Śląsku pięć dni. W tym czasie przeszli specjalistyczny kurs w ośrodku, gdzie szkolą się górniczy ratownicy. „Trzy metry pod ziemią uczyliśmy się pokonywać ciasne korytarze, przeszkody spowodowane przez zawały, przesmyki. Bez tego w ogóle nie moglibyśmy zjechać do kopalni – wspomina st. bosman Bojko. Potem był rekonesans, wreszcie czekanie. Aż zmienią się warunki, stężenie metanu spadnie, zdarzy się cud. Nie zdarzył się. Górnicy nie przeżyli. Najpewniej zginęli już w chwili tąpnięcia. Ratownikom z Gdyni ostatecznie nie było dane wkroczyć do akcji. „Ze Śląska wyjechaliśmy jednak bogatsi o wiedzę i doświadczenie, które kiedyś mogą nam się przydać", przekonuje st. bosman Bojko. Bo BGR to pododdział uniwersalny. Jeden z najbardziej uniwersalnych w polskiej armii.

Z MORSKIEGO DNA

Ich żywioł to jednak przede wszystkim morze. Brzegowa Grupa Ratownicza działa w strukturach marynarki wojennej. Wchodzi w skład Dywizjonu Okrętów Wsparcia, który z kolei jest częścią 3 Flotylli Okrętów w Gdyni. Trzon trzydziestoosobowego zespołu stanowią nurkowie – od zdobywających

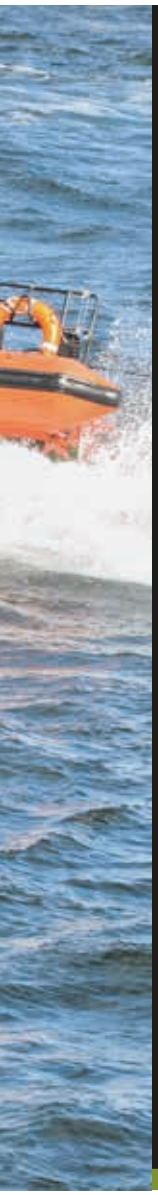

SPRZĘT

BRZEGOWA GRUPA RATOWNICZA DYSPONUJE TRZEMA ŁODZIAMI, Z KTÓRYCH SĄ PROWADZONE NURKOWANIA.

Największa z nich ma 12 m długości i jest wyposażona w wielofunkcyjną konsolę zintegrowaną z nadajnikiem GPS, echosondą, radarem czy kompasem satelitarnym. Rozwija prędkość do 30 w. i może operować do 20 Mm od brzegu na akwenach, których głębokość wynosi nie mniej niż 0,8 m. Jednostka mieści dwóch członków załogi i 12 pasażerów. Pozostałe łodzie są mniejsze, mają odpowiednio 6,2 oraz 4,5 m długości.

Marynarze z BGR korzystają z dwóch zdalnie sterowanych pojazdów podwodnych ROV Seabotix LBV 150. Pododdział ma też trzy ciężarówki Star, jeden samochód Honker, którym na miejsce akcji podróżują nurkowie, oraz samochód Iveco Stralis (zdjęcie z prawej) do transportu przenośnej

komory dekompresyjnej, zwanej sercówką (zdjęcie u góry).

Nurkowie z BGR mogą schodzić pod wodę zarówno w sprzęcie autonomicznym, jak i przewodowym (są połączeni z lądem specjalną wiązką, na którą składają się m.in. przewody zapewniające czynniki oddechowe oraz łączność). Do pierwszej kategorii zaliczają się zestawy Nurpak 03 i Nurpak 04, do drugiej zestaw nurka ciężkiego z hełmem Kirby Morgan 37 oraz lekki zestaw DP1. Do dyspozycji mają sonar Hammerhead (opuszczany z łodzi; pozwala na 360-stopniowe zobrazowanie dna w wysokiej rozdzielczości), urządzenie do cięcia pod wodą Holmatro, motopompy oraz piły spalinowe. BGR posiada też przewożony na przyczepie S-22 tzw. zestaw socjalno-bytowy. Głównym jego elementem są namioty Drash XB, które zostały wyposażone w system ogrzewania, klimatyzację, a także układaną z klepek podłogę. ■

ARCH. BGR

dopiero szlify młodszych nurków po najbardziej doświadczonych starszych nurków ratownictwa, którzy mogą działać na głębokościach sięgających nawet 90 m. Specjaliści z BGR zwykle jednak wykonują zadania w strefie przybrzeżnej, gdzie są w stanie dotrzeć znacznie szybciej niż okręty ratownicze. Mało tego – często dla tego typu jednostek jest tam po prostu za płytko.

Próbkę swoich umiejętności ratownicy dali chociażby cztery lata temu, podczas ćwiczeń „Baltops ’15”. Wówczas na poligonie w pobliżu Ustki desantowali się żołnierze z kilku państw. W operacji wziął udział m.in. ORP „Lublin”, jeden z polskich okrętów transportowo-minowych. Stanął nieopodal plaży, a z jego pokładu zjechał do morza pływający transporter PTS-M. Przerzucił na brzeg oddział fińskiej piechoty morskiej. Kiedy wracał na okręt, nakryła go wysoka fala. Pojazd zaczął tonąć. „Nasi nurkowie zabezpieczali desant z łodzi. Szybko wyłowili dwóch znajdujących się w transporterze żołnierzy. Nikomu nic się nie stało”, tłumaczy kmdr ppor. Michał Czerwiak, dowódca BGR. Ratownicy z Gdyni ten wariant mają doskonale przećwiczony, ponieważ z Dywizjonem Okrętów Transportowo-Minowych współpracują regularnie. Przede wszystkich podczas treningów załadunku i wyładunku sprzętu na tzw. nieuzbrojony brzeg. Wojskowe pojazdy przemieszczają się wówczas pomiędzy okrętem a plażą, samodzielnie brodząc i płynąc, albo na spiętych we wstęgę pomostach. „Takie operacje wiążą się z niemałym ryzykiem. Dlatego też często zapewniamy im asystę. Prowadzimy obserwację od strony morza i pozostajemy w stałym kontakcie z załogą okrętu”, wyjaśnia por. mar. Paweł Sadownik, zastępca dowódcy BGR. Tymczasem zadania grupy wiążą się nie tylko z ratownictwem. →

ST. BOSMAN ROBERT BOJKO: „Akcja w kopalni Zofiówka była najbardziej nietypową, w jakiej mieliśmy wziąć udział. Przez kilka dni śledziliśmy relacje w mediach. Ale tak naprawdę dopiero na miejscu dotarło do nas, co się wydarzyło”.

RADOSŁAW PIOCH/3 FO

„Oczyszczaliśmy już portowe baseny w Gdyni, Helu i na Westerplatte z przedmiotów, które mogłyby przeszkadzać w żegludze: starych opon, pali... Co trzy miesiące nasi nurkowie przeprowadzają też podwodne inspekcje kadłubów jednostek marynarki wojennej. Sprawdzamy, czy nie ma tam na przykład jakichś przebić, nieszczelności”, wyjaśnia por. mar. Sadownik. Ot, proza codziennej służby...

Zdarzają się jednak akcje wykraczające poza rutynę. Tak było chociażby w 2014 roku, kiedy to specjaliści z BGR pomagali w wydobyciu spoczywającego na dnie Bałtyku lekkiego bombowca Douglas z czasów II wojny światowej. Szczątki samolotu odkryli naukowcy z Instytutu Morskiego w Gdańsku. Nurkowie zlustrowali wrak z użyciem pojazdów podwodnych. Następnie zeszli pod wodę, by sprawdzić, czy nie skrywa on niebezpiecznych substancji bądź materiałów wybuchowych mogących się uaktywnić w momencie jego podźwignięcia. Kolejnym krokiem było podkopanie samolotu i założenie pontonów wydobywczych oraz systemu zawiesi, które zostały podwieszone do dźwigu. W sumie nurkowie marynarki – z BGR, ale też z okrętów ratowniczych ORP „Piast” i ORP„Lech”, spędzili pod wodą 40 godzin. Szczątki douglasa zostały przekazane do Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie.

Swoistą wyprawą w przeszłość było też zadanie wykonywane na Jeziorze Kamionkowskim w Warszawie. „Przeszło trzy lata lustrowaliśmy jego dno. W czasie II wojny światowej do jeziora spadł zestrzelony przez Niemców liberator, który latał z zaopatrzeniem dla powstańczej Warszawy. Udało nam się wówczas znaleźć zbiornik oleju, który stanowił część konstrukcji samolotu”, wspomina por. mar. Sadownik. W akcji brali też udział nurkowie z 13 Dywizjonu Trałowców i Ośrodka Szkolenia Nurków i Płetwonurków WP oraz pracownicy Muzeum Marynarki Wojennej. „Dla nas był to doskonały trening. Tym bardziej wartościowy, że nietypowy. Im więcej takich szkoleń udaje nam się zaliczyć, tym lepiej”, podkreśla zastępca dowódcy BGR.

PSYCHOLOGIA POD LODEM

Najpierw należy sprawdzić, jak gruby jest lód. Jeśli ma co najmniej 15 cm, można na nim założyć stanowisko nurkowe, wykuć przerębel i odgarnąć zalegający wokół śnieg. Widoczna spod wody

TRZY PYTANIA DO

Michała Czerwiaka

Co wyróżnia pana pododdział spośród innych jednostek polskiej armii?

Jesteśmy jedynym pododdziałem, który wykonuje zadania ratowniczo-nurkowe zarówno na morzu, jak i akwenach śródlądowych. Choć stanowimy część marynarki wojennej, a konkretnie Dywizjonu Okrętów Wsparcia 3 Flotylli Okrętów, działamy na terytorium całego kraju. Brzegowa Grupa Ratownicza dysponuje aż trzema grupami nurków o różnym stopniu kwalifikacji. W swoich szeregach mamy młodszych nurków, nurków ratownictwa oraz starszych nurków ratownictwa. Do tego jesteśmy pododdziałem bardzo mobilnym. Posiadamy swoją komorę dekompresyjną, własny transport, jesteśmy w stanie sprawnie przemieścić się we wskazane miejsce i niezwłocznie przystąpić do działania.

Jakich ludzi zatem potrzebujecie?

Przede wszystkim wykwalifikowanych nurków, ale nie tylko. W BGR mamy także sekcje medyczną i techniczną. W skład tej pierwszej wchodzi lekarz oraz dwóch ratowników medycznych. Do ich zadań należy czuwanie nad bezpieczeństwem nurków. Marynarze z sekcji technicznej to przede wszystkim kierowcy, odpowiedzialni za sprawność i stan techniczny pojazdów oraz za dowiezienie nurków na miejsce akcji.

A w jaki sposób pozyskujecie kandydatów do służby?

Optymalnym rozwiązaniem jest pozyskiwanie ludzi z dużym doświadczeniem, ponieważ samo szkolenie do naszych potrzeb, zwłaszcza szkolenie nurków, to proces kosztowny i długotrwały. Czasem się to udaje – przychodzą do nas na przykład specjaliści, którzy mają za sobą służbę na okrętach ratowniczych. Niestety, nie zdarza się to często. Bywa i tak, że służbę u nas rozpoczynają osoby, które do armii wstąpiły z narodowych sił rezerwowych, albo żołnierze z innych rodzajów sił zbrojnych, przede wszystkim z wojsk lądowych. Zwykle wymagają oni odpowiedniego przeszkolenia, ale i tak cieszymy się, że są z nami. ■

Kmdr ppor. MICHAŁ CZERWIAK jest dowódcą Brzegowej Grupy Ratowniczej w Gdyni.

jasna plama sprawi, że droga na powierzchnię będzie dla nurków łatwiejsza. I tak jednak to, co robią, pozostaje niezwykle trudne. Pod lodem nawet na niewielkich głębokościach jest ciemno. Do tego dochodzi chłód i świadomość, że w razie problemów nie można się wynurzyć w dowolnym miejscu.

A to dopiero początek. Każdej zimy marynarze z BGR wybierają się do Mrągowa nad jezioro Czos, by ćwiczyć nurkowanie należące do najtrudniejszych. Tak było również w tym roku. „Przez dwa tygodnie trenowaliśmy poszukiwanie przedmiotów i wydobywanie ich na powierzchnię”, wspomina kmdr ppor. Czerwiak. Zgodnie z procedurami najpierw do przerębla opuszczany był sonar Hammerhead. „Jeśli trafił na obiekt, który mógł się okazać dla nas interesujący, nurkowie uruchamiali przewodowy pojazd podwodny Seabotix. Miał on pomóc w dokładnym zlustrowaniu znaleziska. Dopiero po nim do wody schodzili nurkowie. Zawsze parami, by jeden mógł ubezpieczać drugiego. Dodatkowo każdy z nich był połączony linką z czuwającym na górze sygnalistą. Nad wszystkim pieczę mieli jeszcze kierownik nurkowania, lekarz, ratownik medyczny i obsługa komory dekompresyjnej”, wylicza dowódca BGR. Czasem widoczność pod wodą była tak słaba, że obraz z pojazdu nie wystarczył i ostatecznej identyfikacji musieli dokonywać sami nurkowie. W trakcie treningu schodzili na głębokość sięgającą 12 m i wydobywali na powierzchnię manekiny bądź obciążone pojemniki.

Ważnym elementem były też ćwiczenia z samoratowania. Pod wodą może się zdarzyć, że nurkowi zerwie się linka sygnałowa i straci on orientację. Wówczas ma kilka sposobów, żeby się ratować. Przede wszystkim wkręca w lód specjalną śrubę, którą ma przy sobie. W ten sposób zawiadamia czuwających na powierzchni kolegów, gdzie się znajduje. Jeśli to nie zda egzaminu, musi spróbować za pomocą noża samodzielnie wybić dziurę w lodzie albo, mocując do śruby linkę z kołowrotka, ruszyć na poszukiwania przerębli. „Umiejętność nurkowania pod lodem jest dla nas bardzo ważna, ponieważ zimą może on skuć nie tylko jeziora czy rzeki, lecz także morze w niewielkiej odległości od brzegu. A przecież niewykluczone, że będziemy zmuszeni działać w takich właśnie warunkach”, zaznacza kmdr ppor. Czerwiak.

Na tym jednak nie koniec. Nurkowie z BGR ćwiczyli już na najgłębszym w Polsce jeziorze Hańcza, skakali ze śmigłowca do Bałtyku, na lądzie pokonywali tory psychologiczne (musieli się przedostawać na przykład przez ciasne zadymione przestrzenie), jesienią zaś wyruszają w góry. W planach – nurkowanie na większych niż zazwyczaj wysokościach, ale też wspinaczka. „Chcemy się ciągle uczyć, doświadczać czegoś nowego, bo tragedia w Zofiówce potwierdziła, że przyszłość jest nieodgadniona. Nigdy nie wiadomo, jakie umiejętności mogą się przydać”, podkreśla por. mar. Sadownik. „I właśnie ta różnorodność jest w naszej służbie najciekawsza”. ■

ZWIADOWCY Z 6 BRYGADY POWIETRZNODESANTOWEJ PRZYGOTOWUJĄ SIĘ DO DZIAŁANIA W MIASTACH

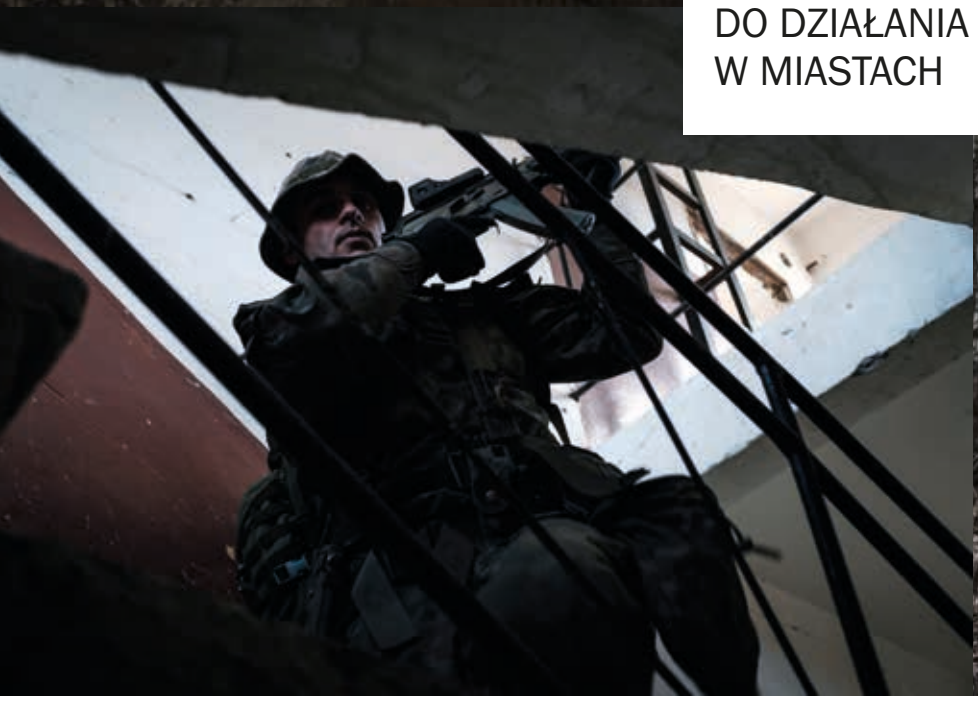

Miasto duchów

Współczesne konflikty toczą się głównie w miastach, co znacząco wpłynęło na przemodelowanie taktyki. Jedna zasada pozostaje jednak niezmienna od lat – aby zwyciężać, potrzebne jest skuteczne rozpoznanie.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

Drużyna zwiadowców powoli przedziera się przez las. Każdy krok jest bardzo spokojny i przemyślany. Ludzkie oko jest wyczulone na dynamiczny ruch, dlatego nawet podczas pokonywania otwartej przestrzeni żołnierze robią to sprawnie, ale unikają biegu. Przy tym poruszają się bezszelestnie, niczym duchy. Dzięki temu trudniej ich wykryć, ale i oni więcej słyszą. Dochodzące zewsząd szmery mogą oznaczać podmuch wiatru, ale także obecność przeciwnika.

Kontakt z wrogim patrolem to koniec misji, dlatego zwiadowcy będą unikać wymiany ognia. Aby pozostać nieuchwytnymi, żołnierze wykorzystują specjalny ekwipunek. Z siatkami maskującymi na głowach i ciałach przypominają pradawne stworzenia strzegące spokoju lasu. Jest to naturalne środowisko dla żołnierzy z 6 Brygady Powietrznodesantowej. Aby jednak rozpocząć obserwację, zwiadowcy będą musieli je porzucić.

Skulone sylwetki pojedynczo przemykają przez ulicę. W tym czasie reszta drużyny zapewnia osłonę. Taktyka, którą zastosowali, przypomina zachowanie podczas szturmu na budynek, ale tutaj

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

Aby pozostać nieuchwytnym w miejskiej dżungli, należy działać dynamicznie. Żołnierze muszą przy tym zachować skupienie oraz wykazać się pomysłowością.

nikt nie strzela. Kompleks wcześniej został dokładnie rozpoznany i uznany za dobre miejsce do założenia posterunków obserwacyjnych. Trzeba jednak pozostać ostrożnym. W jego wnętrzu wciąż mogą się znajdować wrogie pododdziały lub cywile.

Żołnierze docierają pod wysoką na kilka metrów ścianę. Zmierzając w kierunku drzwi, przez cały czas pilnują wyznaczonych sektorów i dokładnie, ale dynamicznie, sprawdzają każdą wnękę. Zwiadowcy podobnie zachowują się w pomieszczeniach, bo opuszczone wnętrza wciąż mogą być zaminowane. Następnie pododdział rozkłada sprzęt potrzebny do prowadzenia obserwacji oraz utrzymania łączności. Wydziela także specjalne pomieszczenia na odpoczynek oraz drogi ewakuacji. Przy schodach rozkładają takie przedmioty jak butelki czy blachy, żeby hałas ostrzegł ich przed niebezpieczeństwem. Do tego momentu plan przebiega bez żadnych komplikacji, ale trzeba zakładać każdy scenariusz, zwłaszcza że na piętrze niewielkiego budynku spędzą wiele godzin, a nawet dni.

Większość misji prowadzonych przez żołnierzy rozpoznania 6 Brygady Powietrznodesantowej zaczyna się od zielonej taktyki, ponieważ zrzut najczęściej odbywa się poza terenem zurbanizowanym. Żołnierze muszą jednak płynnie przechodzić z lasów do działania w mieście. „Musimy być przygotowani do zdobywania informacji w każdym środowisku. Dlatego jednym z najważniejszych dla nas celów jest otwarcie się na działania w terenie zurbanizowanym. Wymaga to specyficznej taktyki, ale jako zwiadowcy szybko umiemy się adaptować”, podkreśla st. szer. Piotr Sobczak.

W pododdziałach rozpoznania 6 Brygady Powietrznodesantowej są teraz prowadzone szkolenia przygotowujące żołnierzy do walki w nowym środowisku. Ich program jest oparty na doświadczeniach, które przekazali im Amerykanie. ■

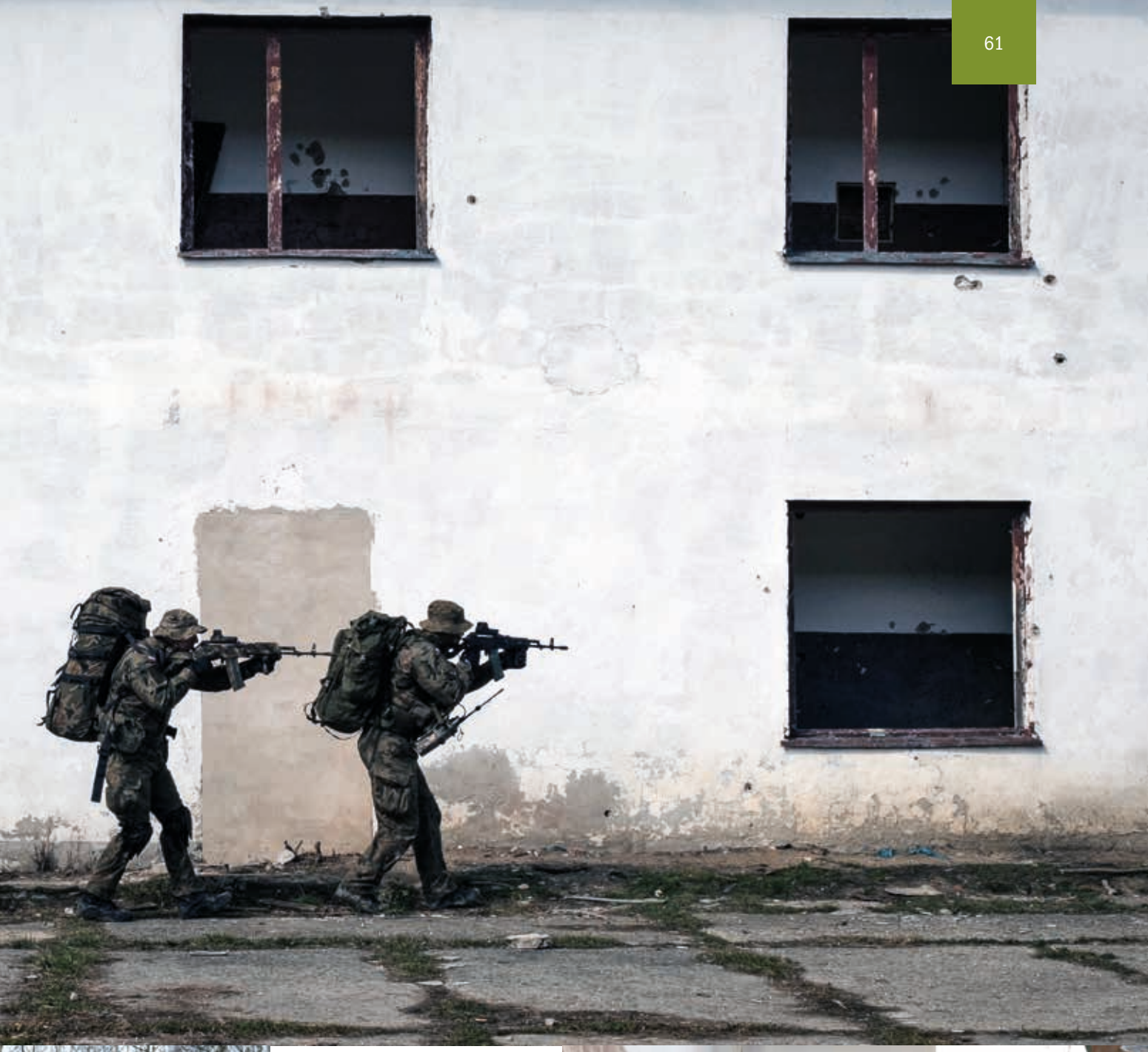

PROWADZENIE ROZPOZNANIA W TERENIE ZURBANIZOWANYM WYMAGA SPECYFICZNEJ TAKTYKI

HOMAR,
czyli program zakupów wyrzutni rakietowych HIMARS, jest jednym z priorytetów w budżecie ministerstwa obrony.

DROGOWSKAZ NA PRZYSZŁOŚĆ

164 mld zł polski rząd chce wydać na modernizację techniczną do 2026 roku.

KRZYSZTOF WILEWSKI

US ARMY

Jednym z najważniejszych dokumentów, jeśli nie najważniejszym, określających zadania stojące przed polską armią jest program rozwoju sił zbrojnych. Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak podpisał najnowszą edycję, obejmującą lata 2017–2026. Ten dokument zakłada odbudowę potencjału militarnego na wschodniej ścianie kraju. Sformowanie 18 Dywizji Zmechanizowanej w Siedlcach, zwiększenie liczebności 16 Dywizji Zmechanizowanej, która z Elbląga przeniosła się do Białobrzegów, oraz odtworzenie 14 Pułku Przeciwpancernego w Suwałkach to tylko najważniejsze przyjęte w nim założenia.

Aby Ministerstwo Obrony Narodowej mogło opracować program rozwoju sił zbrojnych, niezbędne było jednak przyjęcie rządowej uchwały „Szczegółowe kierunki przebudowy i modernizacji technicznej sił zbrojnych na lata 2017–2026". Nie tylko wskazuje ona modernizacyjne priorytety armii, lecz także koreluje je z zobowiązaniami międzynarodowymi Polski. W przyjętym w czerwcu 2018 roku dokumencie określono, że zmiany powinny dotyczyć sprzętu rozpoznania i walki radioelektronicznej, systemu obrony powietrznej, sprzętu dowodzenia i łączności, przeciwpancernych pocisków kierowanych, kołowych transporterów opancerzonych, średnich samolotów transportowych, okrętów i sprzętu morskiego, czołgów i sprzętu elektronicznego. Oba dokumenty dały podstawę do stworzenia „Planu modernizacji technicznej na lata 2017–2026". Jego bardzo ogólne założenia (dokument jest niejawny) minister obrony Mariusz Błaszczak ujawnił opinii publicznej pod koniec lutego 2019 roku.

Gen. broni RAJMUND ANDRZEJCZAK, szef Sztabu Generalnego WP, podkreśla, że w planach zakupowych na najbliższe lata dominuje „rażenie", czego znakiem są samoloty piątej generacji: „Pozwolą one wedrzeć się w miejsca osłaniane przez przeciwnika, zwiększając zdolność reakcji szczebla operacyjnego".

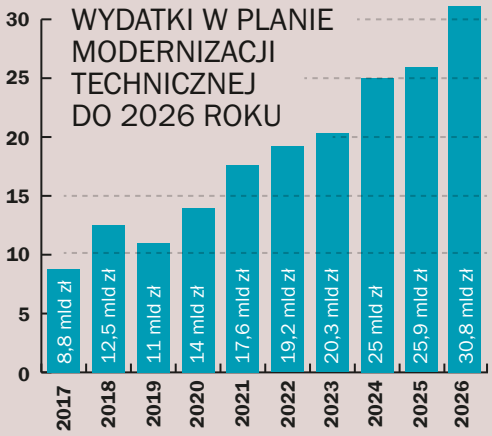

USAF

REKORDOWY PLAN

„Plan modernizacji technicznej to swoista mapa drogowa, fundament rozwoju polskich sił zbrojnych. Jego podpisanie poprzedzone było wieloma naradami, grami decyzyjnymi, odprawami, konsultacjami, m.in. z ekspertami z NATO", wyjaśniał minister Mariusz Błaszczak, podkreślając, że do 2026 roku rząd chce przeznaczyć na unowocześnienie sił zbrojnych aż 164 mld zł. „To więcej o 45 mld zł niż zakładał poprzedni PMT", podkreślał minister, dodając, że nowy sprzęt będzie kierowany w pierwszej kolejności do jednostek ulokowanych po wschodniej stronie Wisły, przede wszystkim do 18 Dywizji Zmechanizowanej, a później do 16 Dywizji Zmechanizowanej.

Zgodnie z tym dokumentem armia będzie realizowała 16 strategicznych programów moderniza-

MILIONY NA SPRZĘT

PRIORYTETEM JEST ZAKUP NOWYCH SAMOLOTÓW WIELOZADANIOWYCH PIĄTEJ GENERACJI

WYDATKI PMT W LATACH 2019–2026

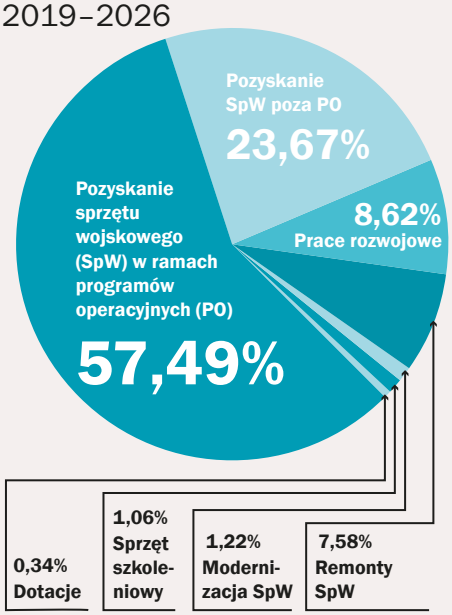

16 KLUCZOWYCH PROGRAMÓW

HARPIA	– samolot wielozadaniowy piątej generacji
NAREW	– przeciwlotnicze baterie rakietowe krótkiego zasięgu
KRUK	– śmigłowce uderzeniowe
CYBER.MIL	– obrona cybernetyczna
WISŁA	– przeciwlotnicze i przeciwrakietowe zestawy średniego zasięgu
GRYF	– taktyczne drony średniego zasięgu
WAŻKA	– drony klasy micro
PŁOMYKÓWKA	– samoloty rozpoznania z powietrza
MIECZNIK	– okręty obrony wybrzeża
ORKA	– okręty podwodne
REGINA	– dywizjonowe moduły ogniowe armatohaubic Krab kalibru 155 mm
RAK	– moździerze samobieżne kalibru 120 mm
HOMAR	– wieloprowadnicowe wyrzutnie rakietowe
PUSTELNIK	– przeciwpancerne pociski kierowane
BORSUK	– nowy bojowy wóz piechoty
MUSTANG	– samochody osobowo-ciężarowe wysokiej mobilności

MARIUSZ BIENIEK/6BPD

cyjnych. Priorytetem jest zakup nowych samolotów wielozadaniowych piątej generacji. „Takie maszyny zmultiplikują zdolności samolotów F-16. Doprowadzą również do skoku jakościowego, takiego jakim przed laty było kupienie maszyn F-16”, argumentował szef MON-u. Potwierdził to szef Sztabu Generalnego WP, gen. broni Rajmund Andrzejczak, który podkreślał, że w planach zakupowych na najbliższe lata dominuje „rażenie”, czego znakiem są właśnie samoloty piątej generacji. „Pozwolą one wedrzeć się w miejsca osłaniane przez przeciwnika, zwiększając zdolność reakcji szczebla operacyjnego”.

Co oprócz maszyn, które mają zastąpić w linii wysłużone Su-22 i MiG-29? W telegraficznym skrócie to realizacja już rozpoczętych programów modernizacyjnych, takich jak „Wisła” – czyli zakup kolejnych baterii przeciwlotniczych i przeciwra-

RAYTHEON

kietowych zestawów Patriot; „Regina” – pozyskiwanie kolejnych modułów dywizjonowych armatohaubic Krab kalibru 155 mm; „Rak” – kolejne moduły kompanijne 120-milimetrowych moździerzy automatycznych na podwoziu KTO Rosomak; „Homar” – kolejne dywizjony wieloprowadnicowych wyrzutni rakietowych HIMARS.

Z nowych systemów uzbrojenia i sprzętu wojskowego zostaną pozyskane systemy przeciwlotnicze krótkiego zasięgu o kryptonimie Narew (następcy systemów Osa i Kub), śmigłowce uderzeniowe Kruk (następcy Mi-24), drony taktyczne średniego zasięgu Gryf i klasy micro Ważka, samoloty rozpoznawcze Płomykówka, okręty obrony wybrzeża typu Miecznik oraz podwodne typu Orka (następcy okrętów klasy Kobben), przeciwpancerne pociski kierowane Pustelnik (o krótszym zasięgu niż ppk Spike), bojowe wozy piechoty Borsuk (następca BWP-1) oraz samochody osobowo-ciężarowe Mustang (następca honkera).

KOSZT BUDOWY TARCZY POLSKI, CZYLI NOWEGO SYSTEMU OBRONY PRZECIWRAKIETOWEJ I PRZECIWLOTNICZEJ, LICZONY JEST W DZIESIĄTKACH MILIARDÓW ZŁOTYCH

MILIARDOWE SZACHY

Niestety podczas lutowej prezentacji PMT na lata 2017–2026 minister obrony narodowej, poza deklaracjami co do wielkości (przybliżonej, bo zależnej od nieznanego jeszcze PKB kraju w danym roku) budżetów modernizacyjnych do roku 2026, nie zdradził, jak będą rozdzielone pieniądze na poszczególne programy zakupowe. Rąbka finansowej tajemnicy resort uchylił nieco podczas Dnia Przemysłu zorganizowanego przez Departament Polityki Zbrojeniowej, gdy przedstawiciele wojskowych instytucji zaangażowanych w pozyskiwanie uzbrojenia i sprzętu wojskowego debatowali z reprezentantami rodzimej zbrojeniówki na temat planu modernizacji i wyzwań stojących przed przemysłem i armią.

Jak wyjaśnił wówczas płk Robert Frommholz, naczelnik Wydziału Pozyskiwania Sprzętu w Departamencie Polityki Zbrojeniowej, ze 164 mld zł przeznaczonych na modernizację do roku 2026 ponad 80% zostanie wydane na zakupy, 57,49% – na pozyskanie sprzętu wojskowego w ramach programów operacyjnych, a poza nimi – 23,67%. „Ponad 8% przeznaczymy na prace rozwojowe, a 7,5% na remonty”, wyjaśniał i dodał, że na te ostatnie zostanie wydanych ponad 12 mld zł, z czego na technikę lotniczą – 39%, czołgi i wozy bojowe – 24%, obrona przeciwlotnicza, wojska rakietowe i artylerii – 13%, marynarkę wojenną – 12%, wojska inżynieryjno-saperskie – 2%, łączność i rozpoznanie – 3%, a uzbrojenie i broń małokalibrową – 2%.

Z systemów funkcjonalnych w perspektywie lat 2019–2026 najwięcej środków, bo prawie 60%, zdecydowano wydać na rażenie. Na zabezpieczenie logistyczne – 14%, rozpoznanie – 12%, dowodzenie – 6%, przetrwanie i ochronę wojsk – 6% oraz szkolenie – 2%. Jeśli chodzi o programy operacyjne, to najwięcej, bo około 32%, przeznaczymy na obronę powietrzną. Na marynarkę wojenną – 12,73%, wojska rakietowe i artyleria – 10,36%, śmigłowce – 9,28%, wojska pancerne i zmechanizowane – 8,66%, systemy wsparcia dowodzenia C4ISR – 7,77%, KTO Rosomak – 5,80%, rozpoznanie obrazowe – 5,75%, rozpoznanie patrolowe – 2,41%, program „Cyber.mil” – 2,11%, symulatory – 1,76%.

DUŻO ZNAKÓW ZAPYTANIA

Nowe bojowe wozy piechoty Borsuk – w wersji podstawowej z wieżą bezzałogową – mają być pozyskiwane od 2021 roku, a bazujące na nich wersje specjalistyczne – rozpoznawcze, dowodzenia i rozpoznania skażeń – od 2022 roku. Rok później ma się rozpocząć zakup 120-milimetrowych samobieżnych moździerzy Rak w wersji gąsienicowej. Ministerstwo obrony zrezygnowało natomiast z zefirów, czyli dronów klasy operacyjnej, tzw. MALE (medium altitude long endurance – średnia wysokość, daleki zasięg), wyposażonych w rakiety kierowane i niekierowane, które były ujęte w poprzednim PMT. Zamiast nich kupimy uderzeniowe drony klasy mini Gladius.

W najbliższym czasie możemy się spodziewać negocjacji w sprawie harpii, czyli samolotów piątej generacji, podpisania umowy na dostawę maszyn rozpoznania patrolowego Płomykówka oraz systemów przeciwlotniczych krótkiego zasięgu (około 25 km) o kryptonimie Narew.

Przedstawiciel DPZ referujący jawne założenia PMT na lata 2019–2026 podkreślał, że te dane trzeba traktować jako wstępne szacunki. Ostateczna wielkość produktu krajowego brutto w danym roku zdecyduje bowiem o tym, jaka będzie dokładna wysokość budżetu modernizacyjnego. Niemniej jednak kwota 164 mld zł oraz to, że na nową broń i uzbrojenie chcemy za siedem lat przeznaczyć trzy razy tyle co w tym roku, daje nadzieję, że uda się zrealizować trudny i kosztowny projekt unowocześnienia naszych sił zbrojnych. A potrzeby są ogromne. Tylko na program zakupu okrętów podwodnych potrzeba około 10–12 mld zł, a koszt budowy Tarczy Polski, czyli nowego systemu obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej, liczony jest w dziesiątkach miliardów złotych. ■

PGZ

INNOWACJE DLA BEZPIECZEŃSTWA LUDZI

PCO

WWW.PCOSA.COM.PL

Skrzydła małego smoka

Tajwan we współpracy ze Stanami Zjednoczonymi stara się wzmocnić potencjał bojowy lotnictwa myśliwskiego.

TADEUSZ WRÓBEL

Przez kilkadziesiąt lat kluczowy element systemu obronnego Republiki Chińskiej stanowiło lotnictwo, które dysponowało nowocześniejszymi samolotami niż przeciwnik, czyli Chińska Republika Ludowa. Komuniści mieli więcej statków powietrznych, ale w większości wywodzących się z konstrukcji sowieckich z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Pekin jednak na wiele lat został pozbawiony dostępu do tego źródła, bo Mao Zedong popadł w konflikt z Moskwą. Po rozpadzie Związku Sowieckiego nastąpiło jednak zbliżenie pomiędzy ChRL a Federacją Rosyjską, więc chińscy komuniści mogli kupować już od Moskwy zarówno gotowe maszyny, jak i licencje. Dzięki technologiom zdobytym w ten sposób oraz szpiegostwu zaczęli opracowywać nowe samoloty bojowe.

Tajwańczycy początkowo zrównoważyli częściowo tę przewagę zakupami myśliwców w Stanach Zjednoczonych i Francji oraz wprowadzeniem do służby maszyny własnej konstrukcji. Niemniej jednak w pierwszych dwóch dekadach XXI wieku czas grał na ich niekorzyść, bo szybko rozwijający się gospodarczo sąsiad mógł sobie pozwolić na duże inwestycje i do tamtejszych sił powietrznych trafiło ponad tysiąc bojowych odrzutowców, m.in. Su-30, J-10 i J-11 (licencyjny Su-27). Tajwan dysponuje mniejszymi zasobami finansowymi i na dodatek nie jest uznawany na arenie międzynarodowej przez większość państw, ma więc problemy z reakcją na powstałe w ten sposób zagrożenie. Jedynym realnym źródłem nowoczesnych samolotów bojowych są dla niego Stany Zjednoczone. Zgodnie z amery-

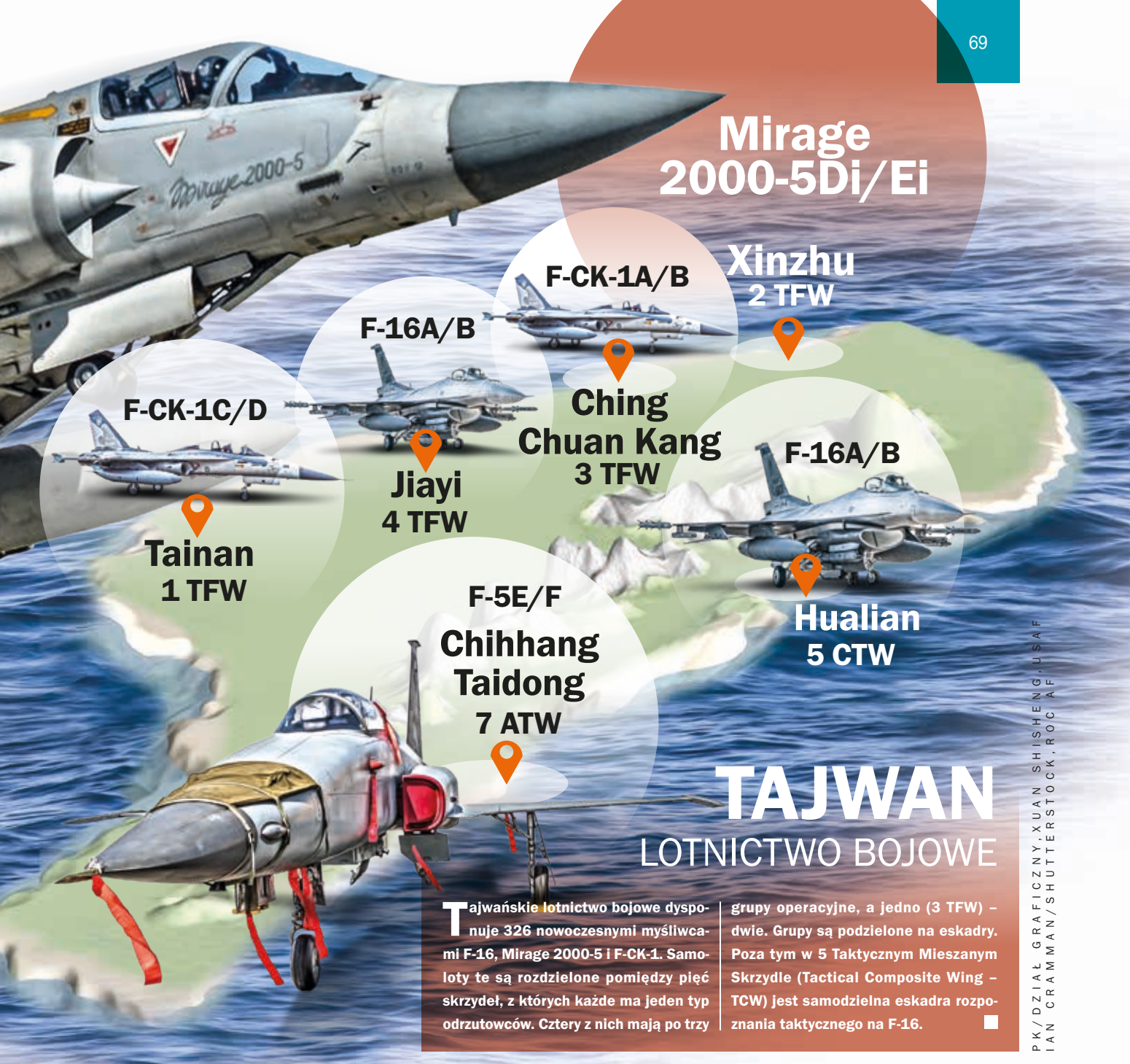

PK/DZIAŁ GRAFICZNY, XUAN SHISHENG, USAF
IAN CRAMMAN/SHUTTERSTOCK, ROC AF

TAJWAN
LOTNICTWO BOJOWE

Tajwańskie lotnictwo bojowe dysponuje 326 nowoczesnymi myśliwcami F-16, Mirage 2000-5 i F-CK-1. Samoloty te są rozdzielone pomiędzy pięć skrzydeł, z których każde ma jeden typ odrzutowców. Cztery z nich mają po trzy grupy operacyjne, a jedno (3 TFW) – dwie. Grupy są podzielone na eskadry. Poza tym w 5 Taktycznym Mieszanym Skrzydle (Tactical Composite Wing – TCW) jest samodzielna eskadra rozpoznania taktycznego na F-16. ■

PROGRAM SAMOLOTU Z WYKORZYSTANIEM TECHNOLOGII STEALTH nie będzie jedynym projektem dotyczącym wojskowych odrzutowców na Tajwanie. Trwają tam prace nad zaawansowanym samolotem szkolnym, który może być lekkim szturmowcem – XAT-5.

kańską ustawą o stosunkach z Tajwanem z 1979 roku może kupować stamtąd artykuły i usługi do celów obronnych.

PODSTAWĄ SZESNASTKI

W marcu 2019 roku w tajwańskich mediach pojawiła się informacja, że ministerstwo obrony złożyło oficjalny wniosek do Stanów Zjednoczonych o sprzedaż 66 myśliwców wielozadaniowych F-16V. Waszyngton ma 120 dni na udzielenie odpowiedzi, czyli musi to zrobić do końca czerwca. Jeśli będzie ona pozytywna, pierwsze myśliwce zostaną dostarczone pod koniec 2020 roku. Już kilka miesięcy temu pojawiły się doniesienia, że Tajwan chce kupić 72 egzemplarze F-16V. Ostatecznie jednak zrezygnowano z sześciu sztuk, które miały zastąpić utracone „szesnastki" z pakietu kupionego w 1992 roku. Podpisany wówczas kontrakt dotyczył 150 myśliwców F-16A/B Block 20 wraz z uzbrojeniem.

Teraz te maszyny w ramach programu „Phoenix Rising" są modernizowane do wersji F-16V Block 70. Pierwszy unowocześniony samolot przekazano tajwańskim siłom powietrznym w październiku 2018 roku. W planie jest modernizacja wszystkich myśliwców F-16, po 24 rocznie. Zostaną one m.in. wyposażone w nowe uzbrojenie, ponieważ biuro przedstawicielskie →

Tajpej w Waszyngtonie wnioskowało o sprzedaż pocisków powietrze–powietrze oraz wspólnej amunicji ataku bezpośredniego (Joint Direct Attack Munition – JDAM).

Zakup F-16V wynika w pewnym stopniu z braku alternatywy, dlatego że Waszyngton nie zgodził się na sprzedaż F-35B Lightning II, a właśnie tymi samolotami najbardziej byli zainteresowani Tajwańczycy. Jak podano w wychodzącym na wyspie dzienniku „China Times", Stany Zjednoczone poinformowały władze w Tajpej, że nie mają szans na zawarcie umowy na „trzydziestkipiątki" przez co najmniej dziesięć lat. Gdy uwzględni się czas potrzebny na wyprodukowanie kupionych samolotów oraz wyszkolenie personelu lotniczego, F-35 mógłby wejść do służby w lotnictwie Republiki Chińskiej najwcześniej za 18 lat.

ZAKUP F-16V WYNIKA W PEWNYM STOPNIU Z BRAKU ALTERNATYWY, BO WASZYNGTON NIE ZGODZIŁ SIĘ NA SPRZEDAŻ F-35B LIGHTNING II, A WŁAŚNIE TYMI SAMOLOTAMI BYLI NAJBARDZIEJ ZAINTERESOWANI TAJWAŃCZYCY

Nie po raz pierwszy zresztą Waszyngton odmawia Tajwanowi sprzedaży najnowszych maszyn. Podobnie było na etapie starań o F-16A/B i o F-16C/B Block 50/52. Wygląda na to, że Amerykanie obawiają się szpiegów ChRL wśród Tajwańczyków, którzy mogliby przejąć tajne informacje dotyczące najbardziej zaawansowanych w danym momencie samolotów myśliwskich USA.

AMBITNY PLAN

Skoro wyspiarze nie mają szans na zakup maszyn najnowszej generacji za granicą, to zamierzają opracować własny myśliwiec. Resort obrony poinformował, że ten plan jest elementem rządowej polityki rozwoju krajowego przemysłu obronnego. „Budowanie rodzimych samolotów i okrętów stało się niezwykle ważną polityką ministerstwa, odkąd prezydent Tsai Ing-wen objęła urząd", stwierdził minister obrony Feng Shih-kuan na spotkaniu z mediami. Nie podał on żadnych szczegółów dotyczących zarówno projektu, jak i przeznaczenia nowego samolotu. Dziennikarze wywnioskowali jednak z jego wypowiedzi, że będzie to maszyna dwusilnikowa o właściwościach stealth. Napęd ma powstać w Narodowym Instytucie Nauki i Technologii Chung-Shan, który specjalizuje się w zaawansowanych projektach militarnych. Tajwańczycy mają zresztą już pewne doświadczenie w projektowaniu silników odrzutowych. W krajowej konstrukcji napęd wyposażony jest na przykład myśliwiec F-CK-1 Ching-Kuo. Silnik do samolotu bojowego nowej generacji ma jednak mieć znacznie większą siłę ciągu. Ponadto w tym ośrodku badawczym trwają już prace nad radarem z aktywnym skanowaniem elektronicznym (active electronically scanned array – AESA).

W zaplanowanym na dziesięć lat programie nowego samolotu będzie uczestniczyć też centrum badawcze technologii lotniczych tajwańskich sił powietrznych. Według ministra Shih-kuana opracowanie odrzutowca nowej generacji jest najlepszą pod względem technologicznym i finansowym opcją, bo przyczyni się do rozwoju tajwańskiego przemysłu lotniczego.

BOJOWA TRÓJKA

Tajwańskie lotnictwo ma teraz myśliwce odrzutowe czterech typów – trzy do działań bojowych, a jeden, amerykański Northrop F-5E/F Tiger II, do szkolenia pilotów. W ramach programu „Hu An", realizowanego w latach 1973–1986 we współpracy z producentem, wyprodukowano w sześciu transzach 242 maszyny F-5E i 66 dwumiejscowych F-5F. Teraz w użyciu jest około 60 tych myśliwców, większość w 7 Skrzydle Szkolenia Lotniczego (Aviation Training Wing – ATW) w bazie lotniczej Chihhang w Taidong na wschodnim wybrzeżu Tajwanu. Tamtejsze F-5 mają zostać zastąpione przez F-CK-1A/B Ching-Kuo z 3 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego (Tactical Fighter Wing, TFW) z bazy Ching Chuan Kang w Taizhong na zachodzie Tajwanu, gdzie zostaną rozmieszczone nowe F-16V.

Ching-Kuo, pierwszy tajwański myśliwiec, powstał w efekcie odmowy sprzedaży przez USA F-16A/B na początku lat osiemdziesiątych XX wieku. W planach była produkcja 250 egzemplarzy, ale gdy administracja prezydenta George'a Busha zgodziła się na dostawę na wyspę 120 F-16A i 30 F-16B, zamówienie zredukowano do 130 maszyn. W sumie do stycznia 2000 roku powstało 131 Ching-Kuo, z których 71 w pierwszej dekadzie XXI wieku zmodernizowano do wersji C/D. Tajwan ma teraz 126 tych myśliwców.

Tajwańskie lotnictwo ma jeszcze do dyspozycji samoloty francuskie. W 1992 roku wyspiarze kupili 48 jednomiejscowych maszyn Mirage 2000-5Ei i 12 dwumiejscowych Mirage 2000-5Di wraz z 960 kierowanymi pociskami rakietowymi powietrze–powietrze średniego zasięgu MICA i 480 krótkiego zasięgu Magic II. Na potrzeby myśliwców Mirage 2000-5Di, które nie mają działka w kadłubie, kupiono zasobniki z parą 30-milimetrowych działek DEFA 554. W służbie pozostaje 56 tych maszyn. Chociaż francuskie samoloty mają prawie tyle lat co modernizowane F-16, Tajwańczycy chcą się ich pozbyć, gdyż okazują one bardzo kosztowne w użytkowaniu.

Ze względu na napięte relacje między USA i CHRL politycy w Waszyngtonie prawdopodobnie nie sprzeciwią się sprzedaży bojowych odrzutowców Tajwańczykom. Ta transakcja jednak nie poprawi ich sytuacji geopolitycznej, bo zanim na wyspę trafi kilkadziesiąt nowych samolotów, lotnictwo ChRL wzbogaci się o setki myśliwców. Co więcej, komuniści mają różne metody uderzenia w niepokorną wyspę, przed którymi jej mieszkańców nie ochronią bojowe odrzutowce. Można tu wskazać szeroką gamę rakiet wystrzeliwanych z lądu, morza i powietrza. Aczkolwiek zbrojna konfrontacja wydaje się dla Pekinu mocno niechcianą ostatecznością. ■

USA

Punkt krytyczny X-60A

Amerykanie przyspieszają prace nad bronią hipersoniczną.

W marcu Laboratorium Badawcze Sił Powietrznych USA wydało zgodę na rozpoczęcie budowy rakiety X-60A, nazywanej wcześniej GoLauncher 1. Oznacza to, że rozpoczęty w 2014 roku program przeszedł pomyślnie fazę krytyczną (Critical Design Review – CDR). Pierwszy lot hipersonicznej rakiety planowany jest

w przyszłym roku. Zostanie ona użyta wyłącznie do badań nad wysokimi prędkościami w laboratorium US Air Force.

X-60A ma osiągać prędkość osiem razy większą od prędkości dźwięku, czyli 9800 km/h. Jednym z wymienianych walorów tej rakiety jest stosunkowo niska cena. W pracach na hipersonicznymi statkami powietrznymi i pociskami rakietowymi, czyli operującymi z prędkościami powyżej 5 Ma, pieniądze stanowią większą przeszkodę niż wyzwania natury technologicznej. Starając się obniżyć koszty projektu, zdecydowano się przeprowadzić testowe odpalania poza poligonami wojskowymi.

X-60A jest rakietą napędzaną jednoczłonowym silnikiem odrzutowym Handleya na paliwo ciekłe, w którym spalane są ciekły tlen i propelenty naftowe. Manewrowość poprawi małe skrzydło w kształcie delty. Rozmiary i masa pozwalają, by nosicielem podwieszonej pod kadłubem X-60A był samolot o rozmiarach business jetów. Na potrzeby testów jej nosicielem została, należąca do amerykańskiej agencji kosmicznej NASA, maszyna C-20A (Gulfstream III). (W) ■

USA

Nowa powłoka

Armia amerykańska zleciła opracowanie specjalnego lakieru, który zmniejsza sygnaturę cieplną pokrytego nim pojazdu.

Innowacyjna powłoka (Ground Vehicle Coating System) utrudni więc wykrycie i śledzenie pojazdu przez systemy termowizyjne przeciwnika. Lakier łagodzi też skutki działania środków chemicznych. Jego użycie ma zwiększyć szanse amerykańskich pojazdów bojowych na polu walki, a tym samym przyczyni się do wzrostu bezpieczeństwa używających ich żołnierzy.

Rozwiązanie jest dziełem joint venture stworzonego przez Combat Capabilities Development Command Ground Vehicle Systems Center z Combat Capabilities Development Command i program Army's Manufacturing Technology. Ten ostatni udziałowiec zapewnił niezbędne fundusze na współpracę z przemysłem, aby można było opracować, udoskonalić i przetestować produkt, a także zatwierdzić proces produkcji nowoczesnych powłok. Ważnym osiągnięciem jest obniżenie ceny za galon (około 3,78 l) o 75% w stosunku do tej założonej na początku programu. Co ważniejsze, nakładanie nowego lakieru na pojazdy nie będzie wymagało wyposażenia wojskowych warsztatów i składów w specjalistyczną aparaturę. Armia amerykańska chce pokryć nową powłoką czołgi Abrams, bojowe wozy piechoty Bradley i pojazdy z rodziny Stryker. Pierwsza „przemalowana" jednostka ma być gotowa na początku 2021 roku. (WT)a ■

REWOL

NORTHROP GRUMMAN

OD KILKUNASTU LAT STOPNIOWO NARASTA W ŚRODOWISKU SIŁ ZBROJNYCH USA PRESJA NA ZASTĄPIENIE „CZYMŚ MOCNIEJSZYM" DOTYCHCZASOWEJ STANDARDOWEJ AMUNICJI 5,56X45 MM

Jesienią 2018 roku Dowództwo Zamówień Armii USA (U.S. Army Contracting Command – ACC) zwróciło się do największych amerykańskich producentów broni małokalibrowej z wezwaniem przedofertowym, dotyczącym dostarczenia do 2021 roku sześciu projektów nowego typu uzbrojenia strzeleckiego dla sił lądowych. Chodzi o broń indywidualną żołnierzy, mającą zastąpić karabinki M-4A1, oraz o lekką broń maszynową znajdującą się w wyposażeniu drużyny piechoty (Squad Automatic Weapon – SAW, w siłach lądowych USA jest to lekki karabin maszynowy M-249). W ramach programów „Next Generation Squad Weapon-Rifle" (NGSW-R) oraz „Next Generation Squad Weapon-Automatic Rifle" (NGSW-AR) wstępnie planuje się pozyskać do 100 tys. sztuk nowej broni (docelowo nawet ćwierć miliona), przede wszystkim dla pierwszoliniowych jednostek bojowych.

Być może nie byłoby w tej sprawie nic nadzwyczajnego – ostatecznie każda armia co pewien czas dąży do wymiany arsenału na nowocześniejszy – gdyby nie to, że istotą planów zakupowych sił lądowych USA ma być rewolucja w kalibrze zamawianego uzbrojenia. Dotychczasowy, używany w amerykańskich siłach zbrojnych oraz większości armii NATO, kaliber 5,56 mm będzie sukcesywnie zastępowany w USA kalibrem 6,8 mm, co łączy się z koniecznością opracowania do tej broni odpowiedniej amunicji. Firmy zbrojeniowe oferujące nowe rodzaje broni kalibru 6,8 mm, muszą więc zaproponować praktyczne rozwiązania. Amerykańscy wojskowi nie ukrywają, że liczą na nowatorskie i przełomowe koncepcje – w grę wchodzą np. systemy bezłuskowe lub z łuską polimerową.

Terminy są bardzo napięte – zakłada się bowiem rozpoczęcie masowej produkcji nowego typu amunicji, kalibru 6,8 mm, już na początku 2020 roku. Charakteryzować ma się ona zwiększonym zasięgiem oraz efektywnością (w porównaniu z obecnie wykorzystywanymi typami amunicji strzeleckiej) przy większej prędkości pocisku i lepszych parametrach balistycznych, zwłaszcza na średnich dystansach.

WYMIENIAĆ CZY NIE WYMIENIAĆ

Zapowiedź zmiany kalibru broni piechoty w armii USA jest niejako powtórką z historii. Kiedy w latach trzydziestych ubiegłego wieku Amerykanie planowali wdrożenie nowego podsta-

TOMASZ OTŁOWSKI

Amerykańska rewolucja w kalibrze broni strzeleckiej, jeżeli w ogóle nastąpi, z pewnością nie obejdzie się bez komplikacji. A jakie może przynieść korzyści?

AUCJA DUŻEGO KALIBRU

wowego karabinu dla swej piechoty, w grę wchodziły dwa typy uzbrojenia – kalibru 5,56 mm oraz właśnie 6,8 mm. Ostatecznie zwyciężył M-1 Garand, pierwotnie zaprojektowany jako broń kalibru 6,8 mm. Ze względu na ograniczenia finansowe zdecydowano się jednak na jej przekalibrowanie. I tak M-1, który wszedł oficjalnie do służby w armii USA w styczniu 1936 roku, otrzymał kaliber 7,62 mm. Zastosowano do niego amunicję typu .30-06 (7,62x63 mm), a więc taką samą jak do używanego wówczas w piechocie lekkiego karabinu maszynowego Browning M-1918 BAR. W armii amerykańskiej ten sam typ amunicji (naboju) był dotychczas stosowany w poprzednim podstawowym modelu karabinu – Springfield M1903. Linie produkcyjne tej amunicji już istniały, a w magazynach znajdowały się miliony nabojów. Pragmatyka logistyczna i budżetowa wygrały zatem ze specyficznymi potrzebami wojska. Plany wdrożenia uzbrojenia kalibru 5,56 mm i 6,8 mm wraz z odpowiednią amunicją zostały tym samym odłożone bezterminowo na półkę. Kaliber 5,56 mm dostał szansę dopiero po trzech dekadach, w latach sześćdziesiątych XX wieku. Po doświadczeniach II wojny światowej oraz wojny koreańskiej amerykańscy wojskowi wskazywali na konieczność opracowania nowego typu amunicji strzeleckiej – mniejszego kalibru, ale o większej prędkości początkowej pocisku i lepszej celności na krótkim dystansie (do 100 m). Opracowano zatem nabój pośredni, kalibru 5,56 mm, który wraz z wdrożeniem w 1963 roku do służby w siłach zbrojnych USA karabinków automatycznych typu M-16 zrewolucjonizował już wkrótce standardy kalibru uzbrojenia strzeleckiego w całym NATO (gdzie od 1954 roku obowiązywał jednolity kaliber 7,62 mm, z nabojem 7,62x51 mm). Kaliber 6,8 mm musiał znowu poczekać na swoją kolej, jak się okazało – ponad pół wieku.

KULTOWE KAŁACHY

Począwszy od 2001 roku, udział sił zbrojnych USA w operacjach militarnych w Afganistanie i Iraku ostatecznie uświadomił amerykańskim logistykom i sztabowcom, że w konfliktach asymetrycznych broń strzelecka kalibru 5,56 mm nie do końca się sprawdza. Co ciekawe, wiele jej mankamentów było doskonale znanych od czasów wojny wietnamskiej, podczas której po raz pierwszy użyto karabinów M-16. Faktem jest, że naboje

PLANOWANE ZMIANY W KALIBRZE UZBROJENIA STRZELECKIEGO PIECHOTY ARMII USA Z PEWNOŚCIĄ BĘDĄ MIAŁY REPERKUSJE W CAŁYM NATO

5,56 mm o dużej prędkości początkowej zapewniają lepszą skuteczność strzału i parametry balistyczne przy strzelaniu ogniem pojedynczym na dystansie do około 100 m, ale już na większych odległościach skuteczność tej amunicji drastycznie maleje – zwłaszcza jej siła uderzenia, a tym samym zdolność eliminacji przeciwnika. Na dłuższych dystansach (powyżej 300 m) pociski kalibru 5,56 mm stają się także bardziej wrażliwe na oddziaływanie czynników zewnętrznych, co powoduje istotne pogorszenie ich efektywności. Problemy te odnotowano już w czasie walk w Wietnamie, ale rozwiązania szukano w konsekwentnym podnoszeniu poziomu indywidualnego wyszkolenia strzeleckiego.

Amerykańscy żołnierze – walczący od dwóch dekad w takich miejscach jak Irak, Afganistan, Somalia czy Syria – szybko orientowali się jednak, że dominujące w tamtejszych środowiskach operacyjnych kultowe „kałachy" zawdzięczają swą legendarną renomę nie tylko zadziwiającej odporności na najtrudniejsze nawet lokalne warunki, lecz także parametrom wykorzystywanej do nich amunicji (naboje 7,62x39 mm). Amerykańskie militarne fora internetowe pełne są relacji i wspomnień weteranów US Army na temat zalet i przewagi broni strzeleckiej z rodziny AK-47 oraz nabojów kalibru 7,62 mm, szczególnie w warunkach toczonych na bardzo krótki dystans starć w terenie zurbanizowanym, kiedy bardziej od celności ognia liczyła się siła uderzenia pocisków i ich zdolność penetracji (przebijania) ścian, drzwi czy ogrodzeń.

Nic zatem dziwnego, że od kilkunastu lat stopniowo narastała w środowisku sił zbrojnych USA presja na zastąpienie „czymś mocniejszym" dotychczasowej standardowej amunicji 5,56x45 mm (nabój M855A1). W połowie poprzedniej dekady opracowano nowy nabój do karabinków M-16A2/M-4, kalibru 7,62 mm, wykorzystujący tę samą łuskę co naboje 5,56 mm. Ładunek ten, nazwany 300BLK (Blackout), został w 2010 roku wprowadzony do produkcji i skierowany do wykorzystania w warunkach bojowych. Od razu też zyskał popularność wśród żołnierzy oddziałów liniowych, ale nie wśród logistyków w Pentagonie i ACC. Musiało minąć więc niemal kolejnych dziesięć lat, zanim młyny wojskowej machiny biurokratycznej zaczęły mielić zgodnie z oczekiwaniami frontowych żołnierzy.

Mniej więcej w tym samym czasie (od 2005 roku) amerykańskie siły specjalne zaczęły wykorzystywać w warunkach bojowych amunicję kalibru 6,8 mm – nabój specjalnego przeznaczenia Remington SPC (Special Purpose Cartridge), opracowany do zmodyfikowanych karabinków M-16A2 i M-4A1. Doświadczenia oddziałów podległych Dowództwu Sił Specjalnych USA (Special Operations Command – SOCOM) z użytkowania tak skalibrowanej broni i nowych nabojów były więcej niż pozytywne. Na odległość do około 600 m pociski SPC wystrzeliwane z M-4 uderzały w cel z taką samą siłą co kule ze znacznie cięższego naboju 7,62x51 mm, stosowanego w karabinach snajperskich czy ciężkiej broni maszynowej. Na krótszych dystansach (100–150 m) strzały z użyciem SPC okazywały się jednak znacznie mniej celne niż te z zastosowaniem amunicji 5,56 mm.

Analizując możliwe przyczyny rewolucji w kalibrze broni podstawowej żołnierzy US Army, nie sposób pominąć kwestii rozwoju środków indywidualnej ochrony balistycznej we współczesnych armiach. Chociaż Amerykanie prowadzą kampanie militarne wyłącznie w ramach operacji o charakterze asymetrycznym, to przecież głównym celem jest przygotowywanie się do konfliktu z regularnymi siłami zbrojnymi innych państw. Tymczasem armie największych potencjalnych adwersarzy militarnych USA – zwłaszcza Rosji i Chin – intensywnie rozwijają i wdrażają nowe rozwiązania w dziedzinie środków ochrony indywidualnej żołnierzy.

Najnowsze osobiste systemy ochrony balistycznej (ceramiczne czy kompozytowe) są w zasadzie odporne na istniejącą amunicję małokalibrową (zwłaszcza na pociski kalibru 5,56 mm). Nic zatem dziwnego, że Pentagon podjął w końcu starania na rzecz opracowania i wdrożenia w jednostkach liniowych broni palnej większego kalibru. Faktem jest jednak, że nawet pociski 7,62 mm nie dają gwarancji przebicia osłon balistycznych najnowszych typów. Trudno zatem oczekiwać, aby zadanie takie spełniła amunicja 6,8 mm. Być może rację mają liczni krytycy planów Pentagonu, twierdzący, że projektowana zmiana kalibru broni piechoty USA jest efektem skutecznych nacisków amerykańskiego lobby producentów broni palnej.

KOMPLIKACJE RACZEJ PEWNE

Niezależnie od przyczyn i powodów planowane zmiany w kalibrze uzbrojenia strzeleckiego piechoty armii USA z pewnością będą miały reperkusje w całym NATO. Nie można wykluczyć, że tak jak pół wieku temu, Amerykanie będą chcieli nakłonić swych sojuszników do przejścia na nowe systemy uzbrojenia strzeleckiego kalibru 6,8 mm. Jak pokazuje przykład Niemców – którzy do dzisiaj pozostali przy swoim wypróbowanym karabinie podstawowym G3 (HK Gewehr 3) 7,62 mm, będącym podstawową bronią piechoty – konieczność natychmiastowej unifikacji kalibrów i typów amunicji w ramach NATO nie jest czymś oczywistym.

Ogólnie rzecz biorąc, broń i amunicja kalibru 5,56 mm stały się w ciągu minionych dekad standardem w większości armii NATO i ich rychłe porzucenie na rzecz nowych rozwiązań jest trudne do wyobrażenia. Za to z całą pewnością wskutek amerykańskiej rewolucji w kalibrach broni strzeleckiej można spodziewać się dodatkowego skomplikowania procedur działania sojuszniczych służb kwatermistrzowskich i logistycznych oraz zwiększonej dawki stresu dla ich oficerów i żołnierzy. ■

NORTHROP GRUMMAN

Wróżenie z liczb

Donald Trump stawia na systemy nowej generacji. Jego projekt wydatków obronnych może wywołać gorącą dyskusję wśród polityków i wojskowych.

TADEUSZ WRÓBEL

W przesłanym do Kongresu przez administrację prezydenta Donalda Trumpa projekcie wydatków obronnych w roku budżetowym 2020 widnieje kwota 750 mld dolarów. Gros z tych środków – 718 mld, ma trafić do Departamentu Obrony. 545 mld stanowi zaś budżet bazowy resortu. Ten projekt to znaczący zwrot w dotychczasowym stanowisku Pentagonu – chce on bowiem inwestować w systemy nowej generacji, które dopiero powstają. Największe fundusze zaplanowano na środki służące do zdobycia dominacji w powietrzu (57,7 mld dolarów), na morzu (34,7 mld dolarów) i lądzie (14,6 mld dolarów). Duże pieniądze zostaną przeznaczone też na obronę przeciwrakietową, odstraszanie atomowe, działania specjalne i sferę dowodzenia, do której należy m.in. sieciocentryczność.

Amerykanie przywiązują dużą wagę także do cybernetyki. Inwestują w tej dziedzinie zarówno w zdolności obronne, jak i ofensywne. Z tym łączy się rozpoznanie i wywiad. Zwiększone mają być w stosunku do planów budżetu na rok 2019 również zamówienia na precyzyjną amunicję. Wzrosnąć powinna też liczebność sił zbrojnych – do 2,14 mln żołnierzy służby czynnej i rezerwistów. Tegoroczny werbunek nie napawa jednak optymizmem. Brakuje ochotników do służby wojskowej. Być może sytuację poprawi zapowiedź kolejnej podwyżki płac, tym razem o 3,1%, czyli o pół procent wyższej od uwzględnionej w bieżącym budżecie.

Z propozycji budżetu obronnego na potrzeby wojsk lądowych wynika, że ten rodzaj sił zbrojnych znacząco zamierza ograniczyć zakupy uzbrojenia i sprzętu wojskowego starszej generacji, a z dalszego zamawiania niektórych nawet całkowicie zrezygnować. Zamknięte mają być 93 programy i tyle samo zostanie zredukowanych.

OGRANICZENIA I CIĘCIA

Jedną z ofiar cięć będzie śmigłowiec transportowy CH-47 Chinook Block II. Program miał dotyczyć 542 maszyn – 473 CH-47F i 69 MH-47G. Teraz, od 2020 roku armia zamierza zaprzestać tych zakupów (nie dotyczy to wersji G przeznaczonej dla wojsk specjalnych). Jednocześnie zostaną zwiększone nakłady na programy śmigłowców nowej generacji – maszyny szturmowej dalekiego zasięgu i uderzeniowo-rozpoznawczej. Nowe wiropłaty znalazły się na trzecim miejscu wśród priorytetów. Niemniej jednak zwiększono plan zakupu wielozadaniowych black hawków. Znaczący spadek natomiast nastąpił, gdy chodzi o nowe kontrakty na niektóre armijne drony – MQ-1 Gray Eagle i RQ-11 Raven.

Cięcia obejmą nawet systemy dopiero co wprowadzane do wojsk lądowych, jak pojazdy JLTV, mające zastąpić humvee. W porównaniu z zamiarami wpisanymi w bieżący budżet armia zmniejszy zamówienie o 500 wozów. Podobnie postąpił też Korpus Piechoty Morskiej. Prawdopodobnie redukowane będą zakupy następcy M-113, wozu AMPV. Niemniej jednak liczba zamówionych pojazdów ma być w 2020 roku zbliżona do tej z roku poprzedniego.

→

WASZYNGTON PLANUJE WZROST DO **2,14 MLN ŻOŁNIERZY** SŁUŻBY

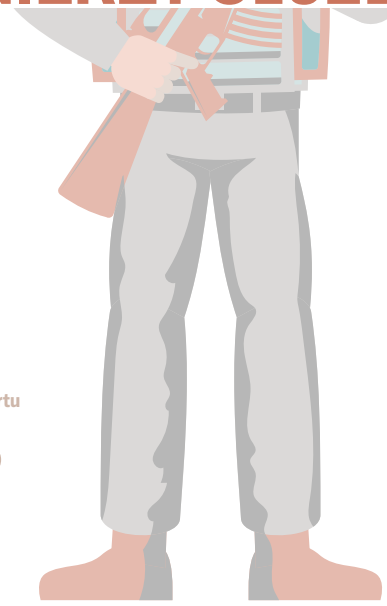

PK/DZIAŁ GRAFICZNY, FREEPIK/PIXABAY

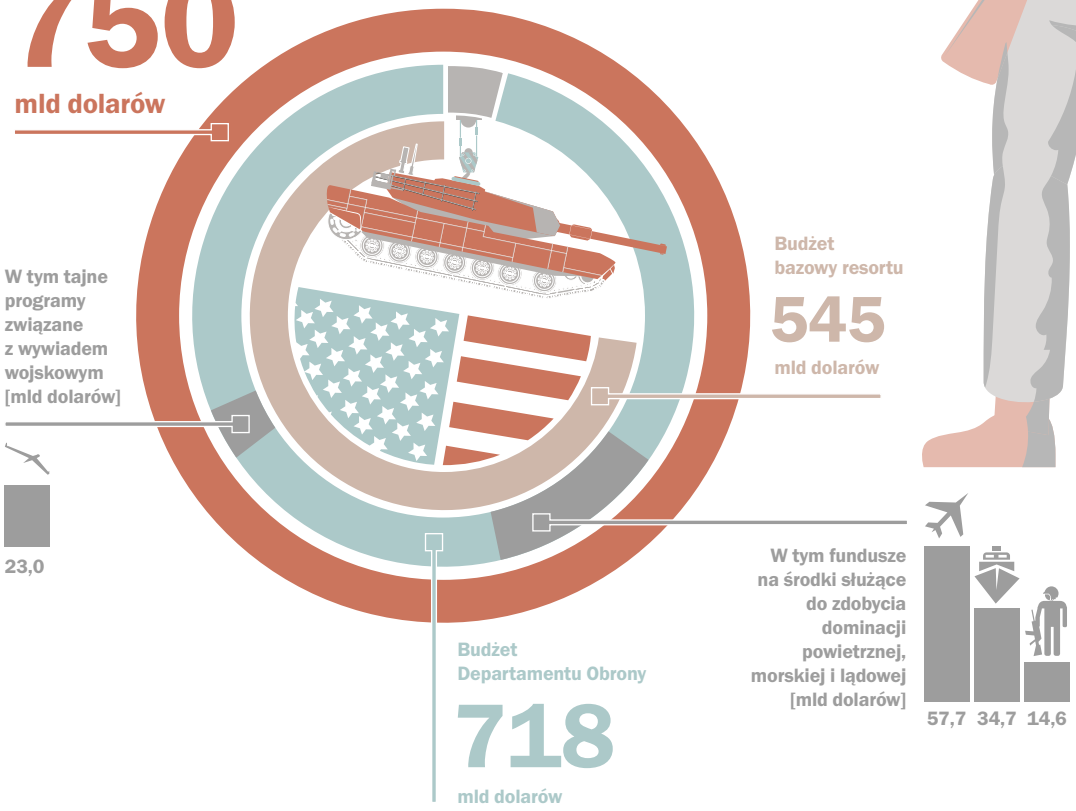

Ograniczona zostanie też liczba poddanych modernizacji bojowych wozów piechoty Bradley. Program ten ma wygasnąć około 2023 roku, tj. po unowocześnieniu do wersji A4 bewupów dla pięciu brygad. Jednocześnie armia wystosowała zapytanie ofertowe do przemysłu zbrojeniowego dotyczące budowy pojazdu bojowego nowej generacji, który już od 2026 roku zacznie zastępować bojowe wozy Bradley. Program ten znalazł się na drugim miejscu na liście priorytetów US Army. Armia amerykańska chce już w drugim kwartale roku budżetowego 2020 wybrać najwyżej dwóch oferentów, którzy mają zbudować 14 prototypowych pojazdów do badań.

Także w marynarce wojennej zarysowała się tendencja rezygnowania z dalszego użytkowania starych okrętów i przesunięcia zaoszczędzonych dzięki temu środków finansowych na programy przyszłościowe. Spektakularnym przykładem jest zapowiedź wysłania na emeryturę lotniskowca USS „Harry S. Truman", ósmej jednostki typu Nimitz, która weszła do służby, jak na tej klasy okręt, stosunkowo niedawno, bo 25 lipca 1998 roku. Decyzja ta nie jest łatwa, bo jednostka przeszła kosztowny kompleksowy remont, pozwalający na jej użytkowanie do 2024 roku.

Równocześnie Pentagon chciałby przeznaczyć z budżetu na 2020 rok 2,3 mld dolarów na trzeci i czwarty lotniskowiec typu Ford. Innymi przyszłościowymi programami są nowa fregata FFG(X) oraz nawodne i podwodne okręty bezzałogowe. W budżecie na 2020 rok przewidziano pieniądze na budowę i pierwszej z fregat, i dwóch bezzałogowców.

Inwestycje w przyszłościowe programy nie oznaczają rezygnacji z zamówień na kolejne okręty znanych już typów. Uwzględniono zakupy lotniskowca, następnych niszczycieli rakietowych

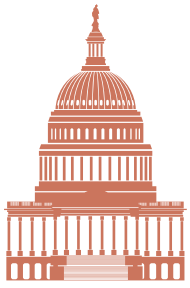

OBIE IZBY KONGRESU zawsze wprowadzają zmiany w proponowanym przez administrację prezydencką budżecie resortu obrony. Podobnie będzie w tym roku.

LICZEBNOŚCI SIŁ ZBROJNYCH CZYNNEJ I REZERWISTÓW

i zbiornikowców typu John Lewis. Zamówione zostaną też pierwsze dwa nowego typu holowniki ratownicze T-ATS 6. Sekretarz marynarki wojennej Richard V. Spencer ogłosił 2 marca tego roku, że pierwszej z tych jednostek nadane będzie imię Navajo (i tym samym będzie to oznaczenie typu okrętów), dla upamiętnienia indiańskich szyfrantów walczących podczas II wojny światowej na Pacyfiku. T-ATS 6 będzie oparty na projekcie cywilnego holownika. W planach jest zamówienie jeszcze dwóch wielkich latających bezzałogowców MQ-4C Triton. W projekcie budżetu US Navy znalazły się również fundusze na uderzeniowe okręty podwodne typu Virginia. Co ważne, jednostki piątej transzy, począwszy od SSN-803, mają posiadać moduł VPM z pionowymi wyrzutniami, dzięki któremu jednostki będą uzbrojone w więcej pocisków Tomahawk – 28 zamiast 12.

Marines zamierzają inwestować głównie w sprzęt piechoty, w tym celowniki do broni strzeleckiej, zestawy pocisków przeciwpancernych Javelin i granatniki Carl Gustaw. Chcą też kupić opancerzone pojazdy desantowe ACV. Na liście planowanych zakupów są również samoloty bojowe, latające tankowce i śmigłowce.

Oszczędnościową tendencję można zauważyć w siłach powietrznych. W 2020 roku kupią one mniej, niż pierwotnie zapowiadano, latających tankowców KC-46A i samolotów do działań specjalnych MC-130J. Nie oszałamia również wielkość planowanego zamówienia na myśliwce piątej generacji F-35A. Odstępstwem od zasady odchodzenia od zamówień uzbrojenia starszych typów jest natomiast zakup samolotów bojowych F-15EX.

INWESTYCJE W NOWE SYSTEMY

Rozwijanie systemów antydostępowych oraz broni hipersonicznej przez potencjalnych przeciwników USA powoduje, że amerykańskie siły lądowe potrzebują nowego precyzyjnego uzbrojenia do rażenia celów odległych o setki kilometrów. Dzięki programowi „Precision Strike Missile" pojawią się następcy pocisków ATACMS, które – tak jak one – mają być wystrzeliwane z wyrzutni HIMARS i MLRS.

Kluczowy dla US Army będzie rozwój zdolności do obrony powietrznej i przeciwrakietowej, by przeciwstawić się szerokiemu spektrum nowych zagrożeń, od bezzałogowców po pociski hipersoniczne. I tak, w wypadku teatru europejskiego Amerykanie potrzebują nowego, mobilnego rakietowego systemu przeciwlotniczego krótkiego zasięgu M-SHORAD do osłony wojsk. Z tym związany jest montaż lasera w wozach Stryker, który będzie mógł zwalczać rakiety, pociski artyleryjskie i moździerzowe oraz drony. Taki zestaw powinien osiągnąć wstępną gotowość operacyjną już w 2024 roku, a dwa lata później ma się pojawić mocniejszy laser na podwoziu ciężarówki. Pierwszy z 18 zaplanowanych batalionów M-SHORAD ma być gotowy w 2021 roku. Armia amerykańska zamierza wymienić radar w rakietowym systemie obrony powietrznej i przeciwrakietowej średniego zasięgu Patriot. Potrzebny jest też dla niego nowy pocisk.

Miliardy dolarów zostaną przeznaczone na programy badawczo-rozwojowe nowych statków powietrznych dla lotnictwa. O 800 mln dolarów wzrosną nakłady na prace nad bombowcem B-21, w sumie będzie na ten cel 3 mld dolarów. Prawie 350 mln dolarów przewidziano na program nowego samolotu szkolnego T-X i niemal 758 mln dolarów na opracowanie prezydenckiego Air Force One. Niewielką kwotę zaplanowano na eksperyment mający sprawdzić użyteczność lekkich śmigłowych samolotów szturmowych. Inne przyszłościowe programy to myśliwiec szóstej generacji i nowy międzykontynentalny pocisk balistyczny.

KONTROWERSJE I WĄTPLIWOŚCI

Departament Sił Powietrznych dostanie na sferę kosmiczną około 14 mld dolarów, w tym na nowo tworzone, budzące polityczne kontrowersje Siły Kosmiczne (Space Force). Pentagon przewidział na ich potrzeby zaledwie 72,4 mln dolarów. Ta niewielka suma jest przeznaczona wyłącznie na dowództwo z około 160 etatami dla żołnierzy i pracowników wojska.

Obie izby Kongresu zawsze wprowadzają zmiany w proponowanym przez administrację prezydencką budżecie resortu obrony. Podobnie będzie w tym roku. Kontrowersje budzi zakup nowej wersji F-15X. Na początku kwietnia grupa członków Izby Reprezentantów, zarówno demokratów, jak i republikanów, zwróciła się do pozostałych parlamentarzystów o wsparcie propozycji zwiększenia zamówienia na F-35 w roku budżetowym 2020 o 24 maszyny, czyli do 102 egzemplarzy. Te dodatkowe samoloty – po 12 F-35A i F-35B – trafiłyby do sił powietrznych i piechoty morskiej. Nie sposób nie dostrzec, że administracja Trumpa zamierza kupić o 15 mniej tych samolotów niż Kongres zaaprobował w budżecie obronnym na rok 2019. Tymczasem z punktu widzenia polityków na Kapitolu program ten jest ważny zarówno z powodów militarnych, jak i ekonomicznych.

Spór może się pojawić w związku z tym, że w budżecie Pentagonu w środkach przewidzianych na budownictwo znalazło się 3,6 mld dolarów na budowę kontrowersyjnego muru na granicy z Meksykiem, co ma powstrzymać emigrantów z południa. Kością niezgody może też być wzrost wydatków, o 164 mld dolarów, na aktywność zamorską, określanych jako „budżet wojenny". Tak więc debata o pieniądzach na obronność może być bardzo ostra. ■

LM-60

W 2000 roku do uzbrojenia naszego wojska wprowadzono polski moździerz kalibru 60 mm, w wersjach LM-60D i LM-60K. Do armii trafiły też czeskie antosy. Z kolei w grudniu 2018 roku zamówiono 780 LMP-2017 z wymienną lufą, co pozwala używać do nich amunicji polskiej i natowskiej.

1. Kaliber – 60 mm (LM-60D/K)
2. Masa – 19,3 kg (LM-60D)
3. Długość lufy – 865 mm
4. Zasięg – 70–2330 m (LM-60D)
5. Szybkostrzelność – 25 strz./min
6. Obsługa – 3 żołnierzy (LM-60D)

MOŹDZIERZE W GOTOWOŚCI

Polska armia dysponuje kilkoma typami moździerzy o różnych kalibrach, w tym samobieżnymi 120-milimetrowymi. W tym roku wojska obrony terytorialnej otrzymają opracowane w kraju 60-milimetrowe lekkie moździerze piechoty LMP-2017.

M-98

W latach dziewięćdziesiątych XX wieku opracowano w Polsce moździerz kalibru 98 mm. Jego powstanie miało związek z traktatem o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie, który ograniczał liczbę posiadanych przez sygnatariuszy systemów uzbrojenia artyleryjskiego powyżej 100 mm.

1. Kaliber – 98 mm
2. Masa – 135,4 kg (w położeniu bojowym)
3. Długość lufy – 1898 mm
4. Zasięg – 400–7000 m
5. Szybkostrzelność – 15 strz./min (bez korekty wycelowania)
6. Obsługa – 3 żołnierzy

WZ. 1943

❶ Kaliber – 120 mm
❷ Masa – 275 kg (w położeniu bojowym)
❸ Długość lufy – 1800 mm (z zamkiem)
❹ Zasięg – 460–5700 m
❺ Szybkostrzelność – 15 strz./min (bez korekty wycelowania)
❻ Obsługa – 6 żołnierzy

Sowiecki 120-milimetrowy moździerz wz. 1943 jest najstarszy z używanych w Wojsku Polskim. Ze względu na masę wraz z wózkiem transportowym i liczną obsługę musi być ciągniony przez ciężarówkę. Obecnie jest zastępowany samobieżnymi działami Rak na platformie KTO Rosomak.

RAK-120K

Z moździerza ulokowanego w ruchomej wieży można strzelać w promieniu 360 stopni.

Przed dwoma laty WP otrzymało pierwszy moduł ogniowy złożony z ośmiu samobieżnych moździerzy kalibru 120 mm na podwoziu KTO Rosomak. W przyszłości wojsko ma dysponować także ich wariantem gąsienicowym. Rak strzela pojedynczo i seriami oraz na wprost.

❶ Kaliber – 120 mm
❷ Masa – 22 t
❸ Długość lufy – 3000 mm
❹ Zasięg – 10 000 m
❺ Szybkostrzelność – 6–8 strz./min
❻ Obsługa – 6 żołnierzy

Współczesne moździerze mogą strzelać amunicją odłamkowo-burzącą, precyzyjną i specjalną (dymną, oświetlającą, zapalającą).

OPRAC. TADEUSZ WRÓBEL
GRAF. MARCIN DMOWSKI

HSW PGZ

155 mm samobieżna haubica KRAB

www.hsw.pl

Huta Stalowa Wola S.A. nie zwalnia tempa

Kolejne haubice dotarły w ostatnim tygodniu marca tego roku do jednostki w Sulechowie. Artylerzyści chwalą samobieżne działo za autonomiczność, wysoką precyzję i mobilność oraz współpracę z zewnętrznymi systemami dowodzenia i kierowania ogniem, a także za wyposażenie: najnowocześniejsze urządzenia do komunikacji, nawigacji czy rozpoznania. Tym razem HSW dostarczyła do polskiego wojska osiem samobieżnych armatohaubic Krab wraz z pojazdami towarzyszącymi.

Warto przypomnieć, że w skład każdego dywizjonowego modułu ogniowego REGINA wchodzą, oprócz środków ogniowych, także trzy wozy dowódczo-sztabowe (WDSz), osiem wozów dowódczych (WD) różnego szczebla, sześć wozów amunicyjnych (WA) oraz wóz remontu uzbrojenia i elektroniki (WRUiE).

Huta Stalowa Wola konsekwentnie realizuje dostawy Krabów zgodnie z zapisami jednego z największych kontraktów, zawartego przez resort obrony z krajowym przemysłem zbrojeniowym. Tuż po tym, jak kolejne haubice dotarły na miejsce, centrum polskiej produkcji artyleryjskiej po raz pierwszy odwiedził gen. broni Rajmund T. Andrzejczak, szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Była to okazja do zwiedzenia nowej hali ze zautomatyzowaną linią do spawania materiałów pancernych, największej w Polsce komory do badań RTG oraz nowoczesnej lufowni. Dzięki dialogowi z przedstawicielami Wojska Polskiego Huta Stalowa Wola S.A. ciągle doskonali działalność przemysłową, a także swoje produkty.

W tym roku Huta Stalowa Wola zakończy realizację dostaw 64 moździerzy Rak, na podstawie umowy z 2016 roku. Firma zbiera informacje eksploatacyjne od użytkowników i na tej podstawie będzie dążyć do zwiększenia szybkostrzelności oraz przystosowania moździerza do strzelania amunicją precyzyjną. Rozważany jest również wariant dalszego rozwoju Raka jako bezzałogowej platformy bojowej. Dostawy haubic Krab oraz moździerzy Rak nie są jednak jedynymi strategicznymi projektami realizowanymi w przedsiębiorstwie.

Tempa nabiera program pozyskania zdolności obrony przeciwrakietowej i przeciwlotniczej średniego zasięgu „Wisła", realizowany z polskim przemysłem. Ostatnio umowy dotyczące realizacji zobowiązań offsetowych, m.in. w zakresie prac przy pociskach PAC-3, zostały zawarte przez rodzime podmioty z koncernem Lockheed Martin. Huta Stalowa Wola również jest członkiem Konsorcjum PGZ Wisła. Na podstawie umowy zawartej z firmą Raytheon będzie produkować elementy oraz współpracować nad integracją wyrzutni przy realizacji pierwszej fazy programu „Wisła". Huta Stalowa Wola rozpoczyna proces pozyskiwania kompetencji w produkcji elementów systemu Patriot. „Jesteśmy przygotowani do współdziałania i otwarci na nowe wymagania. Liczymy na to, że dzięki współpracy z firmą Raytheon zbierzemy nowe doświadczenia, zarówno technologiczne, jak i z zakresu rozwoju biznesu, które będziemy wykorzystywać w naszej dalszej współpracy z amerykańskim partnerem", komentuje Bartłomiej Zając, prezes zarządu HSW S.A.

Jakość oferowanych i dostarczanych Siłom Zbrojnym RP rozwiązań oraz rozbudowane zaplecze techniczno-technologiczne plasują HSW w ścisłej czołówce przedsiębiorstw polskiego przemysłu obronnego. ■

KOSMICZNY WYŚCIG

Satelity służą nie tylko do zdobywania informacji wywiadowczych o przeciwniku, lecz także komunikowania się wojsk własnych i do koordynacji celności prowadzonego ognia.

KRZYSZTOF WILEWSKI

Amerykanie mają ich około 700, Chińczycy ponad 200, Rosjanie przeszło 150, Japończycy około 80, Indie ponad 50. Z kolei Niemcy, Kanada, Francja, Wielka Brytania i Włochy – od 20 do 30 sztuk. Sztuczne satelity, choć nadal są produktem technologicznym z najwyższej półki, w XXI wieku stały się dostępne nie tylko dla USA i Rosji, lecz także dla średnio zamożnych państw czy dobrze prosperujących firm lub organizacji. Oczywiście satelita satelicie nie jest równy i tylko największych graczy – Waszyngton, Pekin czy Moskwę – stać na to, aby wysłać na orbitę okołoziemską duże, zaawansowane technologicznie urządzenia, ważące nawet ponad tonę. Większość eksploratorów kosmosu jest w stanie umieścić w przestrzeni tylko konstrukcje mikro (do 100 kg) i pojedyncze sztuki mini (do 500 kg).

SZPIEG NA ORBICIE

Ten specyficzny wyścig zbrojeń rozpoczęło, napędzało i nadal napędza wojsko. Amerykanie prace badawczo-rozwojowe nad pierwszym satelitą, służącym do robienia zdjęć z Kosmosu sowieckim instalacjom militarnym, rozpoczęli w ramach programu „Corona” w 1956 roku. Już jednak od 1948 roku pracowali nad urządzeniami umożliwiającymi wykrywanie (z Kosmosu) startów radzieckich rakiet balistycznych. Służyć do tego miały czujniki podczerwieni. W połowie lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia program otrzymał nazwę MIDAS (Missile Defense Alarm System). I był na tyle priorytetowy, że opracowane wówczas skanery podczerwieni montowano nie tylko w sa-

PK / DZIAŁ GRAFICZNY, WWW.VECTEEZY.COM

telitach przygotowanych do tego projektu, lecz także właściwie we wszystkich, które wysyłano na orbitę na początku lat sześćdziesiątych.

Dla jasności – satelity szpiegowskie wysyłane na okołoziemską orbitę na początku lat sześćdziesiątych nie miały możliwości przesyłania wykonanych przez siebie zdjęć na Ziemię. Owszem, była już wtedy możliwa transmisja wideo, ale jej jakość eliminowała taki zapis jako źródło danych rozpoznawczych oczekiwanych przez wojsko. To musiały być dobrej jakości fotografie. Jak zatem trafiały one na Ziemię? Razem z satelitą, który musiał bezpiecznie wylądować na Ziemi. Trzeba było jednak często latać w Kosmos.

Rosjanie, którzy swojego pierwszego szpiegowskiego satelitę o nazwie Zenit zbudowali na bazie załogowego statku kosmicznego Wostok (miały taki sam moduł serwisowy i kapsułę powrotną), tylko przez trzy lata trwania programu (od 1962 do 1965 roku) wysłali na orbitę 14 kosmicznych zwiadowców! Co więcej, na początku lat sześćdziesiątych prace badawczo-rozwojowe nad tą technologią miały tak wysoki priorytet, że loty załogowe często przesuwano na inne terminy, bo z kosmodromu trzeba było wypuścić kolejnego zenita.

Priorytetowo kwestie rozpoznania satelitarnego traktowali Amerykanie. Utworzone w 1960 roku Narodowe Biuro Rozpoznania (National Reconnaissance Office – NRO) było jedną z najbardziej tajnych rządowych agend zajmujących się bezpieczeństwem narodowym. Choć budżet NRO jest poza kontrolą Kongresu i nie wiadomo, ile dokładnie wynosi, to branżowi specjaliści oceniają go jako jeden z największych. Nic dziwnego, że Biuro, o którego istnieniu opinia publiczna dowiedziała się dopiero w 1992 roku, dorobiło się floty około 30 (niektóre źródła mówią o ponad 40) satelitów zwiadowczych różnego typu.

WSPÓŁCZESNE SATELITY OFERUJĄ KANAŁY ŁĄCZNOŚCI UMOŻLIWIAJĄCE STEROWANIE W TRYBIE RZECZYWISTYM CAŁĄ FLOTĄ DRONÓW LATAJĄCYCH NA DRUGIEJ PÓŁKULI

ŁĄCZNOŚĆ I NAWIGACJA

Eksperci uważają, że niektóre z obecnie używanych satelitów szpiegowskich, ze wskazaniem na obracającą miliardami dolarów NRO, to urządzenia jeszcze bardziej zaawansowane od słynnego teleskopu Hubble'a i umożliwiają zbieranie pełnego spectrum informacji wywiadowczych – od obrazowych, poprzez radarowe, aż po radiowe. Ale orbita ziemska kryje nie tylko „szpiegów".

Rozwój technologii telekomunikacyjnych, napędzany przede wszystkim przez rządne zysku telekomy starające się zdobywać klientów rosnącymi w niesamowitym tempie możliwościami transmisji danych, sprawił, że współczesne satelity oferują kanały łączności o takiej przepustowości i jakości transmisji, że możliwe jest np. sterowanie w trybie rzeczywistym całą flotą dronów latających na drugiej półkuli. Ale to nie wszystko – umożliwiają również korygowanie lotu pocisków i rakiet. To jednak potrafią dzięki innej kosmicznej technologii – nawigacji satelitarnej.

Pod koniec lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia Amerykanie rozpoczęli prace nad systemem nawigacji satelitarnej na potrzeby marynarki wojennej, a dokładniej – operujących przy biegunach, uzbrojonych w głowice atomowe okrętów podwodnych. Bazujący na dziesięciu satelitach (pięć funkcjonalnych i pięć zapasowych) system Transit, określany również jako NAVSAT lub NNSS (Navy Navigation Satellite System), osiągnął gotowość operacyjną w 1964 roku. Zaledwie pięć lat później Pentagon zarządził opracowanie jego następcy, z przeznaczeniem już nie tylko dla marynarki, lecz także całej armii. Dlaczego? Transit miał dwie wady. Nie był zbyt dokładny – pozwalał na ustalenie pozycji z 200-metrową dokładnością. Gorsze było jednak to, że liczba i orbita satelitów, z których korzystał, umożliwiała ustalanie pozycji raz na kilka godzin!

Następca tego systemu, czyli Global Positioning System (GPS) miał dostarczać dane w trybie ciągłym, być relatywnie tani oraz określać pozycję z dokładnością w metrach, a nie setkach metrów. Pierwszy satelita trafił na orbitę w 1978 roku, do 1985 roku umieszczono ich tam 11, a w 1993 roku system GPS, składający się z 30 krążących nad ziemią na 22 tys. km satelitów, osiągnął wstępną gotowość operacyjną. Pełną zaś – dwa lata później. W 2000 roku armia udostępniła go do publicznej eksploatacji.

Rosjanie prace nad swoim systemem nawigacji satelitarnej o nazwie GLONASS rozpoczęli w 1976 roku. Miał się składać z mniejszej sieci, bo zbudowanej z 24 satelitów. Wstępną funkcjonalność osiągnął w 1995 roku, ale na krótko. Okazało się bowiem, że rosyjskie satelity są w stanie przebywać na orbicie tylko trzy lata, a więc w ekspresowym tempie ich liczba zaczęła się kurczyć. W 2001 roku zostało zaledwie sześć sztuk! Gdy władzę w Moskwie objął Władimir Putin, przywrócił on finansowy priorytet dla tego systemu i już w 2011 roku ponownie osiągnął on (24-satelitową) operacyjność.

Wziąwszy pod uwagę militarne znaczenie systemów nawigacji satelitarnej, nie należy się więc dziwić, że do USA i Rosji, jako posiadaczy takich rozwiązań, chcą dołączyć nie tylko Chiny i konfederacja państw europejskich, lecz także np. Indie. Nie powinno być również zaskoczeniem, że satelity stały się militarnym zagrożeniem, a więc i celem, który nie tylko chce się kontrolować, ale również móc zniszczyć. ■

UCHYLONE WROTA PIEKIEŁ

Z Wojciechem Góreckim *o rozgrywce rosyjsko-chińskiej, strategii Moskwy i ochronie przed buranem rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.*

WROTAMI PIEKŁA nazywają miejscowi **Darwazę**, płonący gaz w kraterze na pustyni, jedną z największych atrakcji Turkmenistanu.

ADVANTOUR

Mówi się, że ten, kto rządzi Azją Centralną, rządzi połową świata. Czy faktycznie jest to tak ważny strategicznie region?

To stwierdzenie jest nieco na wyrost. O znaczeniu Azji Centralnej stanowią jej położenie, surowce oraz zagrożenie, jakie może stamtąd płynąć. Ten region leży między Rosją na północy, Chinami na wschodzie, Pakistanem, Afganistanem i Iranem na południu, z kolei przez Morze Kaspijskie na zachodzie graniczy z Gruzją i Azerbejdżanem, a dalej z Turcją i Europą. Nie da się go ominąć przy projektowaniu eurazjatyckich szlaków komunikacyjnych. Surowce, w jakie obfituje, mają znaczenie dla dobrobytu położonych tam państw – to ropa w Kazachstanie czy gaz w Turkmenistanie i Uzbekistanie.

Czy mówiąc o zagrożeniu, które stwarza Azja Centralna, ma pan na myśli islamski terroryzm?

Azja Centralna jest w tym wypadku źródłem zagrożenia, ale pośrednio. W ostatnich latach doszło do kilku zamachów przeprowadzonych przez ludzi stamtąd, na przykład Uzbeków, jednak zradykalizowali się oni poza regionem: w Rosji, Turcji albo na Zachodzie. Dowódca sił specjalnych tadżyckiej milicji, który w 2015 roku, po 20 latach służby, przystał do radykałów, nie walczył na miejscu, tylko wyjechał, by przyłączyć się do tzw. Państwa Islamskiego. W Azji Centralnej silne reżimy ściśle kontrolują religię, bo uważają ją za zagrożenie dla swojej władzy. Walkę z radykalizmem, przerzutem narkotyków z Afganistanu do Europy czy nielegalną migracją utrudniają jednak m.in. brak współpracy politycznej między państwami regionu oraz napięte do niedawna relacje Uzbekistanu z sąsiadami. Z nowym prezydentem tego kraju – Shavkat Mirziyoyev doszedł do władzy dwa lata temu – wiązane są nadzieje na zmiany.

Historia traktowana jest przez władze instrumentalnie. Ma uzasadniać prawa do bytu danego państwa, wzmacniać poczucie jedności narodowej.

Przed laty Azja Środkowa była polem rywalizacji Rosji i Wielkiej Brytanii, a dziś stała się miejscem rozgrywek rosyjsko-chińskich.

Rosja to jedyny zewnętrzny gracz, który jednocześnie stanowi część regionu. Jej pozycja jest wyjątkowa. W poszczególnych krajach cały czas rządzą politycy wychowani w ZSRR oraz istnieją sieci dawnych powiązań. Moskwa obecna jest w regionie wielopłaszczyznowo: politycznie, ale też w sferze bezpieczeństwa – ma bazy wojskowe w Tadżykistanie i Kirgistanie – czy gospodarki, bo w wiele projektów energetycznych zaangażowane są Gazprom czy Łukoil. Ma ona także w regionie takie obiekty jak kosmodrom Bajkonur w Kazachstanie, a rosyjski wciąż jest najbardziej znanym językiem obcym. Moskwa ma mniejszy potencjał ekonomiczny niż Pekin, ale państwa regionu nie ufają Chińczykom i się ich obawiają. Dlatego ci starają się nie rzucać w oczy. Są sygnały, że otwierają placówki wojskowe, na przykład strażnicę w południowo-wschodnim Tadżykistanie, bo obawiają się napływu radykałów islamskich i narkotyków do Chin Zachodnich. Rosja nie pozostaje jednak w tyle. Ostatnia wizyta prezydenta Władimira Putina w Kirgistanie i umowa uszczegółowiająca zasady obecności wojskowej w tym kraju mogą świadczyć o tym, że Moskwa planuje otwarcie tam drugiej bazy wojskowej.

Rosja wspiera Azję Centralną finansowo, ale też roznieca tam konflikty. Czy niestabilność regionu leży w jej interesie?

Dla Moskwy korzystne jest sprawowanie władzy przez reżimy, które są skłonne uwzględniać w swojej polityce jej interesy. Kraje regionu muszą się z nią liczyć ze względu na różne, posiadane przez nią instrumenty nacisku – może ona chociażby w każdej chwili wyrzucić imigrantów zarobkowych, a na przykład w Tadżykistanie około połowy PKB pochodzi z przekazywanych przez nich pieniędzy.

Czy podobną strategię Rosja stosuje wobec państw Kaukazu Południowego?

Chce tam być obecna, bo jest aktywnym graczem w konflikcie syryjskim, Kaukaz zaś stanowi bezpośrednie zaplecze Bliskiego Wschodu. Moskwie udało się powstrzymać tam wpływy zachodnie, m.in. zastopowała – przynajmniej czasowo

English version: polska-zbrojna.pl

MICHAŁ NIWICZ

WIZYTÓWKA

WOJCIECH GÓRECKI

Jest historykiem i dziennikarzem specjalizującym się w tematyce Azji Centralnej, analitykiem w Ośrodku Studiów Wschodnich. W latach 2002–2007 był pierwszym sekretarzem, a następnie radcą w Ambasadzie RP w Baku. ■

– akces Gruzji do NATO. Rosja ma też duży wpływ na sytuację w tym regionie przez konflikt o Górski Karabach.

Jaka jest jej rola w tym armeńsko-azerbejdżańskim konflikcie?

Dostarcza broń obu stronom konfliktu i twierdzi, że zapewnia w ten sposób równowagę. Utrzymuje sojusznicze relacje z Armenią i bliskie, partnerskie z Azerbejdżanem. Jest wreszcie czołowym pośrednikiem w procesie pokojowym. Gdyby doszło do jakiegokolwiek porozumienia, byłaby niezbędnym gwarantem bezpieczeństwa. W takim wypadku do regionu karabaskiego weszłyby najpewniej rosyjskie siły rozjemcze, a potem pokojowe. Należy dodać, że Moskwa współdziała z Zachodem, jej aktywność mediacyjną wspierają Unia Europejska i Stany Zjednoczone.

Czy w ogóle spór o Górski Karabach można rozstrzygnąć?

Trudno sobie dziś wyobrazić podpisanie traktatu pokojowego między Armenią i Azerbejdżanem. Możliwe jest natomiast częściowe porozumienie, na przykład odblokowanie szlaków komunikacyjnych czy przekazanie Azerbejdżanowi części ziem okupowanych przez Ormian. Nie da się jednak pogodzić zasady integralności terytorialnej oraz nienaruszalności granic, tak jak rozumie je Azerbejdżan, z prawem narodów do samostanowienia, jak je interpretuje Armenia.

Czynnikiem destabilizującym na Kaukazie Północnym są islamskie ugrupowania zbrojne. W jakim stopniu są one aktywne?

W republikach Kaukazu Północnego nie ma już aktywnego podziemia zbrojnego odwołującego się do radykalnego islamu. Większość bojowników wyjechała na Bliski Wschód, pozostali zostali rozbici. Dagestan, Czeczenia i Inguszetia oddalają się natomiast od Rosji w sensie kulturowo-cywilizacyjnym. Coraz mniej ludzi w tych republikach mówi po rosyjsku, coraz większą rolę odgrywają tradycyjne instytucje społeczne – rady starszych, sądy plemienne. Stosowane są po- →

wszechnie trzy systemy prawne: cywilny Federacji Rosyjskiej, szariat, czyli prawo religijne, oraz prawo zwyczajowe. Ten region staje się wewnętrzną zagranicą. Terytoria te formalnie należą do Rosji, nikt nie mówi o secesji, ale rośnie poczucie obcości i to jest większym problemem niż zbrojne podziemie.

Czy państwom Azji Centralnej zagraża afgański terroryzm?

To zagrożenie hipotetyczne. Tę kwestię podnoszą instrumentalnie władze regionu w celu wzmocnienia swojej pozycji i wytłumaczenia zaostrzonych środków bezpieczeństwa czy kontroli nad społeczeństwami. Podobnym straszakiem jest tam powrót bojowników z tzw. Państwa Islamskiego. Na razie nie wygląda jednak na to, by przybrał masowy charakter.

Po rozpadzie ZSRR kraje Azji Centralnej poszły różnymi drogami.

Najludniejszy Uzbekistan wybrał izolacjonizm, największy obszarowo Kazachstan angażował się w projekty integracyjne i uniknął konfliktów wewnętrznych, które destabilizowały sąsiadów. Oba te kraje tradycyjnie rywalizowały o przywództwo w regionie. Turkmenistan zamknął się na świat i prowadził politykę neutralności. Tadżykistan uzależnił się od Rosji. Jedyną demokracją w regionie, choć niejako wymuszoną i mającą posmak anarchii, stał się Kirgistan.

Czy te kraje łączy coś więcej niż wieloletnia rosyjska dominacja?

Narody Azji Centralnej mają poczucie przynależności do pewnej wspólnoty cywilizacyjnej. Niemal wszystkie mówią językami z grupy tureckiej, tylko Tadżycy porozumiewają się językiem indoeuropejskim, bliskim perskiemu. Przed rosyjską dominacją w tym regionie najważniejszy był podział na koczowników, nomadów oraz ludność osiadłą. Wśród koczowników islam był słabiej zakorzeniony, kobiety miały silniejszą pozycję i panowała większa swoboda obyczajowa. Spadkobiercami tych tradycji są zwłaszcza Kazachowie i Kirgizi. Tam gdzie prowadzono życie osiadłe, islam był głębiej zakorzeniony, a ludność bardziej konserwatywna. Tak jest dziś w Kotlinie Fergańskiej, podzielonej między Uzbekistan, Tadżykistan i południowy Kirgistan. W całym regionie dorastają kolejne pokolenia, które nie pamiętają Związku Sowieckiego, a z podręczników uczą się, że żyją na odwiecznej kazachskiej, turkmeńskiej, tadżyckiej, uzbeckiej czy kirgiskiej ziemi.

W REPUBLIKACH KAUKAZU PÓŁNOCNEGO NIE MA JUŻ AKTYWNEGO PODZIEMIA ZBROJNEGO ODWOŁUJĄCEGO SIĘ DO RADYKALNEGO ISLAMU

Jak głęboko pamięć o dramatycznych wydarzeniach, w które zawsze obfitowała historia krajów Azji Centralnej, odciska się na życiu mieszkańców?

Historia traktowana jest przez władze instrumentalnie. Ma uzasadniać prawa do bytu danego państwa, wzmacniać poczucie jedności narodowej, a także własnej wyjątkowości i odrębności. Oprócz Kirgistanu wszędzie w większym czy mniejszym stopniu wypierany jest ze świadomości radziecki okres historii. W Uzbekistanie zniszczono na przykład niemal wszystkie sowieckie pomniki, w tym te sławiące wspólną walkę Uzbeków i Rosjan podczas II wojny światowej. Z kolei w muzeum narodowym w tadżyckim Duszanbe jest szczegółowa informacja o porozumieniu pokojowym z 1997 roku, kończącym pięcioletnią wojnę domową w tym kraju. Nie ma natomiast ani słowa o samej wojnie: nie podano, o co chodziło w tym konflikcie, kto brał w nim udział i kiedy do niego doszło. Wszystko po to, aby nie odgrzebywać podziałów, nie wspominać o dzielących naród różnicach. To oczywiście fałszowanie przeszłości, ale zabieg ten ma charakter państwowotwórczy.

Dlaczego w Turkmenistanie powitano pana słowami „witaj w piekle”?

„Welcome to hell” usłyszałem w Aszchabadzie od młodych ludzi. Skojarzyłem to z tzw. wrotami piekła, jak miejscowi nazywają Darwazę, płonący gaz w kraterze na pustyni, jedną z największych atrakcji Turkmenistanu. Choć pewnie ci młodzi chcieli mi w ten sposób przekazać, co

myślą o swojej ojczyźnie. To było w 2004 roku, kiedy ówczesny przywódca tego kraju Saparmurat Nyýazow rozwinął na niespotykaną skalę kult jednostki. W całym Turkmenistanie stanęło 14 tys. jego pomników i popiersi, dziś już w większości zdemontowanych.

W jakim stopniu rosyjskie wsparcie sprzyja autorytarnej władzy w Tadżykistanie?

Rosja, w odróżnieniu od Zachodu, nie uzależnia współpracy z innymi krajami od przemian demokratycznych. Ważniejsze są interesy i lojalność. Taki partner jest wygodny, bo nie domaga się ani wolnych wyborów, ani wolnych mediów. Wysysając siłę roboczą z Tadżykistanu, Rosja daje ponadto pracę ludziom najbardziej aktywnym, przebojowym. Oni wyjeżdżają z kraju, a gdyby zostali, mogliby stwarzać zagrożenie dla rządzącego reżimu. Można więc powiedzieć, że Moskwa niweluje społeczne napięcia i sprzyja umocnieniu się miejscowych władz.

Kirgistan w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku był nazywany Szwajcarią Azji Centralnej. Czy nadal tak można powiedzieć o tym kraju?

To kraj niejednolity, podzielony na północ i południe, które łączy jedna droga, zimą czasem nieprzejezdna. To, że prezydenci odchodzą tam po zakończeniu kadencji, że odbywają się wybory, których wynik trudno przewidzieć, że istnieją silne organizacje pozarządowe, wynika w dużej mierze ze słabości państwa i jego instytucji. Elity są za słabe, a kraj zbyt zróżnicowany, by udało się zaprowadzić twardy autorytaryzm. Ceną za tę wolność i demokrację są jednak niski poziom życia i ciągła groźba destabilizacji. W ciągu ostatnich 30 lat dwa razy dochodziło do starć Kirgizów z mniejszością uzbecką i pogromów – jeszcze w ZSRR, w 1990 oraz w 2010 roku. A dwóch pierwszych prezydentów obaliły kolorowe rewolucje.

Ostatnio głośno było o Kazachstanie ze względu na ustąpienie ze stanowiska rządzącego ponad 28 lat prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. Co przyniesie ta zmiana?

Na razie prezydentem został były przewodniczący Senatu Kasym-Żomart Tokajew, który ogłosił, że będzie kontynuował politykę swego poprzednika. 9 czerwca mają się odbyć przyspieszone wybory prezydenckie, które powinny ostatecznie uregulować kwestię sukcesji. Nazarbajew zrezygnował z prezydentury, ale zachował decydujący wpływ na sprawy państwowe, pozostając dożywotnim liderem narodu, a także szefem Rady Bezpieczeństwa i przewodniczącym rządzącej Demokratycznej Partii Ludowej Nur Otan. Być może inni przywódcy regionu sięgną po przykład Kazachstanu, bo taki sposób przekazania władzy pozwala uniknąć destabilizacji i walk poszczególnych koterii. Nazarbajew, zwolniony z codziennych obowiązków, ale cieszący się autorytetem w kraju i regionie, może z kolei zająć pozycję superarbitra i mędrca, zabierającego głos w najważniejszych sprawach czy podejmującego się jakichś mediacji.

Pięćdziesiąt lat temu Ryszard Kapuściński napisał książkę „Kirgiz schodzi z konia". Pan zatytułował swoją ostatnią książkę „Buran. Kirgiz wraca na koń". Co oznacza ten symboliczny powrót na siodło?

To m.in. odrodzenie się tradycyjnych szlaków komunikacyjnych, które nie prowadzą już na zachód – dla tamtej części świata Rosja też jest zachodem! – lecz na wschód i południe. Kirgiz, który wraca na koń, symbolizuje też powrót do azjatyckiego kręgu kulturowego, wzrost roli tradycji i religii. Szkoła sowiecka była szkołą europejską, uczono w niej o Szekspirze, Goethem, Dantem. Teraz zamiast nich młodzi ludzie często poznają tylko klasyków Orientu. To oczywiście początek procesu, ale przedstawiciele aktywnych w regionie polskich organizacji pozarządowych mówią mi, że już teraz łatwiej im złapać nić porozumienia ze starym dziadkiem niż z tamtejszą młodzieżą, nawet studencką. I nie chodzi tylko o gorszą wśród młodych znajomość rosyjskiego.

Buran to jest zamieć o rozmiarach kataklizmu. Aby ją przetrwać, potrzebne jest schronienie. Jak przed buranem władzy radzieckiej obronili się mieszkańcy Azji Środkowej?

Obroną była przede wszystkim rodzina, potem tradycja, w mniejszym stopniu religia, bo władza radziecka walczyła z islamem. Choć nie udało się do końca zwalczyć religii, na przykład w Taszkiencie działał instytut islamski. Tamtejsza inteligencja, mimo zakorzenienia w rosyjskiej kulturze, potrafiła być antysowiecka i przywoływać dawnych wieszczów. Wspominając po latach swoją podróż z 1967 roku, Ryszard Kapuściński napisał: „Uderzyło mnie to, że pod tą oficjalną, sztywną skorupą Związku Radzieckiego te kultury istniały i żyły. To poczucie odrębności, godności i inności bycia muzułmaninem, Tadżykiem czy Kirgizem było bardzo silne". Słowa te są aktualne także dziś.

Czy Azja Centralna pozostanie regionem nieustannie targanym konfliktami? Ryzyko przerodzenia się ich w kryzys burzący postsowiecki ład regionalny nie wydaje się wysokie, ale czy można je wykluczyć?

Mam nadzieję, że czas działa na korzyść stabilności. Z czasem ludzie przyzwyczajają się do istniejących granic i nowych realiów. Ale potencjalne zarzewia konfliktów nadal istnieją. Może w najmniejszym stopniu w Kazachstanie, gdzie nad ich osłabieniem świadomie pracował prezydent. Jednak aby został zburzony obecny ład, musiałby zadziałać jakiś katalizator, który uaktywniłby napięcia. Mogłaby nim być na przykład wojna na dużą skalę w sąsiedztwie, która wymagałaby opowiedzenia się po jednej ze stron, albo potężny kryzys gospodarczy połączony z klęską urodzaju. Można wyobrazić sobie wówczas pojawienie się silnego lidera, który najpewniej pod sztandarem islamu pociągnąłby za sobą tłumy do rewolucji. ■

Ciche przesuwanie granic

Państwo Środka wchodzi do Azji Środkowej. Świadectwem rosnącej aktywności Chin w regionie są nie tylko korekty granic, lecz także wojskowa obecność. Znakiem czasu są też antychińskie protesty.

ROBERT SENDEK

MINISTRY OF NATIONAL DEFENSE OF THE PRC (2)

W maju 2013 roku media rosyjskojęzyczne nagłośniły sensacyjną informację: wojska chińskie miały wówczas przekroczyć granicę z Tadżykistanem i zająć około 1,5 tys. km^2 obszaru tego państwa. Wkraczając na terytorium środkowoazjatyckiej republiki, Chińczycy nie rozpoczęli wojny, lecz mieli przejąć ziemię przekazaną za tadżyckie długi. Późniejsze doniesienia w tej sprawie były jednak bardzo niejednoznaczne.

Część mediów publikowała rzekome dowody, inne sprawę dementowały. W efekcie powstał galimatias informacyjny, z którego trudno wyłowić wiadomości pewne oraz ustalić, co właściwie wówczas zaszło. Wydarzenia z kolejnych lat pokazują jednak, że nawet jeśli wiadomość ta była fake newsem, to mimo wszystko może w niej tkwić jakieś ziarno prawdy.

W lutym 2019 roku amerykański dziennikarz Gerry Shih opublikował na łamach gazety „The Washington Post" artykuł, w którym relacjonował swój pobyt we wschodnim Tadżykistanie. Według doniesień Shiha, we wschodniej części republiki Chińczycy wybudowali w ostatnich latach bazę wojskową. Dowodem na to mają być zarówno dane satelitarne, dostarczone przez dziennikarza zdjęcia nowych budynków, jak i świadectwa mieszkańców.

Baza ma się znajdować w okolicach miejscowości Szajmak w południowo-wschodniej części kraju, tam gdzie zbiegają się granice Chin, Tadżykistanu i Afganistanu. Shih opisuje, że na lokalnym bazarze w miejscowości Murgob, kilkadziesiąt kilometrów na północ od Szajmaku, sam widział żołnierzy w mundurach zidentyfikowanych jako chińskie. Miał również okazję porozmawiać z jednym z żołnierzy Państwa Środka. Dowiedział się od niego, że Chińczycy są tam od trzech, czterech lat.

Gdyby w 2013 roku Chińczycy faktycznie zajęli część Tadżykistanu, nie stałoby się to po raz pierwszy. Do przesuwania granic w tym regionie, niemal wyłącznie na korzyść Chin, dochodziło bowiem już wcześniej.

CESJE, ANEKSJE, GRANICE

Chińsko-tadżyckie porozumienie, kończące wieloletnie spory graniczne, zostało zawarte zaledwie dwa lata wcześniej, czyli w 2011 roku. W efekcie w okolicach osady Rangkul doszło do przesunięcia granicy między dwoma państwami nieco na zachód.

Dzięki temu Chińczycy zyskali pas przygranicznych, górzystych terenów, liczący około 1,1 tys. km^2, ponoć bardzo bogaty w kopaliny niezbędne chińskiemu przemysłowi. Jeszcze wcześniej, w 1999 roku, Duszanbe odstąpiło Pekinowi inny, liczący 200 km^2 skrawek własnego terytorium, leżący na północny-wschód od jeziora Kara-kul, przy granicy z Kirgistanem.

Pograniczne sprawy załatwia z Chinami również sąsiedni Kirgistan. W dru-

NA AKCENTOWANIU ROSNĄCEJ OBECNOŚCI CHIN W AZJI ŚRODKOWEJ NIKOMU NIE ZALEŻY. ANI WŁADZOM KRAJÓW REGIONU, ANI PAŃSTWU ŚRODKA. OCENIA SIĘ, ŻE CHIŃCZYCY NIE CHCĄ DRAŻNIĆ ROSJI, KTÓRA UWAŻA TEN OBSZAR ZA SWOJĄ STREFĘ WPŁYWU

giej połowie lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia Biszkek zawarł z Pekinem dwa porozumienia w sprawie przebiegu wspólnej granicy. Są one jednak skrzętnie ukrywane przed opinią publiczną. Gdy w czerwcu 2001 roku ruszył proces delimitacji, okazało się, że porozumienie jest dla Kirgistanu mało korzystne. Przedstawiciele opozycji nagłośnili, że ma on odstąpić Chińczykom kawał ziemi, mówiło się, że może to być nawet 125 tys. ha. Chodziło głównie o dolinę Uzengi-Kusz, leżącą na południowy wschód od miasta Karakoł, oraz otaczające góry, mieszczące niemałe zasoby wodne. Gdy sprawa wyszła na jaw, w marcu 2002 roku wybuchły gwałtowne protesty. Zostały one krwawo stłumione, co położyło się cieniem na rządach prezydenta Askara Akajewa. Kwestia granicy z Chinami była także przedmiotem debat w Kazachstanie. Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w dwu kolejnych umowach dotyczących regulacji przebiegu wspólnej granicy Kazachstan ustąpił Chinom niemal 1500 km^2 pogranicznych terenów.

Przesuwanie granic to jedno. Innym problemem jest przekazywanie Chińczykom terenów w głębi kraju. Na papierze wszystko wygląda nie najgorzej: obywatele Państwa Środka obejmują ziemię orną w dzierżawę, a korzyść ma być obustronna. Chińczykom się to opłaca, bo uprawiają rośliny, na które mają zbyt w swej ojczyźnie (głównie chodzi o soję, kukurydzę oraz rzepak). Skarb państwa dostaje pieniądze z podatków i koncesji, miejscowi rolnicy zaś mają pracę. W praktyce jednak warunki, na jakich dochodzi do zawarcia konkretnych umów, wielu wydają się upokarzające i bardzo niekorzystne.

Krytycy podnoszą, że do budżetu państw środkowoazjatyckich trafia zaledwie niewielki ułamek kwot, jakie powinny tam pójść, gdyby zajmowali się tym lokalni inwestorzy. Problem w tym, że działa tu coś w rodzaju błędnego koła, którego efektem jest stopniowe uzależnianie się gospodarek krajów środkowoazjatyckich od Chin. Powód wydaje się prosty: lokalne rynki i systemy bankowe nie mają wystarczająco środków, by w formie tanich kredytów finansować działalność rodzimych rolników. Pieniądze, i to niemałe, mają zaś Chińczycy, tyle że to oni ustalają zasady, a następnie z tego, co zainwestują, czerpią zyski i niekoniecznie chcą się nimi dzielić. Z kolei władze lokalne, rozpaczliwie potrzebując pieniędzy, przyjmują warunki Chińczyków. Koło się zamyka.

Udostępnienie chińskim przedsiębiorcom ziemi ornej stało się w minionym dziesięcioleciu dużym problemem dla władz Kazachstanu. Dziennikarze nagłośnili, że rząd tego kraju przekazał Chińczykom w dzierżawę, podobno nawet na 99 lat, aż milion hektarów w całym kraju. Całą sytuację podsumowali kazachscy opozycjoniści, którzy wiosną 2016 roku zorganizowali w Astanie protest pod hasłem: „Kazachstan jutra:

VYACHESLAV OSELEDKO/AFP/EAST NEWS

W Kirgistanie pod antychińskimi hasłami protestowano na przełomie 2018 i 2019 roku. Demonstranci domagali się wyjaśnienia kwestii napływu do kraju chińskich emigrantów. Biszkek, styczeń 2019 roku

złoża dla oligarchów, ziemia dla Chin, dla narodu – niewola".

BAZY, STRAŻNICE, FLAGI

Sprawę rzekomej bazy chińskiej na terytorium Tadżykistanu władze tego kraju wyjaśniały dość prosto. Podstawą współpracy tadżycko-chińskiej są liczne umowy dwustronne, zawarte na przełomie 2016 i 2017 roku. Dotyczą one m.in. ustanowienia strategicznego partnerstwa dwu krajów, regulują kwestie rolnictwa, migracji, rozwoju ekonomicznego. Chodzi także o sprawy związane z bezpieczeństwem, w szczególności zaś – walkę z terroryzmem.

Zgodnie z ustaleniami Chiny zobowiązały się wybudować na terenie Tadżykistanu pięć posterunków na granicy tadżycko-afgańskiej, do tego pięć przygranicznych strażnic wojskowych, trzy komendantury oraz jedno centrum szkoleniowe. Symbole państwowe Chin i Tadżykistanu na budynkach mają świadczyć o tym – według oficjalnych komunikatów – że te obiekty powstały w wyniku współpracy obu krajów. Z kolei oznaczenia w języku chińskim mają wskazywać, że zostały zbudowane za pieniądze ChRL.

Również obecność chińskich żołnierzy, według władz Tadżykistanu, wynika z realizowania wspólnych przedsięwzięć. Jest zatem we wschodniej części kraju chińska baza wojskowa czy jej nie ma? Na akcentowaniu rosnącej obecności Chin w tym zakątku świata nikomu nie zależy. Ani władzom krajów regionu, ani Państwu Środka. Ocenia się, że Chińczycy nie chcą drażnić Rosji, która uważa ten teren za swoją strefę wpływu. Krok po kroku przejmują jednak miejsce, które Moskwa zajmowała dotychczas niepodzielnie.

DŁUGI, MIGRANCI, PIENIĄDZE

Coraz bardziej zauważalna obecność Chin w Azji Środkowej może drażnić nie tylko administrację rosyjską. Nastroje antychińskie rosną również w samym regionie. Wspomniane protesty w Astanie wiosną 2016 roku miały głównie wymiar polityczny i były skierowane przeciwko rodzimej elicie, która jakoby Chińczykom ulega. Pod wyraźnie antychińskimi hasłami protestowano zaś w Kirgistanie na przełomie 2018 i 2019 roku. Demonstranci domagali się wyjaśnienia kwestii napływu do kraju chińskich emigrantów, tj. podania informacji, ile takich osób dostało kirgiskie obywatelstwo i ile przebywa w kraju nielegalnie. Rozeszła się bowiem plotka, że władze przyznały obcokrajowcom (w domyśle: Chińczykom) gwarantowane miejsca pracy, a na obszarze całego kraju nielegalnie ma przebywać nawet 50–60 tys. Chińczyków.

Oburzyło to ludzi w kraju, którego obywatele sami zmuszeni są emigrować za granicę w poszukiwaniu chleba. Manifestanci zwracali również uwagę na to, że mieszkający w Chinach Kirgizi są prześladowani i jako przedstawiciele mniejszości narodowej, i jako muzułmanie. Domagano się również rozliczenia przyznanych Kirgistanowi chińskich kredytów. Styczniowa manifestacja, choć legalna, nie zakończyła się spokojnie. Jak ironizowali miejscowi dziennikarze, „protestującym w rozejściu się pomogła milicja".

Tymczasem w sierpniu 2018 roku pojawiły się doniesienia, że Chińczycy chcą zbudować bazę wojskową na północy Afganistanu. Wprawdzie oficjalnie to zdementowano, ale najpewniej wszystko odbędzie się według scenariusza znanego już z Tadżykistanu: jeśli pojawią się jakieś instalacje, nominalnie będą afgańskie, ale użytkowane wspólnie. Cel Pekinu byłby w obydwu wypadkach ten sam: uszczelnienie granic i odcięcie własnej prowincji Sinciang, zamieszkanej głównie przez muzułmanów, od wpływów zza miedzy. ■

Na północy mobilizacja

TRZY PYTANIA DO

Piotra Szymańskiego

W jaki sposób wzrost potencjału militarnego Rosji wpłynął na zmiany w polityce bezpieczeństwa Szwecji i Finlandii?

Szwecja i Finlandia wzmocniły współpracę wojskową z NATO i USA oraz dwustronne więzy obronne. Sztokholm, który do 2014 roku koncentrował się na zagrożeniach globalnych, zaczął przykładać większą wagę do bezpieczeństwa w regionie Morza Bałtyckiego i odbudowywać zdolności do obrony własnego terytorium. Helsinki, tradycyjnie skupione na utrzymaniu zdolności do samodzielnej obrony, otworzyły się na możliwość udzielania i otrzymywania pomocy wojskowej.

Jakich dziedzin dotyczy program szwedzko-fińskiej współpracy obronnej?

Szwecja i Finlandia nie zakładają żadnych ograniczeń w rozwijaniu dwustronnej współpracy. Obejmuje ona czas pokoju, kryzysu i wojny, ale nie zawiera formalnego zobowiązania sojuszniczego. Oba państwa koncentrują się na podnoszeniu poziomu interoperacyjności wszystkich rodzajów sił zbrojnych – chodzi o zaawansowane ćwiczenia, wzajemne wykorzystanie baz, przekazywanie dowodzenia – oraz rozszerzaniu współpracy logistyczno-materiałowej i międzynarodowej. Inwestują też w cyberbezpieczeństwo, bezpieczną komunikację i zdolność do zwalczania zagrożeń hybrydowych. Szwedzko-fińskie ćwiczenia wojskowe coraz częściej odchodzą od scenariuszy zarządzania kryzysowego na rzecz symulowania wspólnych działań obronnych w konflikcie o wysokiej intensywności.

Celem sił powietrznych jest osiągnięcie zdolności do prowadzenia pełnego spektrum operacji. Od 2016 roku myśliwce Szwecji i Finlandii uczestniczą w największych narodowych ćwiczeniach. Coraz częściej fińskie maszyny operują z baz na terytorium Szwecji i odwrotnie. Początkowo manewry symulowały działania przeciwko sobie, ale od 2017 roku myśliwce obu państw ćwiczą też wspólne operacje obronne. Transgraniczne manewry sił powietrznych Szwecji, Finlandii i Norwegii w ramach współpracy nordyckiej odbywają się niemal cotygodniowo.

Celem marynarek wojennych jest utworzenie wspólnej grupy zadaniowej. Osiągnęła ona wstępną gotowość operacyjną w 2017 roku. Szwedzkie i fińskie okręty odbywają coroczne ćwiczenia dwustronne, a także biorą udział w wielonarodowych manewrach. W scenariuszach wspólnych szkoleń na znaczeniu zyskało zwalczanie okrętów podwodnych.

Współdziałanie wojsk lądowych koncentruje się na wypracowaniu koncepcji wspólnej brygady i rozszerzonym programie ćwiczeń. W marcowym „Northern Wind" fińska batalionowa grupa bojowa, licząca 1,5 tys. żołnierzy i 500 pojazdów, weszła w skład szwedzkiej brygady, ćwiczącej z siłami USA, Wielkiej Brytanii i Norwegii.

Czy oba kraje myślą w dalszej perspektywie o wstąpieniu do NATO, czy wystarcza im bliższa współpraca z Sojuszem?

Szwecja i Finlandia nie rozważają członkostwa w NATO. Oba państwa uznają, że ich wojskowa bezaliansowość wzmacnia bezpieczeństwo w regionie Morza Bałtyckiego. W Finlandii większość partii politycznych i społeczeństwa sprzeciwia się członkostwu w Sojuszu. W Szwecji opinia publiczna jest podzielona w tej kwestii, ale debatę na temat ewentualnych zmian w polityce bezpieczeństwa blokuje socjaldemokracja. Szwecja i Finlandia uczestniczą natomiast w Siłach Odpowiedzi NATO. Biorą też m.in. udział w sztabowych ćwiczeniach zarządzania kryzysowego CMX, poligonowych manewrach „Trident Juncture" i ćwiczeniach sił powietrznych „Ramstein Alloy". Od 2014 roku należą do programu wzmocnionego partnerstwa, tj. grupy uprzywilejowanych państw najściślej współpracujących z NATO. Oba kraje podpisały z NATO porozumienia o Host Nation Support, stwarzające Sojuszowi możliwość wykorzystania terytorium Szwecji bądź Finlandii w czasie pokoju, w sytuacjach kryzysowych i podczas konfliktów. ■

PIOTR SZYMAŃSKI jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzgruber.

LODOWE KONICZYNKI

Arktyka i tereny subarktyczne jeszcze nie raz pojawią się na pierwszych stronach gazet, i to wcale nie z powodu badań i odkryć naukowych.

TOMASZ OTŁOWSKI

Strategiczne znaczenie Arktyki i regionów subarktycznych rośnie w szybkim tempie od co najmniej kilkunastu lat. Z kilku powodów – od znajdujących się w tej części świata bogatych zasobów złóż naturalnych, przez nowe szlaki transportowe, których dostępność zwiększa się wraz z topniejącą pokrywą lodową, aż po względy stricte militarne i geopolityczne. W rywalizację o skorzystanie z tamtejszych bogactw włączyli się zarówno najsilniejsi gracze (USA, Kanada i Rosja), jak też ci mniejsi (Norwegia, Dania, a nawet Finlandia i Wielka Brytania). Szczególne zainteresowanie Arktyką wykazują jednak Rosjanie.

NASZA PO WSZE CZASY

Międzynarodową rywalizację w tym regionie ułatwia to, że Arktyka – w odróżnieniu od Antarktyki, której status określono w traktacie z 1959 roku – nie ma specjalnie uregu-

lowanej sytuacji prawno-międzynarodowej. Oznacza to, że na tych terenach obowiązują ogólne normy prawa międzynarodowego, zwłaszcza „Konwencja Narodów Zjednoczonych o prawie morza" z 1982 roku. Na Oceanie Arktycznym panuje więc wolność żeglugi, charakterystyczna dla wód międzynarodowych, każde zaś państwo mające dostęp do tego akwenu sprawuje suwerenną władzę nad strefą przybrzeżną o szerokości 200 Mm (około 370 km). Ze wszystkich tych krajów to właśnie Rosja ma największy dostęp do niego, a co najważniejsze – rości sobie prawa do większości obszaru arktycznego (włącznie z biegunem północnym), bo traktuje go jako przedłużenie rosyjskiego szelfu kontynentalnego. W 2007 roku Rosjanie zorganizowali z wielką medialną i propagandową oprawą specjalną wyprawę „badawczą", której – co oczywiste – udało się zebrać „niepodważalne dowody" na przynależność Arktyki do rosyjskiego szelfu, a więc de facto do wyłącznej strefy ekonomicznej Rosji.

Dla potwierdzenia i symbolicznego przypieczętowania tych odkryć wbito nawet flagę Federacji Rosyjskiej (FR) na dnie morza w okolicy bieguna północnego.

Jak stwierdził w 2013 roku Władimir Putin, Arktyka jest niezbywalną częścią FR: „Sprawujemy nad nią suwerenność od wielu stuleci. Dlatego pozostanie tak po wsze czasy".

W 2017 roku, z okazji obchodów Dnia Zwycięstwa zorganizowano w Moskwie jedną z największych defilad wojskowych po rozpadzie Związku Sowieckiego, na której zaprezentowano nowe formacje i rodzaje sprzętu wojskowego. Szczególnego znaczenia propagandowego nabrał przejazd pojazdów pomalowanych w specyficzne biało-czarne wzory kamuflażu arktycznego, należących do nowych jednostek sił zbrojnych FR dyslokowanych na rosyjskiej Dalekiej Północy – w Arktyce i regionie subarktycznym.

KIERUNEK BIEGUN

Od ponad dekady Moskwa coraz bardziej ostentacyjnie zwiększa swą militarną obecność i aktywność w regionie arktycznym. Przejawami tego procesu jest nie tylko sformowanie w ramach struktury sił zbrojnych FR w grudniu 2014 roku odrębnego dowództwa centralnego (zwanego arktycznym), lecz także rozbudowa już istniejących i budowa nowych stałych baz wojskowych, posterunków i infrastruktury logistyczno-operacyjnej na Dalekiej Północy. Docelowo do

OCIEPLENIE KLIMATU – TOPNIENIE LODOWCÓW – SPRAWIA, ŻE ARKTYKA STAJE SIĘ BARDZIEJ OTWARTA DLA OKRĘTÓW WOJENNYCH I SIŁ LĄDOWYCH WROGÓW FEDERACJI ROSYJSKIEJ

RICK BAJORNAS/UN

MO FEDERACJI ROSYJSKIEJ

Baza Koniczynka należy do sieci stałych instalacji wojskowych, które z jednej strony mają symbolicznie podkreślać faktyczną przynależność danej części terytorium do FR, z drugiej zaś – monitorować aktywność innych graczy międzynarodowych.

ROSJA ROŚCI SOBIE PRAWA DO BOGATYCH ZŁÓŻ SUROWCÓW NATURALNYCH UKRYTYCH POD ARKTYCZNYMI LODAMI

około 2025 roku Rosja będzie dysponować w Arktyce sześcioma nowymi bazami, 14 lotniskami polowymi wraz z infrastrukturą, 16 portami pełnomorskimi przystosowanymi do celów militarnych oraz flotą lodołamaczy liczącą bez mała pół setki statków, a także czterema sformowanymi od podstaw brygadami lekkiej piechoty, wyposażonymi w najnowszy i najnowocześniejszy sprzęt, jakim dysponuje tamtejsza armia. Choć i tak na surowej Dalekiej Północy najlepiej sprawdzają się stare, wypróbowane konstrukcje sowieckie, np. przegubowe transportery gąsienicowe serii DT-30 Witiaź.

Niedawne (2017 rok) otwarcie dwóch nowych baz – Arktycznej Koniczynki na Ziemi Aleksandry (jedna z wysp Archipelagu Franciszka Józefa, zaledwie kilkaset kilometrów na wschód od norweskiego archipelagu Svalbard na Morzu Barentsa) oraz Północnej Koniczyny na wyspie Kotielnyj (największej z Wysp Nowosyberyjskich na Morzu Wschodniosyberyjskim) – doskonale pokazuje sposób działania Moskwy wobec regionu arktycznego w wymiarze strategicznym i militarnym. Jego istotą jest utworzenie sieci stałych instalacji wojskowych, które z jednej strony mają symbolicznie podkreślać faktyczną przynależność danej części terytorium do FR, z drugiej zaś – monitorować aktywność innych graczy międzynarodowych. I chociaż rosyjskie obiekty arktyczne bardziej niż klasyczne bazy wojskowe przypominają swym wyglądem polarne stacje naukowo-badawcze (mają zresztą też zbliżoną pojemność – mogą jednorazowo pomieścić najwyżej 150 członków personelu), to nie sposób nie doceniać ich militarnego znaczenia.

Na Wyspie Aleksandry, gdzie wybudowano nowoczesny pas startowy o długości 1,5 km, może np. stacjonować eskadra bombowców taktycznych Su-34 oraz myśliwców MiG-31. Co ciekawe, to polowe lotnisko otrzymało nazwę Nagurskoje dla upamiętnienia postaci Jana Nagórskiego, Polaka służącego w rosyjskim lotnictwie wojskowym przed I wojną światową, który stał się pierwszym w historii lotnikiem polarnym – w 1914 roku odbył kilka lotów nad Arktyką.

Podobne wyposażenie jak „arktyczne koniczynki" będą mieć również inne rosyjskie instalacje militarne planowane w Arktyce. A począwszy od 2025 roku, ta część świata ma być także

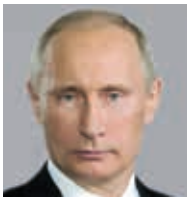

Jak stwierdził w 2013 roku WŁADIMIR PUTIN, Arktyka jest niezbywalną częścią FR: „Sprawujemy nad nią suwerenność od wielu stuleci. Dlatego pozostanie tak po wsze czasy".

patrolowana przez co najmniej jedną eskadrę niewidzialnych bombowców nowej generacji PAK DA. Rosjanie stopniowo zwiększają potencjał obrony przeciwlotniczej swojej Dalekiej Północy – rozmieścili tam już dwa systemy S-400 (na Nowej Ziemi i w mieście Tiksi w Jakucji), a także zestawy Pancyr-S1. Instalacje morskie są z kolei chronione przez baterie pocisków przeciwokrętowych P-800 Oniks.

SKARBY GŁĘBOKO UKRYTE

W oficjalnej nomenklaturze Rosjanie bardzo rzadko nazywają swą arktyczną infrastrukturę bazami – najczęściej używają określeń typu „stacje monitorujące", „instalacje", „stacje ochrony granic", „centra poszukiwawczo-ratownicze". Nie zmienia to faktu, że obiekty te pokazują rosyjskie ambicje i roszczenia wobec Arktyki, które mają wielowymiarowy charakter. Najczęściej przywołuje się w tym kontekście chęć wykorzystania przez Moskwę bogatych złóż surowców naturalnych, podobno ukrytych pod arktycznymi lodami – zwłaszcza ropy naftowej (13% nieodkrytych jeszcze zasobów światowych), gazu ziemnego (do 30%), a także wielu metali, w tym szlachetnych.

Zdecydowana większość tych skarbów znajduje się na terenie rosyjskiej Arktyki, a szybko postępujący proces kurczenia się pokrywy lodowej sprawia, że perspektywa eksploatacji tych surowców staje się coraz bardziej realna. Co więcej, cofanie się lodu otwiera też nowe, atrakcyjne możliwości transportu morskiego – Północna Droga Morska, prowadząca wzdłuż północnych wybrzeży Azji, to skrócenie aż o 20% długości trasy dla statków handlowych kursujących między Europą a Azją.

Żywe zainteresowanie Moskwy Arktyką spowodowane jest jednak także fundamentalnymi przyczynami natury geopolitycznej, rzadziej cytowanymi w zachodniej publicystyce i dyskursie politycznym. Przemiany klimatyczne, nasilające się wyraźnie w ostatnich latach, wywołują w rosyjskich elitach politycznych i wojskowych poważny niepokój. Ocieplenie klimatu sprawia bowiem, że systematycznie zmniejsza się dotychczasowa tradycyjna niedostępność tej części świata – arktyczna pokrywa lodowa topnieje, co otwiera coraz szerzej tamtejsze akweny morskie dla okrętów wojennych i sił lądowych wrogów FR.

Taka sytuacja stanowi całkowite zaprzeczenie odwiecznej, tradycyjnej rosyjskiej myśli geopolitycznej, według której Rosja mogła się czuć naprawdę bezpiecznie w zasadzie tylko na Dalekiej Północy, niedostępnej ze względu na surowość klimatu i warunków naturalnych. Stanowiły one naturalną obronę, w gruncie rzeczy nie do pokonania dla konwencjonalnych sił przeciwnika. Oparta o tę rubież, niczym plecami o skałę, Moskwa mogła w ostatnich kilku stuleciach koncentrować się na stopniowym podboju terytoriów Eurazji leżących na zachodzie, południu i wschodzie od Rusi. Dzisiaj Rosjanie z rosnącą obawą obserwują narastającą aktywność Zachodu w Arktyce oraz na obszarach subarktycznych, szczególnie w Skandynawii.

Zwiększające się zainteresowanie państw zachodnich obszarami arktycznymi jest jednak spowodowane – oprócz wspomnianych przyczyn ekonomicznych – właśnie głównie działaniami Moskwy. Szybka militaryzacja rosyjskiej części Arktyki i niedwuznaczne dążenia Kremla do rozciągnięcia strefy wpływów w tej części świata aż po biegun północny zmuszają Zachód do reakcji. Na razie jednak odpowiedź na działania rosyjskie jest więcej niż skromna. W przeciwieństwie do Rosji żadne z pozostałych państw arktycznych (z USA włącznie) nie ma spójnej i jasnej strategii działania w Arktyce. Brak takowej sprawia zaś, że siły i środki przeznaczane na działania na Północy są nieadekwatne do potrzeb. Wystarczy wspomnieć w tym kontekście, że Amerykanie mają jedynie dwa sprawne lodołamacze arktyczne, z czego jeden (należący do straży granicznej USCGC „Polar Star", klasyfikowany jako ciężki) ma już ponad 40 lat. W styczniu 2019 roku wykonał on kolejną, pełną technicznych problemów i awarii misję na wodach Arktyki, umożliwiając dostarczenie zaopatrzenia do amerykańskich stacji badawczych w regionie. Zwodowanie kolejnych trzech jednostek pod banderą USA jest planowane dopiero na połowę przyszłej dekady. Tymczasem Rosja ma już w służbie 40 lodołamaczy, w tym kilka olbrzymów o napędzie nuklearnym, a w budowie jest kolejnych dziesięć jednostek (m.in. najnowocześniejszy i największy na świecie atomowy lodołamacz „Arktyka" o wyporności 71 tys. t). Stany Zjednoczone, Kanada czy Norwegia nie dysponują też w regionie arktycznym infrastrukturą militarną o skali i charakterze porównywalnych z tym, co już teraz ma Moskwa. I co gorsza, nie planują budowy takowej w dającej się przewidzieć przyszłości.

STREFA POD NAPIĘCIEM

Działania podejmowane na obszarze arktycznym przez kraje zachodnie mają zatem głównie charakter reaktywny wobec kroków rosyjskich i w dużej mierze symboliczny, jak rotacyjna obecność batalionu amerykańskiej piechoty morskiej w północnej Norwegii czy zmagazynowanie w tym kraju wyposażenia i uzbrojenia dla 13 tys. żołnierzy USA na wypadek wojny. Co ciekawe, nawet te ograniczone działania spotkały się już z krytyką ze strony wielu europejskich potęg (jak Niemcy czy Francja), które obawiają się zaognienia sytuacji strategicznej w subarktycznej części Europy Północnej. Paryż wprost wezwał do poszanowania „rosyjskich obaw" przed remilitaryzacją północnej Skandynawii, który to proces Moskwa postrzega jako zagrożenie dla swych baz morskich i rakietowych na Półwyspie Kolskim. To właśnie tu, na granicy Norwegii i Finlandii z Rosją, sytuacja strategiczna może w najbliższych latach stać się równie napięta jak we wschodniej części basenu Morza Bałtyckiego. Jeśli obawy te się potwierdzą, to Arktyka i tereny subarktyczne jeszcze nie raz pojawią się w nagłówkach doniesień medialnych, i to niekoniecznie z powodu przełomowych wyników badań i odkryć naukowych. ■

Ogromne znaczenie – nie tylko ze względów wojskowych, lecz także politycznych – ma przezbrojenie 152 Brygady Rakietowej z Czerniachowska w systemy rakietowe Iskander.

AKWEN MORZA BAŁTYCKIEGO ZNALAZŁ SIĘ W ZASIĘGU BAZUJĄCYCH W OBWODZIE KALININGRADZKIM SYSTEMÓW RAKIETOWYCH

ALEXEI DANICHEV/EAST NEWS

Twierdza Kaliningrad

Iskandery, więcej czołgów i myśliwców, nowe okręty – tak Rosja wzmacnia potencjał wojskowy w obwodzie kaliningradzkim.

ANDRZEJ WILK

W latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku obwód kaliningradzki zyskał miano niezatapialnego lotniskowca Rosji. Wraz z rosnącym zasięgiem naziemnych środków rażenia militarna ranga eksklawy przez lata podlegała daleko idącym zmianom. Od kiedy cały akwen Morza Bałtyckiego znalazł się w zasięgu bazujących w obwodzie kaliningradzkim systemów rakietowych, właściwsze byłoby miano „niezatapialna bateria artyleryjska i przeciwlotnicza". Po ponad dekadzie zastoju modernizacja i rozbudowa potencjału militarnego w tym regionie zostały zintensyfikowane, co przyczyniło się do wzrostu zdolności ofensywnych, przede wszystkim jednak potencjału rażenia dyslokowanego tam zgrupowania Sił Zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

WZMACNIANIE ZAPLECZA

Infrastruktura wojskowa w obwodzie kaliningradzkim jako jedna z nielicznych w FR nie była rozwijana de facto od czasów sowieckich. Przystosowana w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku do rozmieszczenia kontyngentu liczącego w szczytowym okresie ponad 100 tys. żołnierzy (po przesunięciu do obwodu jednostek wycofywanych z byłych krajów satelickich ZSRR), po jego znaczącej redukcji na początku nowego stulecia do poziomu 25 tys. żołnierzy i marynarzy była uznawana za wystarczającą na potrzeby całego zgrupowania. Także w razie konieczności jego wzmocnienia. Rozpoczęcie prac nad modernizacją infrastruktury wiązało się z postępującym uzawodowieniem, przede wszystkim zaś rozpoczęciem procesu przezbrajania jednostek w nowe typy uzbrojenia i sprzętu wojskowego.

Mimo odchodzenia obwodu kaliningradzkiego od roli lotniskowca, zmiany infrastrukturalne objęły również sieć lotniskową. W październiku 2018 roku ostatecznie oddano do użytku Czkałowsk, jedno z największych lotnisk wojskowych w Rosji, zdolne przyjmować praktycznie wszystkie kategorie samolotów, z ciężkimi maszynami transportowymi włącznie. Pas startowy wydłużono tam do 3100 m i poszerzono go w celu umożliwienia równoczesnego startu kilku maszyn, znacząco zwiększono też liczbę hangarów oraz miejsc postojowych. W perspektywie najbliższych lat analogiczne zmiany czekają drugą z głównych baz lotniczych w obwodzie – lotnisko Czerniachowsk.

Wraz z modernizacją i rozbudową obiektów wojskowych pod nowe typy uzbrojenia i sprzętu równocześnie trwają prace związane z unowocześnieniem infrastruktury logistycznej. Szczególną uwagę zwraca magazyn do przechowywania amunicji jądrowej, którego rekonstrukcję rozpoczęto w 2016 roku. Ze zdjęć satelitarnych wynika, że położony w rejonie Kulikowa obiekt został w dużej mierze zbudowany od nowa.

ZDOLNOŚCI OFENSYWNE

W historii zgrupowania Sił Zbrojnych FR lata 2018–2019 zapiszą się jako te, w których po dekadach redukcji, a potem stagnacji przystąpiono do rozbudowy zgrupowania powietrzno-lądowego. Przy czym położono nacisk w pierwszej kolejności na formowanie jednostek o charakterze ofensywnym. Reaktywowano dwa pułki lotnictwa bojowego oraz jeden czołgów.

Odtwarzanie 4 Pułku Lotnictwa Szturmowego Marynarki Wojennej (w Czkałowsku, do paździer-

Odtwarzanie 4 Pułku Lotnictwa Szturmowego Marynarki Wojennej rozpoczęło się wraz z dostawami do jednostki nowych samolotów bojowych Su-30.

→

nika 2018 roku Czerniachowsk) rozpoczęło się wraz z dostawami do jednostki nowych samolotów bojowych Su-30. 4 Pułk powstał na bazie eskadry lotnictwa szturmowego 72 Bazy Lotniczej i do końca 2018 roku osiągnął gotowość bojową w sile dwóch eskadr. Do odtwarzania 689 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego przystąpiono już w zmodernizowanym Czkałowsku, na bazie eskadry myśliwskiej 72 Bazy. Wzorem zmian zachodzących w strukturze rosyjskich wojsk powietrzno-kosmicznych w innych regionach kraju konsekwencją odtworzenia pułków będzie przekształcenie 72 Bazy Lotniczej w dywizję lotniczą.

Na początku 2019 roku w składzie 11 Korpusu Armijnego sformowano 11 Samodzielny Pułk Czołgów w Gusiewie. Jednostka powstała na bazie samodzielnego batalionu czołgów utworzonego zaledwie pół roku wcześniej. 11 Pułk to pierwsza jednostka ogólnowojskowa tego szczebla rozwinięta w obwodzie kaliningradzkim od rozpadu Związku Sowieckiego. Sformowanie pułku należy traktować jako pierwszy i jednocześnie najtrudniejszy krok do odtworzenia na terytorium eksklawy dywizji zmechanizowanej, ponieważ wcześniej doszło do niemal całkowitej likwidacji stacjonujących w obwodzie formacji wojsk pancernych. Do lipca 2018 roku jedynym pododdziałem pancernym w obwodzie kaliningradzkim był batalion czołgów w 79 Brygadzie Zmechanizowanej w Gusiewie. W planach na 2019 rok znalazło się też rozwinięcie w ramach 25 Pułku Rakietowego Obrony Wybrzeża w Donskoje dodatkowego (trzeciego) dywizjonu rakietowego, wyposażonego w systemy Bał.

WYKUWANIE ORĘŻA

Przez długi czas zgrupowanie Sił Zbrojnych FR w obwodzie kaliningradzkim pozostawało na marginesie procesu modernizacji technicznej. Wyjątek stanowiło wyposażenie marynarki wojennej (nowe okręty i jednostki pomocnicze Floty Bałtyckiej z miejscem stacjonowania w Bałtyjsku wchodzą do służby nieprzerwanie od 2008 roku) oraz obrony powietrzno-kosmicznej (systemy S-400 rozmieszczono w obwodzie kaliningradzkim, pierwszym miejscu w europejskiej części Federacji Rosyjskiej poza okolicami Moskwy, w 2013 roku). Dopiero pod koniec 2016 roku rozpoczęto dostarczanie nowego uzbrojenia o charakterze stricte ofensywnym.

Szczególne znaczenie – nie tylko ze względów wojskowych, lecz także politycznych – ma przezbrojenie 152 Brygady Rakietowej z Czerniachowska w systemy rakietowe Iskander. Po pogwałceniu traktatu INF (Treaty on Intermediate-range Nuclear Forces) i wypowiedzeniu go przez Rosję w marcu 2019 roku w zasięgu tych rakiet (nie tylko osławionych skrzydlatych 9M729, lecz także testowanych obecnie w Rosji balistycznych o zasięgu znacznie przekraczającym traktatowe 500 km) znajdzie się praktycznie cała Europa. Warto zwrócić uwagę na to, że ostatecznie iskandery trafiły do eksklawy zgodnie z przyjętym harmonogramem, niezależnie od postępów budowy amerykańskiej bazy w Redzikowie, na której powstanie miały rzekomo stanowić odpowiedź.

Za strategiczne posunięcie należy także uznać wyposażenie w systemy Bastion drugiego z dywizjonów 25 Pułku Rakietowego Obrony Wybrzeża. Jak wykazały działania w Syrii, rakiety z wyrzutni tego systemu (Oniks i Kalibr) mogą być odpalane nie tylko do celów morskich, lecz także lądowych. Jeśli weźmiemy pod uwagę główne zastosowanie bastionów, jako nosicieli rakiet przeciwokrętowych, to okaże się, że ich rozmieszczenie w obwodzie kaliningradzkim przekształca akwen Morza Bałtyckiego w strefę antydostępową w wypadku konfliktu zbrojnego – utrudniającą bądź wręcz uniemożliwiającą swobodę żeglugi – porównywalną do strefy A2/AD tworzonej w przestrzeni powietrznej przez systemy S-400.

W ramach kontynuacji przezbrojenia jednostek 44 Dywizji Obrony Powietrznej zakończono w 2018 roku wyposażanie w systemy S-400 183 Pułku Rakietowego Obrony Powietrznej w Gwardiejsku. W marcu 2019 roku dostał je pierwszy z dwóch planowanych na ten rok dywizjonów 1545 Pułku Rakietowego Obrony Powietrznej w Znamiensku. Ogółem do końca 2019 roku w obwodzie kaliningradzkim zostanie rozwiniętych sześć dywizjonów z systemami S-400 (48 wyrzutni, łącznie 192 rakiety w jednorazowej salwie), co pod względem nasycenia nowoczesnymi środkami obrony powietrznej stawia eksklawę na drugim miejscu po obwodzie moskiewskim.

W grudniu 2016 roku do Czerniachowska dotarły pierwsze od czasu utworzenia zgrupowania lotniczego w obwodzie kaliningradzkim nowe samoloty bojowe – Su-30SM. Ogółem do 4 Pułku Lotnictwa Szturmowego Marynarki Wojennej trafiło dotychczas osiem maszyn tego typu, a także tyle samo starszej wersji samolotów Su-30M2 w celu pełnego ukompletowania eskadry. Do enklawy przemieszczono również dodatkowe maszyny z rodziny Su-27, przekazane do 689 Pułku Lotnictwa Myśliwskiego z przezbrajanego 790 Pułku w Chotyłowie.

Dostarczane do obwodu kaliningradzkiego od 2018 roku czołgi T-72B nie należą do najnowocześniejszych w armii rosyjskiej, odtworzenie pododdziałów pancernych trzeba jednak uznać za czynnik w zdecydowanie najwyższym stopniu wzmacniający zdolności ofensywne zgrupowania wojsk lądowych na terytorium eksklawy. Po zakończeniu formowania 11 Samodzielnego Pułku Czołgów liczba tych maszyn w obwodzie kaliningradzkim wzrośnie z 41 do 135. Jeśli się przyjmie, że sformowanie tej jednostki to wstępny krok do odtworzenia w obwodzie kaliningradzkim dywizji zmechanizowanej, to po zakończeniu odtwarzania pozostałych pułków zmechanizowanych, a także planowanym przywróceniu batalionów czołgów w 7 Pułku Zmechanizowanym i 336 Brygadzie Piechoty Morskiej łączna liczba czołgów w jednostkach 1 Korpusu Armijnego w obwodzie kaliningradzkim wzrośnie do 300. Proporcjonalnie zwiększy się wówczas także liczba bojowych wozów opancerzonych i jednostek artylerii.

TENDENCJE ROZWOJU

W porównaniu z postępami modernizacji technicznej formacji lądowo-powietrznych dostawy uzbrojenia potrzebnego do działań na Bałtyku można uznać za stosunkowo niewielkie. Wyjątek stanowiło dostarczenie siedmiu zmodernizowanych śmigłowców zwalczania okrętów podwodnych ZOP Ka-27M do Floty Bałtyckiej. To, że stanowią one trzecią część wszystkich śmigłowców ZOP zmodernizowanych dotychczas

IGOR ZAREMBO/SPUTNIK/EAST NEWS

ROSYJSKIE WOJSKO INTENSYWNIE MODERNIZUJE SIĘ W OBWODZIE KALININGRADZKIM PO PONAD DEKADZIE ZASTOJU I CIĘĆ

Na początku 2019 roku w składzie 11 Korpusu Armijnego sformowano 11 Samodzielny Pułk Czołgów w Gusiewie. Jednostka powstała na bazie samodzielnego batalionu czołgów utworzonego zaledwie pół roku wcześniej.

na potrzeby marynarki wojennej FR, świadczy o priorytetowym traktowaniu przygotowania armii do zwalczania sił podwodnych NATO na Bałtyku.

Jedynym nowym okrętem Floty Bałtyckiej z miejscem bazowania w Bałtyjsku jest prototypowa korweta rakietowa „Mytiszczy" projektu 22800 Karakurt. Okręt wszedł do służby w grudniu 2018 roku, a jego główne uzbrojenie stanowią rakiety Kalibr. W 2019 roku spodziewane jest też wzmocnienie bazy w Bałtyjsku o kolejną jednostkę tego typu, „Sowietsk". Obranie kierunku na przekształcenie zgrupowania morskiego Floty Bałtyckiej we wspierające operację powietrzno-lądową potwierdza także decyzja o przystosowaniu do odpalania rakiet Kalibr korwet projektu 20380 Stierieguszczyj. Cztery takie jednostki weszły do służby we Flocie Bałtyckiej w latach 2008–2014. Do przenoszenia kalibrów zostaną przystosowane fregata „Nieustraszimyj" projektu 11540 Jastrieb, a także operujące z Kronsztadu dwa pozostałe na Bałtyku okręty podwodne projektu 877 (po remoncie ma do nich dołączyć trzecia jednostka tego typu, przesunięta do Floty Bałtyckiej z Floty Czarnomorskiej).

Działania na rzecz modernizacji i rozbudowy potencjału militarnego w obwodzie kaliningradzkim wskazują, że skupione tam zgrupowanie powietrzno-lądowe docelowo zostanie zwiększone nawet dwukrotnie na bazie wcześniej skadrowanych struktur. Część jednostek powstaje na miejscu tych, które były redukowane przez armię rosyjską przez lata, a niektóre będą formowane od podstaw.

Poza tymi tendencjami pozostaje morski komponent Floty Bałtyckiej, który jako jedyny nie jest zwiększany liczebnie, a dokonują się w nim wyłącznie zmiany jakościowe, sugerujące służebną rolę działań na Bałtyku wobec operacji powietrzno-lądowej w potencjalnym konflikcie zbrojnym na wschodniej flance NATO. ■

ANDRZEJ WILK jest głównym specjalistą do spraw wojskowych aspektów bezpieczeństwa międzynarodowego w Ośrodku Studiów Wschodnich, w którym pracuje od 1999 roku. Wkrótce ukaże się raport, który Ośrodek przygotowuje na temat aktualnej sytuacji w obwodzie kaliningradzkim – politycznej, społecznej, ekonomicznej i bezpieczeństwa (w tym militarnej).

INSTYTUT TECHNICZNY WOJSK LOTNICZYCH

ul. Księcia Bolesława 6, 01-494 Warszawa
tel.: +48 261 851 300; fax: +48 261 851 313
www.itwl.pl e-mail: poczta@itwl.pl

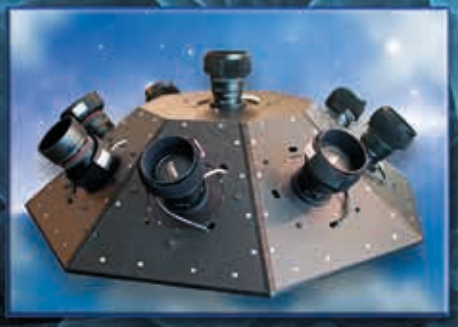

Korea Północna rozpoczęła odbudowę ośrodka przeznaczonego do testów rakiet dalekiego zasięgu.

TADEUSZ WRÓBEL

CO UKRYWA KIM?

Szczyt amerykańsko-północnokoreański z udziałem prezydenta Donalda Trumpa i Kim Dzong Una, który odbył się 28 lutego 2019 roku w stolicy Wietnamu Hanoi, zakończył się fiaskiem. Tuż po powrocie Kima do kraju w mediach pojawiły się informacje, że zaobserwowano aktywność w ośrodku w Sohae, z którego Korea Północna wystrzeliwała sztuczne satelity oraz gdzie testowała silniki i weryfikowała technologie związane z programem budowy międzykontynentalnych rakiet balistycznych mogących przenosić ładunki nuklearne. Instalacja ta znajduje się wśród wzgórz powiatu Tongchang na północy kraju, niedaleko wybrzeża Morza Żółtego i w pobliżu północnozachodniego odcinka granicy z Chinami. Aktywność dostrzeżono też w drugim miejscu związanym z północnokoreańskim programem rakietowym, w Sanumdongu na przedmieściach Pjongjangu.

W 2018 roku, po pierwszym spotkaniu Donalda Trumpa i Kim Dzong Una, zaobserwowano demontaż obiektów na terenie tego ośrodka rakietowego. Lider północnokoreański zaproponował nawet podczas wrześniowego spotkania z prezydentem Republiki Korei Mun Jae-inem, aby byli przy tym obecni amerykańscy eksperci. Ostatecznie w 2018 roku częściowo zlikwidowano miejsce testowania silników, wyrzutnię rakiet i budynek na szynach, w którym montowano rakiety nośne.

NG HAN GUAN/AP/EAST NEWS

Rakieta Unha-3 przygotowana do startu na terenie ośrodka w Sohae.

PROPOZYCJA Z PODTEKSTEM

Na spotkaniu w Hanoi Kim Dzong Un w zamian za zniesienie amerykańskich sankcji nałożonych na jego kraj zaoferował całkowitą likwidację Sohae i zamknięcie kompleksu nuklearnego w Jongbion. Prezydent Trump jednak uznał, że byłoby to zbyt duże ustępstwo za niewielki krok w kierunku całkowitej denuklearyzacji Korei Północnej, czego domagają się Stany Zjednoczone. Amerykańskie i południowokoreańskie służby wywiadowcze podejrzewają bowiem, że władze w Pjongjangu mają nie tylko inne, utajnione instalacje, w których mogą wytwarzać materiały do produkcji broni nuklearnej, lecz także ukryte zapasy już gotowych pocisków oraz ładunki atomowe. Dlatego Kim Dzong Un mógł sobie pozwolić na złożenie prezydentowi Trumpowi, jak to określił północnokoreański minister spraw zagranicznych Ri Yong Ho, „realistycznej propozycji".

Niezwykle interesującą informację podały południowokoreańskie media. Przedstawiciele tamtejszego wywiadu podczas zamkniętego spotkania z parlamentarzystami ujawnili, że odbudowa Sohae rozpoczęła się jeszcze przed szczytem w Hanoi. Potwierdza to ekspert serwisu internetowego 38 North, zajmującego się sprawami Korei Północnej. Jak powiedział, analiza zdjęć wykonanych przez komercyjnego satelitę firmy DigalGlobe wskazuje na to, że prace ruszyły między 16 lutego a 2 marca, co potwierdzają widoczne na fotografiach dwa dźwigi. Na początek na wyrzutni zaczęto odtwarzać mobilny budynek. Prawdopodobnie przywracane jest też do używalności stanowisko testowania silników. Na zdjęciach dostrzeżono również nowy dach nad miejscem składowania paliw rakietowych i utleniacza.

SIŁA ARGUMENTÓW

Przedstawiciele południowokoreańskiego wywiadu wskazali dwa możliwe powody ewentualnej odbudowy Sohae. Gdyby podczas szczytu doszło do porozumienia, rozbiórka instalacji byłaby bardziej spektakularna. W razie fiaska natomiast skróciłby się czas potrzebny do wznowienia testów rakiet (Korea Północna nie przeprowadzała ich od listopada 2017 roku). Aczkolwiek, jak twierdził Donald Trump, w zamian za rezygnację przez USA z dwóch dużych ćwiczeń z wojskami Korei Południowej podczas rozmów w Hanoi Kim Dzong Un zobowiązał się, że nie będzie nowych prób nuklearnych i rakietowych.

AIRBUS

Z interpretacją tego, co zaobserwowano w Sohae (na zdjęciu) i Sanumdongu, jest ten sam problem, co z wieloma wcześniejszymi posunięciami władz Korei Północnej. Hermetyczność tamtejszego reżimu sprawia, że nawet służby wywiadowcze, śledzące wydarzenia w tym kraju, miewają problemy z odgadnięciem jego prawdziwych intencji.

TYLKO DWIE Z PIĘCIU PRÓB WYSTRZELENIA Z SOHAE RAKIET Z SATELITAMI ZAKOŃCZYŁY SIĘ POWODZENIEM

Jak długo to moratorium przetrwa w razie braku porozumienia politycznego, zależy od tego, ile czasu zajmie specjalistom analiza i wyciągnięcie wniosków z wyników dotychczasowych prób, zwłaszcza rakiet pośredniego i dalekiego zasięgu. A właśnie wnioski, wbrew propagandowym zapewnieniom, nie są dla reżimu w Pjongjangu satysfakcjonujące. Większość testów zakończyła się niepowodzeniem, dlatego Korea Północna potrzebowała przerwy na poprawę konstrukcji rakietowych. Jeśli Koreańczycy chcą mieć większą pewność, że ulepszone pociski okażą się skuteczną bronią, tak czy inaczej będą musieli je przetestować. Podobnie zresztą jest z ładunkami nuklearnymi.

Doświadczenia innych państw wskazują, że aby zyskać większą pewność co do skuteczności, a także niezawodności rakiet i głowic bojowych, potrzeba od kilkunastu do ponad 20 próbnych wystrzeleń. Dobrym przykładem są trwające wiele lat testy rosyjskich pocisków międzykontynentalnych Buława czy amerykańskich interceptorów. A przecież Rosja i Stany Zjednoczone mają nieporównywalnie większe doświadczenie w dziedzinie technologii rakietowych niż Korea Północna.

POLISA NA ŻYCIE

Być może demonstracyjna odbudowa ośrodka w Sohae nie oznacza, że już wkrótce zostaną tam przeprowadzone testy. Skoro prace rozpoczęto jeszcze przed szczytem w Hanoi, mogła to być próba wywarcia nacisku na prezydenta Donalda Trumpa i wzmocnienia pozycji negocjacyjnej Kim Dzong Una. Rządzący w Pjongjangu doskonale bowiem wiedzieli, że Amerykanie cały czas monitorują instalacje wojskowe tego typu na ich terytorium. Niemniej jednak należy uwzględnić fakt, że na zdjęciach satelitarnych z 22 lutego na terenie zakładu w Sanumdongu, gdzie są produkowane pociski pośredniego zasięgu i rakiety kosmiczne, analitycy zauważyli wagony kolejowe, samochody ciężarowe i pojazdy transportowe oraz dźwigi. Nie wiadomo, co się w nich znajdowało i dokąd pojechały. Być może punktem docelowym było Sohae, ale tory w ośrodku są osłonięte, by uniemożliwić obserwację satelitarną, a część tamtejszych instalacji jest pod ziemią.

Z interpretacją tego, co zaobserwowano w Sohae i Sanumdongu, jest ten sam problem, co z wieloma wcześniejszymi posunięciami władz Korei Północnej. Hermetyczność tamtejszego reżimu sprawia, że nawet służby wywiadowcze, od dziesięcioleci śledzące wydarzenia w tym kraju, miewają problemy z odgadnięciem jego prawdziwych intencji. Pozostaje zatem czekać na rozwój wypadków. Przy czym należy też uwzględnić to, że dla reżimu Kim Dzong Una broń nuklearna i środki jej przenoszenia są swoistą polisą na życie. Przez to denuklearyzacja Korei Północnej staje się mało realna. ■

Fabryka dżihadystów

Mimo wyparcia Państwa Islamskiego z ostatniego kontrolowanego przez tę organizację terytorium w Syrii, dżihadyści w tym kraju nie zostali pokonani. A chodzi nie tylko o ukryte komórki, lecz także rozwijający się w prowincji Idlib emirat Al-Kaidy.

WITOLD REPETOWICZ

Dokument „O ojcach i synach", nakręcony przez syryjskiego reżysera Talala Derkiego, który spędził ponad dwa lata w rządzonej przez Al-Kaidę syryjskiej prowincji Idlib, pokazuje na przykładzie losów jednej z mieszkających tam rodzin ponurą prawdę o tym, co się dzieje na tym skrawku Syrii. Główny bohater to Abu Osama, członek związanej z Al-Kaidą Dżabhat an-Nusra, przemianowanej na Hajat Tahrir asz-Szam (HTS). Został on aresztowany na początku rewolucji syryjskiej, ale udało mu się wydostać z więzienia. Z jego opowieści wynika, że zawsze był islamistą oraz zwolennikiem Al-Kaidy. Swego najstarszego syna nazwał na cześć jej twórcy i dziękował Allahowi, że chłopiec urodził się w rocznicę zamachu na World Trade Center. Innym dzieciom dał zresztą imiona na cześć terrorystów, którzy 11 września przeprowadzili atak. Abu Osama nie jest jednak potworem czy psychopatą, lecz człowiekiem szczerze kochającym swoich najbliższych. Choć wojna sprawiła, że jego system wartości uległ dramatycznym przeobrażeniom.

POGOŃ ZA UTOPIĄ

Abu Osama w jednej z rozmów opowiada o wierze w sprawiedliwy świat, co ma nastąpić po wprowadzeniu rządów szariatu. Jest to oczywiście reakcja na autorytarne i skorumpowane rządy w świecie arabskim. Sam islam u swego zarania miał również aspekt rewolucji społecznej, skierowanej przeciwko dominacji arystokracji kurajszyckiej. To właśnie do tej koranicznej tradycji sprzeciwu wobec niesprawiedliwości władzy nawiązują tacy zwolennicy Al-Kaidy jak Abu Osama. To jest jednak utopia, a jak pokazuje historia, próby wprowadzania utopii w życie kończyły się ludobójstwem. Abu Osama, jak przystało na członka Al-Kaidy, nie ukrywa zresztą, że ten sprawiedliwy świat trzeba budować przemocą, mordując wszystkich wrogów Allaha.

ABU OSAMA, jak przystało na członka Al-Kaidy, nie ukrywa, że sprawiedliwy świat trzeba budować przemocą, mordując wszystkich wrogów Allaha.

Bez względu na to, w co by wierzył Abu Osama, w czasie wojny schodzi to na dalszy plan. Aby móc wprowadzać w życie te ideały, trzeba najpierw zwyciężyć. Dlatego jego rozmowy z sąsiadami i kompanami z Al-Kaidy koncentrują się na bombach, minach, egzekucjach czy odcinaniu głów. I w takiej atmosferze wychowywane są dzieci Abu Osamy. Przemoc staje się wartością samą w sobie.

Przykład rodziny Abu Osamy nie jest odosobniony. To obraz rzeczywistości w rządzonej przez Al-Kaidę prowincji Idlib. W zachodnich środkach masowego przekazu oraz wypowiedziach polityków ta rzeczywistość wciąż zaklinana jest opowiadaniem o „umiarkowanej opozycji" i „umiarkowanych rebeliantach". Tymczasem rezydujący w Turcji tzw. opozycyjny rząd nie ma żadnego wpływu na to, co się dzieje w Idlibie, a miejscowi dżihadyści, tacy jak Abu Osama, uważają jego przedstawicieli za zdrajców i tchórzy. W tej prowincji nie ma miejsca dla „umiarkowanej opozycji", od razu groziłaby jej śmierć. Tymczasem dzieci takie jak Osama, pierworodny bohatera dokumentu Talala Derkiego, są poddawane brutalnym szkoleniom wojskowym, tak by stały się maszynkami do zabijania.

ZAPOMNIANA PROWINCJA

Od dłuższego czasu uwaga międzynarodowej opinii publicznej koncentruje się na walce z tzw. Państwem Islamskim. Tymczasem Al-Kaida została trochę zapomniana i powstanie emiratu tej organizacji w Idlibie umknęło uwadze mediów. Sprzyjało temu wspominanie o tej prowincji tylko w kontekście zagrożenia katastrofą humanitarną, jeśli uderzą na nią Baszszar al-Asad czy Rosjanie. Ale atak ten jest de facto nieuchronny, a im później na-

English version: polska-zbrojna.pl

Dżihadyści z Narodowego Frontu Wyzwolenia w czasie ofensywy na Idlib zostali zmuszeni do opuszczenia tego rejonu.

stąpi, tym paradoksalnie gorzej dla Europy. Nie ma bowiem wątpliwości, że emirat Al-Kaidy w Syrii byłby nie tylko stałym zagrożeniem dla tego kraju oraz regionu Bliskiego Wschodu, lecz także źródłem zamachów terrorystycznych w Europie. To, czy Zachód będzie wspierał tamtejszych dżihadystów, nie ma wpływu na ich stosunek do „niewiernych". Pokazali to zresztą wyraźnie w Libii, gdzie zaledwie rok po tym, jak w wyniku interwencji zbrojnej z udziałem USA doszli do władzy, zaatakowali amerykański konsulat w Benghazi i zamordowali ambasadora tego kraju.

Już w lipcu 2017 roku HTS przejęła kontrolę nad stolicą prowincji Idlib, czyli miastem o tej samej nazwie, i zdobyła w tym regionie absolutną dominację. Jej rywalami nie były zresztą żadne oddziały prodemokratyczne, lecz konkurencyjni, protureccy dżihadyści z takich organizacji jak Ahrar asz-Szam czy Nur ad-Din al-Zenki. W tym czasie, w rezultacie turecko-rosyjsko-irańskich rozmów rozpoczętych w styczniu 2017 roku w Astanie, stolicy Kazachstanu, doszło do stworzenia tzw. stref deeskalacji. De facto otworzyły one drogę syryjskiej armii wspieranej przez Rosjan do przejęcia w 2018 roku pełnej władzy nad wszystkimi terenami kontrolowanymi przez rebeliantów i dżihadystów z wyjątkiem Idlibu oraz Autonomicznej Administracji Północno-Wschodniej Syrii, czyli terytorium kontrolowanego przez Syryjskie Siły Demokratyczne (Syrian Democratic Forces – SDF). I od tego czasu tylko one pozostają poza kontrolą rządu w Damaszku. Nie licząc terenów Państwa Islamskiego, które zostały w międzyczasie włączone do autonomicznej administracji północno-wschodniej Syrii.

HTS tymczasem rozszerzał swój stan posiadania w Idlibie, chociaż w październiku 2017 roku do tej prowincji wkroczyły wojska tureckie. Formalnie ich celem było wsparcie procesu deeskalacji, faktycznie jednak chodziło o niedopuszczenie do syryjskiej ofensywy. Tureckie wojsko ustawiło więc na linii frontu swoje punkty obserwacyjne. We wrześniu 2018 roku w ramach tzw. formatu astańskiego (Iran-Turcja-Rosja) uzgodniono w Soczi stworzenie w Idlibie strefy zdemilitaryzowanej, która miała być kontrolowana przez wspólne patrole rosyjsko-tureckie. Rzeczywiście pojawiły się one w marcu 2019 roku, po kolejnym szczycie w Soczi, na którym jednak Rosja wyraziła głębokie niezadowolenie z powodu braku implementacji wcześniejszych porozumień przez Turcję.

JAN EGELAND, przedstawiciel ONZ do spraw humanitarnych w Syrii, przestrzegał przed pełną militarną inwazją w tym kraju.

AAREF WATAD/AFP/EAST NEWS

NIE MA WĄTPLIWOŚCI, ŻE EMIRAT AL-KAIDY W SYRII BYŁBY NIE TYLKO STAŁYM ZAGROŻENIEM DLA TEGO KRAJU ORAZ REGIONU BLISKIEGO WSCHODU, LECZ TAKŻE ŹRÓDŁEM ZAMACHÓW TERRORYSTYCZNYCH W EUROPIE

Częścią porozumienia miało być bowiem wycofanie się HTS ze strefy zdemilitaryzowanej.

Tymczasem ta organizacja w styczniu 2019 roku znów przystąpiła do ofensywy przeciwko konkurencyjnym dżihadystom. Walki te nie wzbudziły większego zainteresowania świata. Uwaga była skoncentrowana na starciach SDF z tzw. Państwem Islamskim w ostatnim bastionie kalifatu, czyli enklawie Hadżin, a następnie Al-Baghouz Faukani, we wschodniosyryjskiej prowincji Dajr az-Zaur.

Innym głośnym problemem stało się zapowiedziane wycofanie się USA z północno-wschodniej Syrii i groźba inwazji tureckiej na ten rejon, wreszcie irańskie plany przeprowadzenia lądowego połączenia z Iranu przez Irak i Syrię do Libanu i Morza Śródziemnego. Jeżeli chodzi o Idlib, to przeważnie z ulgą przyjmowano, że nie doszło do tego, przed czym w 2018 roku kilkakrotnie ostrzegał Jan Egeland, przedstawiciel ONZ do spraw humanitarnych w Syrii, czyli do pełnej militarnej inwazji.

I chociaż faktycznie inwazji nie było, to walki się toczyły. Rosjanie i armia rządowa przeprowadzali naloty, często intensywne, a obie strony ostrzeliwały się z artylerii. Przede wszystkim jednak HTS w błyskawicznej kampanii zmusiła Nur ad-Din al-Zenki, Ahrar asz-Szam i tzw. Narodowy Front Wyzwolenia (koalicję ugrupowań dżihadystycznych stworzoną pod auspicjami Turcji) do kapitulacji i wycofania się z Idlibu, przejmując pełną kontrolę nad 80% tego terytorium, składającego się z wspomnianej prowincji i przylegających części prowincji Aleppo, Latakia oraz Hama.

EFEKT DOMINA

Na spotkaniu w Soczi przywódcy Rosji i Iranu dali Recepowi Erdoğanowi wyraźnie do zrozumienia, że sytuacja, w której Al-Kaida kontroluje Idlib, jest nie do zaakceptowania. I choć Putin wykluczył na razie inwazję na Idlib, to w tym kontekście wydaje się ona nieuchronna. Problem komplikuje zresztą aktywizacja Państwa Islamskiego w Idlibie po upadku jego ostatniej reduty w Baghouz. Syryjska armia od dawna jest gotowa do operacji przeciwko HTS, ale blokują ją tureckie punkty obserwacyjne oraz brak zgody ze strony Rosji. Problem tej prowincji jest też ściśle powiązany z autonomiczną administracją północno-wschodniej Syrii. Moskwa z satysfakcją przyjęła zapowiedź USA wycofania się z tego terenu i wszystko wskazywało na to, że Kurdom nie pozostanie nic innego, jak oddać się pod protekcję Kremla. Dlatego Putin w lutym 2019 roku wykluczył zgodę na wejście Turcji na te tereny. Gdy jednak się okazało, że wycofanie USA będzie niepełne i Kurdowie utrzymali sojusz z Amerykanami, to zwiększyło się prawdopodobieństwo nowego „dealu" między Turcją a Rosją. Ankara zaatakuje Kurdów w północno-wschodniej Syrii mimo utrzymania obecności USA na tych terenach, a Rosja z Al-Asadem w tym czasie rozpoczną inwazję na Idlib.

Ofensywa przeciwko Al-Kaidzie w Idlibie z całą pewnością wywoła nowy kryzys humanitarny oraz masową migrację do Europy, stymulowaną przez Turcję i Rosję. Nie ulega też wątpliwości, że dla Turcji ta operacja będzie odwróceniem uwagi od jej własnej inwazji na tereny północno-wschodniej Syrii, na których wojna skończyła się już kilka lat temu. Zachód będzie się koncentrować na potępianiu Rosji oraz wróci do retoryki opartej na fikcji „umiarkowanej opozycji" i „umiarkowanych rebeliantów". Tymczasem strumień migracyjny skierowany do Europy zostanie wykorzystany przez pokonanych dżihadystów, pragnących wydostać się z Bliskiego Wschodu. W Europie wzrośnie więc zagrożenie terrorystyczne. Paradoksalnie jednak im później zacznie się ofensywa na Idlib, tym sytuacja będzie gorsza, bo tej w prowincji jest coraz więcej takich Osamów, dzieci pokazanych w „O ojcach i synach". ■

WITOLD REPETOWICZ w latach 2014–2018 był korespondentem wojennym w Syrii i Iraku, relacjonującym walki z Państwem Islamskim na różnych frontach. Jest również autorem dwóch książek „Nazywam się Kurdystan" oraz „Allah akbar. Wojna i pokój w Iraku".

KABIR DHANJI/AFP/EAST NEWS (2)

Dobro, za którym czai się zło

Ogłoszenie końca tzw. Państwa Islamskiego w Syrii nie oznacza kresu wojny z terroryzmem. Teraz jej najważniejszy front przebiega nie na Bliskim Wschodzie, lecz w Afryce.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Na pierwszej fotografii zrobionej podczas zamachów na hotel DusitD2 kenijski żołnierz ostrożnie wychyla się zza rogu. W tym samym momencie mężczyzna w cywilnym ubraniu szturmuje jeden z ekskluzywnych sklepów. Następne ujęcie pokazuje tego samego człowieka. Tym razem biegnie on, trzymając za rękę wystraszoną kobietę. Na innych kadrach fotoreporter uwiecznił anonimowego bohatera, który ewakuuje rannego zakładnika, prowadzi przeszukania w kordonie bezpieczeństwa oraz naradza się z lokalnymi służbami.

Uwieczniony na zdjęciach operator elitarnej jednostki specjalnej SAS stał się symbolem styczniowych ataków w stolicy Kenii. Brytyjczyk uratował dziesiątki, jeśli nie setki ludzkich istnień. Dane nie napawają jednak optymizmem – w wyniku zamachów na DusitD2 zginęło 21 osób, a ponad drugie tyle odniosło poważne obrażenia. Nagrania zarejestrowane przez monitoring także nie pozostawiają złudzeń. Sprawcami tragedii byli ludzie po specjalistycznym przeszkoleniu. Braki nadrabiali ponadprzeciętną determinacją.

Odpowiedzialność za przeprowadzone ataki wzięła na siebie organizacja Asz-Szabab, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza „Młodzi". Pomimo sugestywnej nazwy, wywodząca się z Somalii bojówka od ponad dekady pracuje na miano jednego z najbardziej niebezpiecznych ugrupowań terrorystycznych na świecie. Jej historia sięga jednak bitwy w Mogadiszu, stolicy Somalii, z 1993 roku i jest ściśle powiązana z losami innej cieszącej się złą sławą organizacji – Al-Kaidy.

W ciągu ostatnich lat media skoncentrowały uwagę na działaniach tzw. Państwa Islamskiego, przede wszystkim w kontekście wydarzeń na Bliskim Wschodzie. W tym samym czasie analitycy podkreślali, że dominacja samozwańczego kalifatu nie oznacza schyłku organizacji kojarzonej z Osamą bin Ladenem.

SIMON MAINA/AFP/EAST NEWS

Wręcz przeciwnie, Al-Kaida miała przyciągać do siebie fundamentalistów o mniej skrajnych poglądach oraz rozszerzać swoje strefy wpływów poza region. Ze względu na decentralizację, jej struktury były także znacznie bardziej odporne na infiltrację lub zniszczenie. Prognozy okazały się słuszne. „Baza" nie tylko utrzymała swoje wpływy, lecz także podąża za zmianami geopolitycznymi i wraz z nimi przenosi ciężar swoich działań – z Bliskiego Wschodu do Afryki.

WALKA LUB ŚMIERĆ Z GŁODU

Latem 2018 roku zachodnie tytuły prasowe masowo informowały o terrorystach w Somalii, którzy zakazali używania plastikowych toreb. Według samych „ustawodawców" są one zagrożeniem dla ludzi oraz zwierząt, dlatego ich wykorzystywanie jest sprzeczne z prawem szariatu. Wiadomość ta mogła być powodem do żartów oraz ironicznych docinków wobec rządów krajów rozwiniętych, stanowi jednak część ogólnej strategii obranej przez Al-Kaidę. Kilka miesięcy wcześniej talibowie zachęcali do sadzenia drzew, żeby zapobiec zmianom klimatycznym.

Asz-Szabab trzyma się tego schematu działania. Bojownicy zajmowali stanowisko nie tylko w odniesieniu do zanieczyszczenia środowiska, lecz także w sprawie suszy oraz epidemii głodu. Pod pretekstem pomocy najbardziej cierpiącym realizowali jednak plany, które były nastawione przede wszystkim na rekrutację nowych członków. Tak było m.in. podczas suszy w 2011 i 2012 roku, która kosztowała życie nawet ćwierć miliona osób. W tym czasie bojownicy Asz-Szabab wykorzystywali przechwyconą pomoc humanitarną jako zachętę do wstępowania w struktury tej organizacji. W celu zwiększenia skuteczności milicja uniemożliwiała dystrybucję nawet najbardziej podstawowych dóbr przez podmioty ONZ oraz atakowała ludność cywilną, która odważyła się wyciągnąć po nie rękę. Niestety, mieszkańcy Somalii są szczególnie podatni na ten mechanizm. W kraju, w którym ponad 80% ludności prowadzi koczowniczy tryb życia, a PKB na mieszkańca wynosi 478 dolarów, przystąpienie do bojówki może oznaczać przetrwanie dla całej rodziny. Zarazem dżihadyści podejmowali działania na szerszą skalę, w tym organizowali zbiórki dla najbardziej potrzebujących oraz wspomagali budowę lokalnej infrastruktury.

Tak jak w wypadku podobnych grup funkcjonujących na Bliskim Wschodzie, można założyć, że większość spośród około 9 tys. bojowników Asz-Szabab to ludzie, dla których alternatywą była jedynie śmierć z głodu lub w wyniku zemsty niedoszłych żywicieli. Trzon organizacji stanowią jednak ci, którzy pochodzą z zagranicy, m.in. z Afganistanu, Arabii Saudyjskiej, Sudanu, Jemenu, a nawet ze Stanów Zjednoczonych oraz z Wielkiej Brytanii. To właśnie oni odpowiadają za zamachy na kompleks DusitD2, centrum handlowe Westgate czy Uniwersytet Garissa.

W wyniku działań sił rządowych (ze wsparciem międzynarodowej koalicji) z 2015 roku milicje Asz-Szabab zostały wyparte z Mogadiszu oraz innych ważnych ośrodków miejskich. Bojownicy teraz zajmują przede wszystkim tereny przy granicy z Kenią, skąd koordynują akcje przeprowadzane na terytorium Somalii oraz okolicznych krajów. Nie byłoby to jednak możliwe bez odpowiednich funduszy. Według ONZ, główne finansowanie organizacji zapewnia Erytrea, która w ten sposób realizuje swoją politykę regionalną. Zarzuty te nie znalazły jednak oficjalnego potwierdzenia. Tymczasem, pomimo utraty wpływów, Asz-Szabab nie tylko dysponuje środkami umożliwiającymi kontynuowanie walki, lecz także rekrutuje nowych członków. Znaczna ich część to dzieci.

DWIEŚCIE TRZYDZIEŚCI ZAMACHÓW

Lokalizacja organizowanych przez Amerykanów tegorocznych ćwiczeń „Flintlock" nie została wybrana przypadkowo. Cykliczny trening odbył się na terytorium Burkina Faso, gdzie

amerykańscy instruktorzy uczyli skutecznej walki z dżihadystami. W szkoleniu wzięli udział m.in. żołnierze z Mali, Mauretanii, Czadu oraz Nigru. Choć każde z tych państw zmaga się z podobnym problemem, to właśnie dla gospodarza ćwiczenia mogą okazać się kluczowe.

Sytuacja w Burkina Faso zaczęła przybierać dramatyczny obrót trzy lata temu. W styczniu 2016 roku grupa napastników zaatakowała popularny bar, restaurację oraz hotel leżący w centrum Wagadugu. W wyniku zamachu zginęło 30 osób, a 56 zostało rannych. Od tego czasu w tym kraju doszło do ponad 230 ataków terrorystycznych. Za większość z nich odpowiada Al-Kaida Islamskiego Maghrebu (AQIM), ramię Al-Kaidy działające na terenie Sahelu. Organizacja ta funkcjonuje przede wszystkim w Mali, gdzie po wsparciu powstania Tuaregów w 2012 roku ugruntowała swoją pozycję. Komórki AQIM są aktywne także w Algierii, Mauretanii, Libii, Nigrze oraz Nigerii. Postępująca destabilizacja Burkina Faso otwiera drogę do państw leżących w rejonie Zatoki Gwinejskiej, co będzie miało bezpośredni wpływ nie tylko na mieszkańców regionu, lecz także na międzynarodową gospodarkę.

W 2013 roku telewizja Al-Dżazira przeprowadziła wywiad z jednym z dowódców organizacji, który wprost przyznał, że jej siła leży w ludzkiej biedzie. Do AQIM wstępują, podobnie jak do Asz-Szabab, przede wszystkim ci, którzy nie mają nic do stracenia. Proceder ten bardzo dobrze obrazuje sposób działania całej Al-Kaidy. Jej celem nie jest ślepa walka ze Stanami Zjednoczonymi czy Izraelem, lecz dążenie do utworzenia kalifatu. W przeciwieństwie do postulatów tzw. Państwa Islamskiego proces ten ma być jednak stopniowy i przebiegać z aprobatą lokalnej ludności. A takie poparcie uzyskuje się dzięki zapewnieniu realnego wsparcia i daniu nadziei na lepszą przyszłość. W praktyce jednak, tak jak w wypadku innych odłamów Al-Kaidy, AQIM utrzymuje się m.in. z działalności przestępczej, w tym porwań dla okupu. Od 2003 roku organizacja ta uprowadziła co najmniej 60 obywateli państw Zachodu. Tylko według oficjalnych źródeł dżihadyści zarobili na tym procederze już blisko 150 mln dolarów. Statystyki nie obejmują działalności wymierzonej w lokalnych działaczy i biznesmenów.

Al-Kaida Islamskiego Maghrebu to niejedyna organizacja uznawana za terrorystyczną, która stanowi zagrożenie w Afryce Zachodniej. Krwawe piętno na regionie odciskają także takie bojówki, jak Nusrat al-Islam, Ansar ul-Islam czy Front Obrony Muzułmanów w Czarnej Afryce. W reakcji na ich działalność grupa G5 Sahel (Mali, Mauretania, Czad, Niger oraz Burkina Faso) utworzyła liczące 5 tys. żołnierzy siły antyterrorystyczne, których jedynym zadaniem jest walka z dżihadystami. W regionie stacjonuje także ponad 4500 francuskich oraz przynajmniej 7200 amerykańskich wojskowych. Dotychczas nie udało się jednak opanować postępującego chaosu. Zarazem tylko w tym roku administracja Donalda Trumpa ograniczyła liczbę amerykańskich żołnierzy w Afryce o 10%. Wszystko wskazuje na to, że do lata 2020 roku wynik ten zostanie podwojony.

JEDEN Z DOWÓDCÓW AL-KAIDY ISLAMSKIEGO MAGHREBU W WYWIADZIE DLA AL-DŻAZIRY PRZYZNAŁ, ŻE SIŁĄ ORGANIZACJI JEST LUDZKA BIEDA. DO AQIM WSTĘPUJĄ PRZEDE WSZYSTKIM CI, KTÓRZY NIE MAJĄ NIC DO STRACENIA

WIĘCEJ NIŻ DRONY I POCISKI

Nagrania z zasadzki na amerykańską 3 Grupę Sił Specjalnych pokazują bezradność elitarnych żołnierzy w obliczu lokalnych bojowników. W nigeryjskim Tongo śmierć poniosło czterech amerykańskich oraz czterech nigeryjskich operatorów. Kilka miesięcy później do ataku przyznał się miejscowy odłam tzw. Państwa Islamskiego (znany także jako Boko Haram). Podobnie jak w Iraku oraz Syrii, afrykańskie skrzydło samozwańczego kalifatu opiera swoją ekspansję na brutalnej sile. Zuchwałe, często samobójcze ataki oraz krwawe egzekucje mają wzbudzać przerażenie wśród klanów oraz ewentualnych oponentów. W 2016 roku w rejonie jeziora Czad powstała jednak organizacja, która pomimo powiązań z tzw. Państwem Islamskim zaczęła świadomie stosować sposoby bliższe Al-Kaidzie.

Zachodnioafrykańska Prowincja Państwa Islamskiego (ISWAP) to odłam Boko Haram, który postawił na kooperację z cywilami. Ci bojownicy nie tylko nie terroryzują lokalnej ludności, ale też chronią ją przed przestępcami i konkurencją. Ich działania wychodzą jednak daleko poza walkę z bronią w ręku. Organizacja zapewnia kształcenie dzieciom oraz pożyczki rozwojowe dla młodych dorosłych, wspiera także finansowo przedsiębiorców. W zamian za pomoc często oczekuje nie zwrotu długu, lecz lojalności i możliwości korzystania z oferowanych usług. Tym sposobem bez uciekania się do przemocy zyskuje poparcie lokalnych klanów i trwale wrasta w ich codzienność. W obliczu takiego przeciwnika nigeryjska armia pozostaje bezradna.

Zwycięstwo nad Al-Kaidą wymaga stosowania bliźniaczych metod. Niezależnie od siły, którą dysponują, koalicje zachodnich państw i afrykańskich rządów nie wygrają wojny z terroryzmem bez poprawy warunków życia lokalnych społeczności. Ich oferta musi obejmować coś więcej niż drony czy inteligentne pociski. Nie wystarczą jednak miliardy dolarów pompowanych w pomoc humanitarną czy rozwój infrastruktury. Potrzebne jest jeszcze głębokie zrozumienie miejscowej kultury oraz szacunek dla jej odmienności. ■

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Targi Kielce
exhibition & congress centre

ufi
Member

MSPO

XXVII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

WYSTAWA NARODOWA USA

3-6.09.2019, Kielce

Partner strategiczny

PGZ

www.mspo.pl

ALEXYZ3D/SHUTTERSTOCK

ORĘŻ UBOGICH

Niemałą popularność zdobyło ostatnio pojęcie „broń demograficzna”. Choć używane głównie w publicystyce, stało się też przedmiotem refleksji specjalistów zajmujących się bezpieczeństwem.

ROBERT SENDEK

Kryzys emigracyjny, który w ostatnich latach dotknął Europę, w wielu społeczeństwach wywołał prawdziwy wstrząs. Pojawiły się w związku z tym niezliczone komentarze i analizy, próbujące ustalić mechanizmy powstania wielkiej fali uchodźców. Niemałą popularność zdobyły wówczas sformułowania „broń demograficzna”, „broń D” oraz „wojna demograficzna”, pojawiające się szczególnie często w tekstach publicystycznych. Określenia te były znane i sporadycznie używane już wcześniej, ale gwałtownie rozpowszechniły się w roku 2015, gdy nastąpił szczyt kryzysu migracyjnego.

KŁOPOTY Z KLASYFIKACJĄ

„Erdoğan stosuje broń demograficzną”, „kryzys związany z falami uchodźców jest wykorzystywany jako broń demograficzna”, „broń demograficzna była rozpoznana w polityce Palestyńczyków w Izraelu”, „broń demograficzna jest obecnie największym atutem Chińczyków”. To przykładowe cytaty z tekstów publicystycznych, w który użyto tego stosunkowo nowego pojęcia. Bronią D zainteresowali się również naukowcy. Powstały pierwsze opracowania, które podejmują tę problematykę w kontekście sztuki wojennej czy obronności. Dyskusja na ten temat dopiero się rozpoczęła, dlatego istnieje duży problem z precyzyjnym ujęciem całego zjawiska.

Gen. dyw. Krzysztof Załęski, zajmujący się obronnością naukowo, przestrzega przed stosowaniem tego terminu. W artykule „Współczesne migracje ekonomiczne czy broń demograficzna celowo użyta przeciwko Europie?” zaznacza: „broń demograficzna jako kategoria pojęciowa używana w znaczeniu nazwy środka walki nie istnieje. Pojęcie to, nawet w potocznym znaczeniu, stanowi swego rodzaju językowe uproszczenie i nie powinno być stosowane”. Na przykładzie kryzysu uchodźczego z ostatnich lat uzupełnia on, że choć współczesne migracje mogą zagrażać bezpieczeństwu, to nie spełniają kryteriów pozwalających uznać je za rodzaj broni. Uważa także, że masowa migracja do Europy nie ma charakteru zorganizowanej operacji wojskowej, jest raczej zjawiskiem motywowanym głównie względami ekonomicznymi. I dlatego „nie można uznać, że napływająca do Europy fala imigrantów generuje nowy sposób prowadzenia wojny: przy wykorzystaniu masowego przepływu ludności”.

Załęski podkreśla jednak, że wielu współczesnych badaczy postrzega migracje jako element wojny hybrydowej, a zatem jako środek walki. Przemiany demograficzne w Europie mogą być bowiem wykorzystywane przez ruchy radykalne, np. islamistów. Swoistą bronią, argumentem m.in. w walce politycznej, może stać się demografia. Uważa przy tym, że wysoki przyrost naturalny widoczny wśród wyznawców islamu w Europie nie jest mimo wszystko elementem jakiegoś szerszego planu, który miałby w konsekwencji doprowadzić np. do islamizacji Europy.

ZAGROŻENIE ASYMETRYCZNE

Witold Repetowicz, specjalista zajmujący się sprawami terroryzmu i geopolityki, w opracowaniu „Broń D jako zagrożenie asymetryczne” zwraca z kolei uwagę na jeszcze inny aspekt. Jego zdaniem, uznanie ludzi za narzędzie walki stoi w sprzeczności z całym systemem wartości zachodniej cywilizacji, dlatego analiza tego problemu budzi pewien opór psychologiczny. Instrumentalne traktowanie ludności jest również wbrew międzynarodowym konwencjom humanitarnym. Repetowicz zauważa jednak: „częściowe potwierdzenie faktu stosowania broni demograficznej znajdujemy w międzynarodowym prawie karnym i humanitarnym, które definiują niektóre takie sposoby jako zbrodnie

SZTUCZNIE PROWOKOWANE STRUMIENIE UCHODŹCÓW SĄ ZDUMIEWAJĄCO SKUTECZNYM SPOSOBEM PROWADZENIA WALKI, PEWNIEJSZYM NIŻ JAKIKOLWIEK TRADYCYJNY ORĘŻ

wojenne. Chodzi tu w szczególności o »żywe tarcze« oraz »czystki etniczne«". Przy czym i jedno, i drugie stosuje się na współczesnym, asymetrycznym polu walki.

Repetowicz wskazuje również inne zjawiska: strumień demograficzny, czynnik maskujący oraz bombę demograficzną. Strumieniem demograficznym jest, jego zdaniem, „duża zorganizowana grupa cywilów, która nielegalnie próbuje przedostać się na teren innego państwa". Aby jednak ten sposób działania mógł być uznany za broń, musi być elementem operacji innego państwa. Jeśli chodzi o „czynnik maskujący", to strumień demograficzny może służyć do ukrycia swobodnego przemieszczania się np. terrorystów, którzy później będą mogli podjąć działania zaczepne w ramach operacji asymetrycznej. Z kolei „bomba demograficzna" według Repetowicza jest celowym działaniem, które skutkuje przejęciem kontroli nad terytorium przeciwnika lub destrukcją tożsamości kulturowej, bez użycia przemocy, np. drogą stymulacji przyrostu naturalnego. Zwraca on jednak uwagę na to, że nie jest to proces ani łatwy, ani krótkotrwały, a ludność, którą ktoś wykorzystuje w ten sposób, nie musi być tego świadoma.

Interesujące rozważania na temat broni demograficznej zaproponowała amerykańska socjolog Kelly M. Greenhill w książce „Weapons of Mass Migration" z 2011 roku. Kluczowym pojęciem dla niej jest „zaplanowana migracja przymusowa" (takie określenie pojawia się w polskojęzycznych publikacjach jako przekład stworzonego przez Greenhill terminu „coercive engineered migration", choć właściwsze byłoby tłumaczenie „planowa migracja wymuszająca"). Badaczka definiuje ją jako „transgraniczny ruch ludności, rozmyślnie wywoływany lub sterowany po to, by skłonić państwo docelowe lub grupę państw docelowych do ustępstw politycznych, wojskowych i/lub gospodarczych".

Przedmiotem analizy Greenhill nie są przy tym naturalne i powstające samorzutnie fale migracyjne z miejsc ogarniętych konfliktem, lecz rozmyślne wywoływanie strumieni uchodźców i sterowanie nimi. Po tak rozumianą broń demograficzną sięgają zwykle rządy krajów o niskiej sile przebicia na arenie międzynarodowej (stąd tytuł jednej z recenzji pracy Greenhill: „Uchodźcy jako broń słabych").

BROŃ MASOWEJ MIGRACJI

Zdaniem Greenhill planowane migracje wymuszające są szczególnie skuteczne wobec państw demokratycznych. Dla polityków w takich krajach uchodźcy są jak gorący kartofel, z którym nie bardzo wiadomo, co zrobić, gdyż mogą być bardzo kosztowni politycznie i finansowo. W charakterze przykładów takiego osobliwego mechanizmu wymuszania Greenhill dość szczegółowo rozpatruje cztery szczególne przypadki: Kubę, Kosowo, Haiti i Koreę Północną. Dodatkowo, analizując nowsze dzieje świata od 1951 roku, tj. od chwili podpisania konwencji dotyczącej statusu uchodźców, aż do roku 2006, czyli momentu zamykającego badany okres, Greenhill stworzyła listę około 56 konkretnych przypadków użycia migracji w charakterze narzędzia osiągania celu oraz ośmiu prawdopodobnych.

Jeśli przyjąć jej argumenty, sztucznie prowokowane strumienie uchodźców – lub jedynie groźba ich wywołania – są zdumiewająco skutecznym sposobem prowadzenia walki, pewniejszym niż jakikolwiek tradycyjny oręż. ■

UN

SUDAN

PREZYDENT SUDANU OMAR BASZIR ODSUNIĘTY OD WŁADZY

Rządzący Sudanem od 1989 roku prezydent Omar Baszir został obalony w wyniku zamachu stanu. Dokonała go grupa oficerów pod przewodnictwem gen. Ahmeda Awada Ibn Aufa po wielu tygodniach protestów społecznych, trwających od połowy grudnia 2018 roku. Domagano się poprawienia sytuacji gospodarczej, rozpisania wolnych wyborów i przywrócenia w kraju cywilnych rządów.

Omar Baszir jest oskarżany o ludobójstwo, zbrodnie przeciwko ludzkości oraz wojenne, popełniane przez sudańskie wojska podczas konfliktu w zachodniosudańskiej prowincji Darfur. Tymczasowa Rada Wojskowa, która objęła władzę po usunięciu dotychczasowego prezydenta, zdecydowała o aresztowaniu Baszira oraz wielu urzędujących ministrów, rozwiązała ponadto parlament. Jednocześnie ogłoszono zawieszenie konstytucji i wprowadzenie trzymiesięcznego stanu wyjątkowego. Tymczasowa Rada Wojskowa ogłosiła, że po dwuletnim okresie przejściowym będą przeprowadzone wolne wybory. (Se) ■

EGIPT

Parlament Egiptu przegłosował 16 kwietnia poprawki do konstytucji, wydłużające m.in. kadencję prezydenta z czterech do sześciu lat. Oznacza to, że urzędujący prezydent Abd al-Fattah Sisi zakończy swoją kadencję w 2024 roku, wybrany zaś na kolejną, będzie mógł rządzić Egiptem do 2030 roku.

ROSJA

Rosyjski koncern Ałmaz-Antiej ogłosił rozpoczęcie produkcji systemów obrony powietrznej S-350 Witiaź. Pierwszy egzemplarz ma być dostarczony do odbiorcy jeszcze w tym roku.

JAPONIA

KATASTROFA SAMOLOTU F-35

Japoński minister obrony Takeshi Iway potwierdził, że zaginiony samolot Japońskich Powietrznych Sił Samoobrony rozbił się podczas ćwiczeń nad Pacyfikiem. Maszyna wykonująca lot szkoleniowy nad wodami Oceanu Spokojnego, zniknęła z radarów 9 kwietnia w godzinach wieczornych. Następnego dnia odnaleziono jej szczątki

Rozbity samolot trafił do służby w maju 2018 roku. To druga katastrofa F-35. Do pierwszej doszło we wrześniu 2018 roku na terenie Stanów Zjednoczonych. Chodziło wówczas o egzemplarz w wersji F-35B. Japonia zamierza kupić w najbliższych latach 147 egzemplarzy F-35 w wersjach A i B. (Ro) ■

LITWA

Plan współpracy z USA

US DOD

Spośród trzech państw bałtyckich Litwa jako pierwsza zawarła ze Stanami Zjednoczonymi umowę dotyczącą strategicznej współpracy obronnej. Dokument podpisał 3 kwietnia Robertas Šapronas, dyrektor ds. polityki obronnej w litewskim ministerstwie obrony, podczas swego pobytu w Waszyngtonie. Stronę amerykańską reprezentowała Kathryn Wheelbarger, zastępca sekretarza obrony USA ds. bezpieczeństwa międzynarodowego. Umowa wskazuje elementy, na których obydwa państwa mają koncentrować swą współpracę w latach 2019–2024, m.in. zintensyfikowanie współdziałania w ramach ćwiczeń i szkoleń; działania związane z odstraszaniem w rejonie Morza Bałtyckiego; współpracę dotyczącą wczesnego ostrzegania o zdarzeniach na morzu; wymianę informacji wywiadowczych; współpracę w operacjach międzynarodowych; cyberbezpieczeństwo.

Podpisanie porozumienia w dziedzinie obronności wynika z ustaleń poczynionych w 2018 roku podczas spotkań konsultacyjnych między USA a trzema państwami bałtyckimi: Litwą, Łotwą i Estonią. Przewiduje się, że w najbliższym czasie podobne porozumienie z Pentagonem podpiszą również Łotwa i Estonia. (RS) ■

RUMUNIA

Tarcza morska

Duże ćwiczenia morskie sił natowskich odbyły się w pierwszych dniach kwietnia na Morzu Czarnym.

Gospodarzem „Tarczy morskiej ’19” („Sea Shield 2019”) była Rumunia. W manewrach uczestniczyło 14 okrętów rumuńskiej marynarki oraz okręty państw sojuszniczych (Bułgarii, Grecji, Holandii, Kanady i Turcji), należące do Stałego Zespołu Okrętów NATO (SNMG-2). Manewry odbywały się na wodach terytorialnych Rumunii oraz międzynarodowych.

Jak informowało biuro prasowe, „fikcyjny scenariusz ćwiczeń zakładał zaplanowanie oraz przeprowadzenie operacji reagowania kryzysowego (CRO) na podstawie mandatu Rady Bezpieczeństwa ONZ, w kontekście zagrożeń symetrycznych i asymetrycznych”. Po manewrach dowódca SNMG-2, holenderski kmdr Boudewijn Boots, podkreślił: „Dla Stałego Zespołu Okrętów NATO ćwiczenia »Tarcza morska« są doskonałą okazją do pracy z sojusznikami NATO w rejonie Morza Czarnego dla zapewnienia interoperacyjności i gotowości bojowej”.

W odpowiedzi Rosjanie podnieśli poziom gotowości Floty Czarnomorskiej, dowództwo zaś rosyjskiego Południowego Okręgu Wojskowego przeprowadziło na Krymie własne ćwiczenia, polegające m.in. na eskortowaniu bombowców strategicznych nad Morzem Czarnym i przechwytywaniu celów powietrznych. (RS) ■

SYRIA

BOJOWNICY IS POD SĄD

Po rozgromieniu resztek tzw. Państwa Islamskiego w Syrii nadszedł czas rozliczeń. Rząd Iraku zamierza postawić przed sądem około 900 osób, które podczas wojny w Syrii walczyły po stronie IS. Irakijczycy stanowili znaczną część kadry dowódczej Państwa Islamskiego, z Iraku wywodził się np. samozwańczy kalif IS Abu Bakr al-Baghdadi. Większość podsądnych to osoby, które zostały w ostatnim czasie przekazane do Iraku przez Syryjskie Siły Demokratyczne. Zgodnie z irackim prawodawstwem grozi im kara śmierci.

„Specjalny sąd zajmujący się przypadkami terroryzmu otrzymał dokumenty około 900 walczących w Syrii irackich zwolenników IS. Należy obecnie ustalić terminy poszczególnych procesów”, wyjaśniał mediom anonimowy przedstawiciel irackiego sądu. (R) ■

JEMEN

Jak zakończyć wojnę

Niezależna Międzynarodowa Grupa Kryzysowa (MGK) opublikowała w połowie kwietnia raport, w którym rekomenduje administracji amerykańskiej podjęcie wysiłków na rzecz zakończenia wojny w Jemenie.

Według autorów raportu, Stany Zjednoczone w trosce o swoje własne interesy w regionie Bliskiego Wschodu powinny podjąć zdecydowane kroki. Trwająca od czterech lat pomoc wojskowa na potrzeby kierowanej przez Saudów operacji wojskowej w Jemenie nie przyniosła USA wielkich korzyści, doprowadziła natomiast do rozpętania brutalnej wojny. Administracja Donalda Trumpa powinna w związku z tym zawiesić pomoc wojskową i dostawy broni dla Arabii Saudyjskiej do czasu, aż Saudyjczycy zakończą swoją interwencję w Jemenie przeciwko szyickim milicjom Hutich. Amerykanie powinni poza tym powołać specjalnego wysłannika, który wspomógłby wysiłki przedstawiciela ONZ Martina Griffithsa na rzecz rozwiązania konfliktu w Jemenie.

Międzynarodowa Grupa Kryzysowa jest niezależną, niekomercyjną organizacją pozarządową, która podejmuje działania zmierzające do zapobiegania konfliktom, a także łagodzenia i rozwiązywania tych trwających. Na podstawie własnych badań MGK publikuje raporty i analizy kierowane do rządów państw, zawierające praktyczne rekomendacje dotyczące sposobów rozwiązywania konfliktów. (S) ■

ZOSTAŃ

ŻOŁNIERZEM

RZECZYPOSPOLITEJ

mon.gov.pl/zostan-zolnierzem

UNIKATOWE DOŚWIADCZENIE

PRACA W MIĘDZYNARODOWYM ŚRODOWISKU

SŁUŻBA DLA POLSKI

MISJE ZAGRANICZNE

SPOTKANIE LUDZI Z PASJĄ

PRESTIŻ MUNDURU

ROZWÓJ OSOBISTY I ZAWODOWY

SZKOLENIA W KRAJU I ZA GRANICĄ

ATRAKCYJNE ZAROBKI
DODATKI
NAGRODY
EMERYTURA

#ZostańŻołnierzem

SŁUŻYMY NIEPODLEGŁEJ

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Gotowi na zmiany

Wszystko wskazuje na to, że Beniamin Netanjahu po raz piąty stanie na czele Knesetu. Pomimo przedwyborczej burzy, która przetoczyła się przez Izrael, lider prawicowej partii Likud udowodnił, że wciąż ma poparcie Izraelczyków. Tyle że tym razem zwyciężył o włos. Jego największy oponent Beniamin Ganc oraz stojąca za nim centrowa koalicja Niebiesko-Biali osiągnęli wynik gorszy o zaledwie kilkadziesiąt setnych procenta. Można stwierdzić, że w ostatecznym rachunku zwycięstwo pozostaje zwycięstwem, ale sytuacja na izraelskiej scenie politycznej jest znacznie bardziej skomplikowana. Beniamin Netanjahu musi stworzyć koalicję, na co ma 28 dni. Jeszcze nigdy w historii Izraela żadne ugrupowanie polityczne nie wygrało samodzielnie wyborów, dlatego nie jest to nadzwyczajna sytuacja. Nic nie wskazuje też na to, by pozostałe partie prawicowe wycofały swoje poparcie. W ten sposób Netanjahu powinien zdobyć 65 mandatów i zyskać większość w 120-osobowym parlamencie. Objęcie urzędu premiera wymaga jeszcze zgody prezydenta, ale w tym wypadku to formalność.

Utworzenie rządu nie jest jednak głównym problemem Netanjahu. Za kwietniowymi, przyśpieszonymi wyborami stoją dwa poważne kryzysy polityczne. Główny z nich dotyczył projektu ustawy gwarantującej ortodoksyjnym Żydom całkowite zwolnienie ze służby wojskowej. Ostatecznie spór doprowadził do rozłamu wewnątrz koalicji i rozwiązania parlamentu. Beniamin Netanjahu wyszedł z tej próby obronną ręką. Teraz musi stawić czoła oskarżeniom o korupcję oraz naruszenie zaufania publicznego. Zarzutom zaprzecza, ale niebawem sprawą zajmą się prokuratorzy. Zgodnie z izraelskim prawem nie oznacza to automatycznej rezygnacji z urzędu, jednak opozycja już teraz zapowiada, że „zgotuje Likudowi piekło".

Jednocześnie pogłębia się kryzys w relacjach Izraela z Palestyńczykami. Podczas kampanii wyborczej Netanjahu zasugerował, że jego nowy rząd zaanektuje żydowskie osiedla na Zachodnim Brzegu. Ciężko stwierdzić, jak bardzo realistyczne są te zapowiedzi, ale samo ich przywołanie zaogniło spór. Trwający od dekad konflikt bezpośrednio przekłada się na poziom życia obu zwaśnionych stron, dlatego coraz więcej Izraelczyków opowiada się za rozwiązaniem dwustanowym. Zakłada ono utworzenie niepodległej Palestyny po zachodniej stronie Jordanu. Ideę tę wspierali także lewicowi kandydaci do parlamentu, ale ostatecznie zyskali oni raptem 14 mandatów. Palestyńczycy zauważają, że sytuacja wyglądałaby inaczej gdyby nie to, że tylko nieliczni spośród nich mają prawa wyborcze.

Konflikt ten może przełożyć się na relacje Izraela ze Stanami Zjednoczonymi. Ostatnie miesiące pokazywały, że są one wyjątkowo bliskie. Prezydent Donald Trump uznał Jerozolimę za stolicę Izraela, wycofał porozumienie nuklearne z Iranem i poparł aneksję Wzgórz Golan. W ciągu kilku tygodni administracja Trumpa ma jednak zaprezentować plan pokojowy dla Palestyny, który może być sprzeczny z wizją lidera Likudu i podważyć jego pozycję.

Netanjahu nie można odmówić udanych rządów oraz umiejętności budowania sojuszy z, wydawałoby się, wykluczającymi się stronami. Wystarczy wspomnieć, że tylko podczas kampanii wyborczej premier Izraela uzyskał poparcie Donalda Trumpa, Władimira Putina oraz Jaira Bolsonaro. Ostra polityka wobec Palestyńczyków nie przeszkadza mu także w antyirańskim sojuszu z Arabią Saudyjską. Mimo wszystko niejednoznaczny wynik wyborów pokazuje, że Izraelczycy są gotowi na zmiany. Jeżeli koalicja Niebiesko-Białych sprawnie wykorzysta tę tendencję, mogą one nastąpić niebawem. ■

MICHAŁ ZIELIŃSKI jest dziennikarzem i korespondentem zajmującym się problematyką społeczną Bliskiego Wschodu oraz państw postsowieckich.

I CHOĆ ODCHODZĄ, PAMIĘĆ ZOSTAJE

Dzięki kombatantom historia nabiera barw i staje się wielowymiarowa, mówią żołnierze wojsk specjalnych. I dodają, że różni ich wiek, ale łączy miłość do ojczyzny.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Uroczystości przed Pomnikiem Żołnierzy Polski Walczącej w Krakowie – wartę honorową pełni żołnierz wojsk specjalnych.

ARCH. JWK

Żołnierze polskich wojsk specjalnych nieraz udowodnili profesjonalizm i perfekcyjne wyszkolenie. W misjach na Haiti, Bałkanach, w Iraku czy Afganistanie wykonywali najtrudniejsze zadania i operacje najwyższego ryzyka. Na koncie mają sporo sukcesów, dzięki czemu cieszą się uznaniem jednostek specjalnych na całym świecie. „Ciężko zapracowaliśmy na tę opinię. Są jednak chwile, gdy nasze czyny bojowe bledną", mówią specjalsi. „Jesteśmy pełni pokory i szacunku wobec dokonań naszych poprzedników. Nosimy z dumą symbole żołnierzy, którzy walczyli o wolność w czasie II wojny światowej", przyznają.

MY, WSPÓŁCZEŚNI CICHOCIEMNI

Cichociemnym nie każdy mógł zostać. Powołany w 1940 roku w Wielkiej Brytanii Zarząd Operacji Specjalnych (Special Operation Executive – SOE) poszukiwał odważnych, zdecydowanych ludzi o mocnym charakterze. Gen. bryg. Stefan Bałuk, jeden z cichociemnych, wspominał kiedyś, że decyzję, czy chce wrócić do Polski i walczyć z okupantem, musiał podjąć w zaledwie trzy minuty. Ci, którzy podobnie jak on podjęli wyzwanie, trafiali na szkolenia spadochronowe, strzeleckie i dywersyjne, a także specjalistyczne kursy z wywiadu, łączności lub broni pancernej. Szkolenie rozpoczęło 2413 kandydatów, a ukończyło 606. Spośród nich, cichociemnych, 316 zrzucono na teren okupowanej ojczyzny.

Wyszkoleni w Wielkiej Brytanii spadochroniarze mieli w Polsce zajmować się organizacją ruchu oporu i walką z nazistami. Kilku zginęło w czasie lotu do Polski, dziesiątki poległy w walce z okupantem, również w czasie powstania. Prawie 30 zamordowało gestapo. Inni zmarli w obozach koncentracyjnych albo zażyli truciznę po aresztowaniu, kilku stracono po wojnie. Pośród tych, którzy przetrwali trudy wojny i czasy komunizmu, byli m.in. Stefan Bałuk, Elżbieta Zawadzka, Jan Nowak Jeziorański, Alojzy Józekowski, Józef Zabielski, Antoni Żychiewicz, Bolesław Polończyk czy Aleksander Tarnawski.

Co z ich legendy przetrwało do dziś? „Jesteśmy współczesnymi cichociemnymi. Kontynuatorami bohaterów i tradycji legendarnych spadochroniarzy Armii Krajowej", mówi jeden z żołnierzy GROM-u, jednostki, która dziedziczy ich tradycje. „Mamy podobny, choć dostosowany do współczesnych czasów, sposób selekcji i szkolenia. W czasie wojny każdy z kandydatów najpierw musiał się wykazać doskonałą kondycją, potem brał udział w szkoleniu ogólnym, następnie zaawansowanym, a na koniec specjalistycznym. Kilkadziesiąt lat później działamy według podobnych schematów", mówi mjr Tomasz Mika, rzecznik prasowy GROM-u.

Specjalsi wskazują także na inne podobieństwa, np. na to, że do służby w GROM-ie przyjmuje się wyłącznie ochotników, osoby o mocnym charakterze, zdeterminowane i zmotywowane. I tak jak niegdyś było u cichociemnych, tak i teraz operatorzy są wyspecjalizowani w konkretnych dziedzinach. „Służymy w innych czasach niż oni, ale tak samo jesteśmy kierowani do prowadzenia najtrudniejszych zadań na całym świecie. Przez niemal 30 lat zmierzyliśmy się z wieloma wyzwaniami", mówi jeden z operatorów.

Kolejni dowódcy i żołnierze GROM-u otaczali kombatantów opieką. Zapraszali ich do jednostki i sami odwiedzali w domach. Przyznają, że połączyła ich szczególna, przyjacielska więź. „To były spotkania ze starszymi kolegami, przyjaciółmi, żołnierzami. Nie czuć było różnicy wieku. Oni dzielili się swoimi wspomnieniami, my opowiadaliśmy o swoich zadaniach. A wszystko w niezwykłej atmosferze", wspomina rzecznik. W 1994 roku, na wspólne ćwiczenia z brytyjską jednostką specjalną SAS zaproszono ówczesnego przewodniczącego Zespołu Historycznego Cichociemnych. Dowódca GROM-u chciał pokazać, że operatorzy są godni dziedziczenia tradycji cichociemnych. I już rok później tak się stało. „Każdy cichociemny to nietuzinkowa postać. Cieszę się, że miałem zaszczyt poznać kilku z nich", mówi mjr Mika. Dodaje, że szczególną sympatią obdarzył m.in. Zdzisława Straszyńskiego „Meteora", który chociaż na co dzień mieszkał w Australii, każdego roku przyjeżdżał na zjazd cichociemnych od lat organizowany

„Pan ALEKSANDER [TARNAWSKI „UPŁAZ"] jest jednym z nas. Czujemy z nim ogromną więź i zawsze chętnie gościmy w naszych progach. Gdy z kolei my odwiedzamy go w domu, to razem z żoną Elżbietą wita nas jak członków swojej rodziny", mówią operatorzy.

English version: polska-zbrojna.pl

ARCH. JWK

JESTEŚMY PEŁNI POKORY I SZACUNKU WOBEC DOKONAŃ POPRZEDNIKÓW.

NOSIMY Z DUMĄ SYMBOLE ŻOŁNIERZY, KTÓRZY WALCZYLI O WOLNOŚĆ W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ

przez jednostkę, a pogodą ducha i poczuciem humoru zarażał wszystkich wokół.

Mika wymienia także innych wyjątkowych ludzi, którzy byli częstymi gośćmi w jednostce: gen. bryg. Stefan Bałuk „Starba", cichy i skromy ppłk Kazimierz Bernaczyk-Słoński, niezwykle sympatyczny mjr Alojzy Józekowski i oczywiście mjr Aleksander Tarnawski „Upłaz". „Pan Aleksander jest jednym z nas. Czujemy z nim ogromną więź i zawsze chętnie gościmy w naszych progach. Gdy z kolei my odwiedzamy go w domu, to razem z żoną Elżbietą wita nas jak członków swojej rodziny", opowiada oficer. Cztery lata temu żołnierze jednostki spełnili marzenie cichociemnego i zorganizowali mu skok spadochronowy w tandemie. Zaprosili go także na strzelnicę, gdzie pokazał swój wysoki poziom wyszkolenia. Trafiał bezbłędnie w tarczę, którą, z racji wieku, ledwo widział.

„Nosimy znak cichociemnych na mundurze, oni o tym zdecydowali. To oni wybrali nas na swoich spadkobierców. My jesteśmy dumni z nich, a oni z nas", dodaje żołnierz GROM-u. Jednostka przygotowuje się do przyjęcia imienia jednego z cichociemnych. Z 316 nazwisk wybrano ośmiu kandydatów. Decyzja, który z nich zostanie patronem, jeszcze nie zapadła.

KOMANDOSI Z TEJ SAMEJ GLINY

„Przed laty zaproszono nas na spotkanie z powstańcami warszawskimi. Kombatanci chcieli się dowiedzieć, kim jesteśmy, jakimi wartościami kierujemy się w życiu, na czym polega nasza służba. Wtedy oni obdarzyli nas zaufaniem, a my poczuliśmy do nich wielki szacunek", wspomina jeden z żołnierzy Jednostki Wojskowej Komandosów. Operator z zespołu bojowego C na prawym ramieniu munduru nosi znak Batalionu Armii Krajowej „Parasol", bo już rok po tym pierwszym spotkaniu jego pododdział przejął tradycje żołnierzy „Parasola".

Batalion walczył w powstaniu warszawskim pod komendą cichociemnego kpt. Adama Borysa „Pługa", a w skład jednostki wchodzili przede wszystkim harcerze z Szarych Szeregów. Organizowali m.in. akcje likwidacyjne zbrodniarzy hitle-

TO BYŁY SPOTKANIA ZE STARSZYMI KOLEGAMI, PRZYJACIÓŁMI, ŻOŁNIERZAMI. NIE CZUĆ BYŁO RÓŻNICY WIEKU. ONI DZIELILI SIĘ SWOIMI WSPOMNIENIAMI, MY OPOWIADALIŚMY O SWOICH ZADANIACH. A WSZYSTKO W NIEZWYKŁEJ ATMOSFERZE

rowskich, w tym komendanta Pawiaka Franza Bürckla oraz Franza Kutschery, dowódcy SS i policji na dystrykt warszawski.

„Początkowo, w latach dziewięćdziesiątych, kombatanci przyjeżdżali do Lublińca, ale spotykali się tylko z dowództwem jednostki. Sytuacja stopniowo się zmieniała, aż w końcu powiedzieli o nas »to są nasze chłopaki«. I przywiązaliśmy się do nich na dobre. To wielka radość, gdy do naszej jednostki przyjeżdżają choćby Maria »Malina« Wiśniewska czy Zbigniew Rylski »Brzoza« – najczęściej odwiedzający nas kombatanci”, opowiada Piotr, operator Jednostki Wojskowej Komandosów.

„Kombatanci cieszą się z wizyt w naszej jednostce. Mimo różnicy wieku łączy nas braterska więź. To tak jakby starszy kolega dzielił się doświadczeniem i wiedzą z młodszym, który chce kontynuować jego dzieło”, dodaje snajper z JWK. Żołnierze z dumą prezentują znaki batalionów AK. „To coś więcej niż naszywka. To znak, że czujemy się spadkobiercami ludzi, którzy w czasie wojny prowadzili akcje specjalne. Widzimy podobieństwa w operacjach prowadzonych przez AK i tych podejmowanych przez współczesne siły specjalne. Wiemy, że najważniejszy jest, podobnie jak było wtedy, odpowiedni dobór ludzi i doskonały plan, bo na niektóre akcje żołnierze mają zaledwie kilkadziesiąt sekund”, mówi Darek z zespołu bojowego C.

„Jesteśmy współczesnymi cichociemnymi. Kontynuatorami tradycji legendarnych spadochroniarzy Armii Krajowej”, mówi jeden z żołnierzy GROM-u, jednostki, która dziedziczy ich tradycje.

Szczególną więź z jednostką utrzymywał gen. bryg. Janusz Brochwicz-Lewiński „Gryf”. Należał do „Parasola”, a w powstaniu warszawskim dowodził obroną Pałacyku Michla na Woli. Żołnierze nie tylko zapraszali „Gryfa” do jednostki, lecz także odwiedzali go na przykład z okazji jego urodzin. „Generał był legendą już za życia. Chętnie opowiadał o swojej służbie i losach powojennych. Dla nas był niezniszczalny”, mówi Piotr i dodaje: „Ludzie, którzy walczyli o nasz kraj, odchodzą. Żałujemy, że nie będzie kolejnych spotkań i opowieści. Musimy jednak sprawić, by zachowała się pamięć o nich”.

Z wielkim szacunkiem mówią o nich również żołnierze kultywujący tradycje batalionów „Zośka” i „Miotła”. Kombatanci regularnie odwiedzają jednostkę i chętnie spotykają się z żołnierzami. „Zażyłość budowana jest przez lata. Każde spotkanie to kolejna odsłona historii. Nie ma w jednostce osoby, która nie doceniłaby tych wspomnień”, mówi „Jawo” z zespołu dowodzenia JWK.

Najmłodszymi spadkobiercami tradycji powstańczych w JWK są żołnierze z zespołu bojowego A.

ARCH. JWK (3)

PAMIĘĆ O PATRONACH

Jednostka Wojskowa Nil nosi imię gen. bryg. Augusta Emila Fieldorfa „Nila”, twórcy i pierwszego dowódcy Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, i dziedziczy jego tradycje. Co roku, by upamiętnić swojego patrona, jednostka organizuje imprezę sportową: nocny marsz śladami gen. „Nila”. Jednostka Specjalna Agat także odwołuje się do AK. Jej patronem jest gen. dyw. Stefan Rowecki „Grot”, twórca i komendant główny Armii Krajowej. Jednostka przejęła i kultywuje dziedzictwo oddziału dywersji bojowej Agat. Przygotowuje się też do przyjęcia nowych tradycji. Chce, by zespół wsparcia kultywował dziedzictwo Grupy Destrukcyjnej Wawelberga. Z kolei zespół szturmowy C Jednostki Wojskowej Agat przygotowuje się do przyjęcia tradycji oddziału szturmowego kpt. Roberta Oszka. ■

Komandosi od sześciu lat noszą na mundurach znak Batalionu AK „Miotła”, który powstał na początku 1944 roku. Jego żołnierze zajmowali się dywersją i sabotażem, demaskowali zdrajców i konfidentów oraz ich likwidowali. Nazwa oddziału nawiązuje do wykonywanych zadań: żołnierze mieli „wymieść” wrogów i hitlerowskich agentów ze stolicy. Miotlarzami byli najczęściej chłopcy i dziewczęta z biednych dzielnic Warszawy. „Jak słuchamy opowieści z czasów powstania, to aż ciarki idą po plecach. Kombatanci dzielą się z nami wspomnieniami o życiu w czasie okupacji, o organizacji państwa podziemnego, konspiracyjnym nauczaniu. Czujemy się wyróżnieni tym, że nam zaufali i przekazali swoje dziedzictwo”, mówi współczesny miotlarz, operator zespołu bojowego A.

„Zespoły bojowe kultywujące tradycje batalionów AK walczących w powstaniu warszawskim cieszą się ze spotkań z kombatantami. My niestety nie możemy już gościć u siebie żołnierzy 1 Samodzielnej Kompanii Commando”, mówi Arek, dowódca Zespołu Bojowego B. Komandosi z tego pododdziału kultywują tradycje 1 SKC, która powstała w 1942 roku, a jej dowódcą był kpt. Władysław Smrokowski. Żołnierze tej kompanii byli pierwszymi Polakami, którzy rozpoczęli działania bojowe na Półwyspie Apenińskim. Uczestniczyli m.in. w walkach pod Monte Cassino. Bili się także o Ankonę, a po przekształceniu 1 SKC w 2 Batalion Komandosów Zmotoryzowanych, także o Bolonię. „To są prekursorzy współczesnych wojsk specjalnych. Byli ochotnikami spośród najlepiej zmotywowanych żołnierzy. Najlepiej wyszkoleni i przeznaczeni do najtrudniejszych zadań bojowych. Jesteśmy dumni, że możemy kultywować tradycje tak zasłużonej jednostki”, opowiada „Tedi”, podoficer zespołu bojowego B.

Żołnierze 1 Samodzielnej Kompanii Commando do specjalsów z Lublińca przyjeżdżali do końca lat dziewięćdziesiątych. Nie ma już żyjących kombatantów z tego pododdziału, ale żołnierze z Lublińca utrzymują kontakt z weteranami 2 Batalionu Komandosów Zmotoryzowanych, jednostki, która powstała na bazie 1 SKC. „Znak kompanii Commando ma dla nas ogromne znaczenie. Nosimy go z dumą, bo wiemy, że komandosi 1 SKC z poświęceniem walczyli o wolność”, dodaje dowódca zespołu. Jego podkomendni w 2018 roku wyjechali do Włoch, by poznać szlak bitewny swoich poprzedników, odnaleźli też groby wszystkich żołnierzy, którzy zostali tam pochowani.

„Inaczej myśli się o historii, kiedy stoi się w miejscu, w którym rozgrywały się wielkie bitwy. W tym roku znowu wróciliśmy do Włoch. W połowie kwietnia w Pescopennataro odsłonięto tablicę pamiątkową ku czci polskich żołnierzy 1 Samodzielnej Kompanii Commando. „Chcieliśmy upamiętnić wydarzenia z 1943 roku, kiedy to żołnierze 1 SKC w walce o niewielkie miasteczko przeszli chrzest bojowy we Włoszech”, podkreśla dowódca zespołu bojowego B. ■

PIOTR KORCZYŃSKI

NIE BĄDŹ GŁUPI, NIE DAJ SIĘ ZABIĆ

Z Antonim Łapińskim *o dramatycznych chwilach pod Monte Cassino i zwycięskiej passie polskich żołnierzy rozmawia Piotr Korczyński.*

Pochodzi pan z kolejarskiej rodziny, więc o wojnie dowiedział się pan natychmiast po jej wybuchu.

W nocy z 31 sierpnia na 1 września 1939 roku miałem dyżur na kolei w rodzinnych Łapach. Bo poszedłem w ślady ojca. Nad ranem, kiedy kończyłem zmianę, ktoś nagle krzyknął: „Samoloty, samoloty!". Niestety, to były niemieckie maszyny… Wtedy zaczęło się bombardowanie. Wojenną atmosferę było czuć jednak znacznie wcześniej. Kilka dni po nalocie mój ojciec, starszy brat i ja uciekliśmy przed Niemcami aż za Wilno. Kiedy jednak 17 września wojska sowieckie przekroczyły wschodnią granicę, ruszyliśmy pieszo z powrotem do Łap. Tam też zastaliśmy okupantów, którzy zaczęli wprowadzać swoje porządki. Już w październiku 1939 roku Sowieci zarządzili referendum, w którym główne pytanie brzmiało: „Czy chcemy być przyłączeni do Związku Sowieckiego, do Republiki Białoruskiej?".

Wtedy zaczęły się prawdziwe kłopoty?

Plebiscyt odbył się w piękną niedzielę, więc ludzie tłumnie pomaszerowali do urn. Tego dnia dowiedzieliśmy się, że na rynku naszego miasteczka zostali aresztowani licealiści, bo niepochlebnie wypowiadali się o sowieckiej władzy. Wśród nich był mój brat. Wszelki ślad po nim zaginął. Później się okazało, że został skazany na dziesięć lat łagru. Karę tę zamieniono mu na dziesięć lat pracy w kopalni w Karagandzie. Nas też dopadła rzeczywistość. Nad ranem 10 kwietnia 1940 roku wyrwały nas ze snu gwałtowne walenie w drzwi i krzyki: „Otwieraj, otwieraj!". Okazało się, że dom był otoczony przez enkawudzistów. Jeden z nich odczytał nam rozkaz, że mamy się spakować i w ciągu dwóch godzin wyjechać. Poszliśmy na stację kolejową, tam załadowali nas do bydlęcych wagonów i ruszyliśmy w bardzo długą drogę. Przejechaliśmy Ural i nasz transport zatrzymał się przed Nowosybirskiem. Stamtąd zesłańców rozwożono samochodami w różne strony kraju. My trafiliśmy do kołchozu Wsiewołodowka. Żyliśmy tam w trudnych warunkach i ciężko pracowaliśmy, ale nawiązaliśmy serdeczne stosunki z miejscowymi Rosjanami. Tam poznałem też swoją pierwszą sympatię – Katię. Nie było jednak nam dane być razem, bo wiosną 1941 roku przewieziono nas do Adbasary pod Akmolińskiem, na wielki plac budowy, gdzie Polacy stanowili tanią siłę roboczą.

Jak zmieniła się wasza sytuacja po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 roku?

Początkowo na gorsze. Pewnego dnia kierownictwo zwołało nas na apel, na którym oznajmiono nam, że niemieccy faszyści napadli na ZSRS. Dlatego musimy podjąć uchwałę, że z własnej woli będziemy pracować nie dziesięć, a dwanaście godzin dziennie. Wszystko zmieniło się dopiero po podpisaniu układu Sikorski-Majski w lipcu 1941 roku. Wtedy na zebraniu usłyszeliśmy: „Bracia Polacy, jesteście naszymi przyjaciółmi. Wspólnie mamy walczyć przeciwko Niemcom. Od tego dnia jesteście ludźmi wolnymi, jesteście traktowani jak nasi sprzymierzeńcy". Od razu pomyślałem, że mój brat może być zwolniony z katorgi w kopalni. Od tej chwili mogliśmy swobodnie rozporządzać swoim wolnym czasem, więc ustaliliśmy rodzinne dyżury – każdy innego dnia wychodził na stację kolejową, biegł wzdłuż pociągu i głośno wołał: „Łapiński jest w pociągu?". Pewnego dnia moja siostra usłyszała odpowiedź: „Jest!". Nareszcie znów byliśmy razem.

I razem wstąpiliście do armii gen. Andersa?

Tak, gdy tylko dowiedzieliśmy się, że jest formowane polskie wojsko, podjęliśmy szybką decyzję: jedziemy! Gdy zobaczyliśmy z bratem biało-czerwoną flagę na budynku polskiego dowództwa, ze wzruszeniem pomyśleliśmy: będzie Polska, a my do niej wrócimy! Dostałem przydział do 10 Pułku Artylerii Lekkiej 10 Dywizji Piechoty, a mój brat trafił do piechoty tej samej dywizji. Warunki w naszej armii były bardzo ciężkie. Każdego dnia dokuczał nam mróz i głód. Dostawaliśmy bardzo małe racje żywnościowe i mieszkaliśmy w przykrytych plandekami wykopanych w ziemi dołach. Często widzieliśmy, jak żołnierze wynoszą z nich swoich zmarłych kolegów. To było straszne! Wiadomość o ewakuacji naszego wojska do Iranu przyjęliśmy więc z ulgą. Po dotarciu do Pahlawi zobaczyliśmy nowy, piękny świat! Brytyjska opieka medyczna i intendentura były bardzo dobrze zorganizowane. Codziennie dostawaliśmy na przykład skondensowane słodkie mleko. Niestety, śmiertelność w naszych oddziałach nadal była bardzo wysoka. Organizm niejednego żołnierza po długim okresie głodu nie radził sobie z jedzeniem… Jednak ci, którzy przetrwali ten czas, szybko zaczęli nabierać sił i zmienialiśmy się w prawdziwe wojsko.

To wojsko wkrótce przeszło prawdziwy test – w 1944 roku…

Na początku tego roku byłem w Palestynie, gdzie w obozie Barbara kilka tygodni wcześniej skończyłem czwartą klasę gimnazjalną i uzyskałem tzw. małą maturę. Tam nadszedł rozkaz, aby nas – absolwentów gimnazjum – przeszkolić na sanitariuszy-noszowych i z taką specjalizacją wziąłem udział w słynnej bitwie naszego 2 Korpusu pod Monte Cassino.

Pamiętam, jak wjechaliśmy do miejscowości Cassino. Przywitały nas tylko gruzy i ruiny wypalonych domów oraz leje po bombach zalane wodą. Ulice →

WIZYTÓWKA

PPŁK ANTONI ŁAPIŃSKI

Zesłaniec, żołnierz 1 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej, w którego szeregach przeszedł cały szlak bojowy 2 Korpusu Polskiego we Włoszech. Odznaczony m.in. Krzyżem Zesłańców Sybiru, Krzyżem Pamiątkowym Monte Cassino, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem „Pro Bono Poloniae" i brytyjskim The Italy Star. ■

English version: polska-zbrojna.pl

ARCHIWUM ANTONIEGO ŁAPIŃSKIEGO

ANTONI ŁAPIŃSKI: „Człowiek nie samą wojną żył, byliśmy młodzi". Nasz bohater (od lewej) z kolegą z podchorążówki

były tak wąskie, że ledwo mieściły się na nich samochody. W tumanach kurzu jechaliśmy krętą drogą, prowadzącą coraz wyżej w górę. Gdzieniegdzie widzieliśmy posterunki żandarmerii kierującej ruchem i napisy na tablicach: „Nie bądź głupi, nie daj się zabić".

Zapadła już noc, kiedy dotarliśmy na miejsce, gdzie wśród drzew u podnóża jakiegoś wzniesienia stał budynek. Wysiedliśmy w świetle księżyca i słyszeliśmy tylko ciche komendy dowódców. Było nas ponad 50 żołnierzy. Szliśmy szeroką na półtora metra ścieżką wijącą się pod górę, co 200 m zatrzymywaliśmy się przed prowizorycznymi schronami wybudowanymi przez naszych alianckich poprzedników. W każdym z nich zostawało po czterech żołnierzy z noszami. Na naszej ścieżce naliczyłem 14 takich schronów. Ostatni był u podnóża góry zwanej Dużą Miską. Pięćdziesiąt metrów wyżej stał budynek gospodarczy. Minęliśmy go i dalej szliśmy szerszą, trzymetrową ścieżką. Po obu stronach ciągnęły się białe taśmy, dowódca nas uprzedził: „Nie wychodzić za taśmę, bo tam są pola minowe. Iść środkiem, bo niosąc rannego w nocy, łatwo przewrócić się na kamieniu, wpaść za taśmę i wylecieć na minie".

W końcu doszliśmy do wysuniętego punktu opatrunkowego, nazwanego Domkiem Doktora, w którym pracował doktor Adam Majewski z dwoma sanitariuszami. Tam usłyszeliśmy rozkaz: „Rozejść się. Możecie poszukać sobie miejsca do spania, ale musicie być blisko domku, aby w razie potrzeby was nie szukać. Możecie oprzeć głowę na kamieniu i trochę się przespać".

Po przebudzeniu przeżył pan szok?

Zobaczyłem przede wszystkim, że ściana izby przyjęć doktora Majewskiego jest zakryta plandeką, bo zniszczył ją niemiecki pocisk, a na dachu domku widniał wymalowany wielki znak Czerwonego Krzyża. Od razu rzuciły mi się w oczy złowrogie ruiny klasztoru na Monte Cassino. Kiedy patrzyło się w linii prostej, wydawało się, że klasztor jest tuż przed nami, dzieliła nas od niego Dolina Śmierci. Od razu też zorientowałem się, że Niemcy stosują ostrzał nękający, czyli co jakiś czas wystrzeliwują kilka pocisków do oznaczonych celów, a potem jest chwila przerwy. Byli już dobrze wstrzelani, więc za każdym razem mieliśmy zabitych i rannych.

Moja drużyna miała odbierać ciężko rannych żołnierzy od doktora Majewskiego i znosić ich na noszach do podnóża Dużej Miski, gdzie znajdował się początek naszej sztafety. Jej koniec wyznaczono tam, gdzie w nocy przywiozły nas samochody. Ostatni etap ewakuacji rannego odbywał się dżipem do szpitala polowego. Nie była to łatwa praca: ranny ważył około 60 kg, drewniane nosze – 17, plus hełm i oporządzenie, co dawało razem jakieś 80 kg. Ten ciężar trzeba było nieść kilometr po wyboistej ścieżce. Kiedy wracaliśmy, często dźwigaliśmy dwudziestolitrowe kanistry z wodą i prowiant. Nigdy nie nosiliśmy amunicji – w przypadku sanitariuszy było to zabronione. Często byliśmy pod ostrzałem. Opaski Czerwonego Krzyża na naszych rękach nie zdawały się na nic – ranni i zabici byli także wśród nas.

To wszystko działo się przed właściwą bitwą?

Dokładnie. 11 maja 1944 roku o godzinie 20.00 dowódca zebrał nas pod Domkiem Dokto-

CASSINO PRZYWITAŁO NAS TYLKO GRUZAMI I RUINAMI WYPALONYCH DOMÓW ORAZ ZALANYMI WODĄ LEJAMI PO BOMBACH

ra i odczytał rozkaz gen. Andersa, żeby 2 Korpus zaatakował nieprzyjaciela na całym odcinku frontu. Byliśmy podekscytowani. O 23.00 ponad tysiąc alianckich armat rozpoczęło ostrzał niemieckich pozycji – noc zmieniła się w dzień. Huraganowy ogień trwał do 1.00. O tej godzinie do ataku ruszyła nasza 1 Brygada Karpacka. My czekaliśmy w tym czasie na rannych. Pierwszych zaczęto znosić około godziny 2.00. Z każdą chwilą pojawiało się ich coraz więcej. Jak się rozwidniło, było ich już tak wielu, że nie dawaliśmy rady odnieść ich do Dużej Miski. Byliśmy piekielnie zmęczeni, a następne dni okazały się jeszcze gorsze – walka zmieniła się w krwawą jatkę i nikt z nas już nie liczył rannych i zabitych. Marzyłem tylko o tym, aby przez chwilę położyć głowę na kamieniu i choć godzinę się przespać. Nie pamiętam, bym przez cały czas trwania bitwy jadł cokolwiek ciepłego. Przy siłach utrzymywały mnie konserwy wołowe i adrenalina. 17 maja do drugiego natarcia ruszyła 2 Brygada Karpacka. Ściągnięto wszystkie rezerwy Korpusu. 2 Brygada uderzyła na Gardziel oraz Mass Albanetę i wreszcie nastąpił przełom. Niemcy byli wyraźnie osłabieni, więc nie mieli innego wyjścia, jak wycofać swoje jednostki z linii umocnień. Ich strzelcy spadochronowi pozostawili jedynie oddziały opóźniające, które osłaniały odwrót głównych sił.

I nastał 18 maja – radosny dla żołnierzy 2 Korpusu…

Dla mnie szczególnie… Wczesnym rankiem nasze oddziały weszły do ruin klasztoru na Monte Cassino. Około godziny 9.00 stałem nieopodal Domku Doktora i patrzyłem na zdobyte rumowisko klasztoru. W nocy udało mi się zdrzemnąć jakieś trzy godziny, opierając głowę na torbie medycznej. Nagle zauważyłem, że ścieżką od strony Gardzieli idzie siedmiu żołnierzy, a na ich czele – jakiś oficer. Kiedy zbliżyli się na odległość kilkunastu metrów, rozpoznałem w tym podporuczniku mojego brata Józefa! Wyglądał tak, jak przed kilku laty po zwolnieniu z katorgi – wychudzony, nieogolony, w podartym i brudnym mundurze. To nie miało jednak znaczenia wobec faktu, że mój brat przeżył! Na pożegnanie wskazał swoich żołnierzy i powiedział: „Patrz, ilu żywych żołnierzy mogłem zebrać po natarciu mojego plutonu na Mass Albanetę i Gardziel". Pluton przed walką liczył 30 żołnierzy i należał do 6 Batalionu Piechoty 2 Brygady Karpackiej. Kiedy kolejny raz spotkałem się z bratem, okazało się jednak, że wśród żywych odnalazło się jeszcze kilkunastu żołnierzy z jego plutonu – razem przeżyło ich 18. Reszta oddała swe młode życie na zboczach masywu Cassino porośniętych czerwonymi makami.

Dywizja karpacka wraz z innymi oddziałami 2 Korpusu ruszyła następnie przez Ankonę i inne włoskie miasta zwycięskim szlakiem, który zakończył się zdobyciem Bolonii wiosną 1945 roku. Czy zdobycie Monte Cassino oznaczało dla pana koniec wojny?

Po zdobyciu klasztoru pełniłem w swoim 1 Karpackim Pułku Artylerii Lekkiej różne funkcje. Byłem m.in. łącznościowcem i pułkowym zwiadowcą; skończyłem również Szkołę Podchorążych Artylerii w Materze. Przede wszystkim jednak byłem młodym mężczyzną. Miałem wtedy 20 lat. Cieszyłem się na przykład z wycieczki do dopiero co zdobytego Rzymu, bo miałem nadzieję zobaczyć słynne rzymskie zabytki, o których uczyłem się na lekcjach historii i łaciny w Gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego w Białymstoku. Wypad ten skończył się tylko na odwiedzeniu kilku rzymskich winiarni i wypiciu umiarkowanej ilości wina. Bawiliśmy się jednak świetnie, tym bardziej że młode Włoszki były urocze i nie stroniły od swych wyzwolicieli. Z łezką w oku opuszczałem Wieczne Miasto i wyzwolone dziewczyny. Byłem zakochany, tylko nie wiedziałem, w której…

Niezapomniane przeżycia przynosił też front – na przykład po zdobyciu przez karpacką piechotę Osimo. Położona na wzgórzu miejscowość okazała się doskonałym punktem obserwacyjnym dla naszej piechoty. Pluton łączności baterii, w którym wtedy służyłem, otrzymał zadanie, aby ten punkt połączyć telefonicznie z dywizjonami 1 Karpackiego Pułku Artylerii Lekkiej. Podczas natarcia oskrzydlającego Ankonę obsługiwałem linię telefoniczną, gdy dowódca pułku, płk Juliusz Moździeń, wszystkimi swymi działami strzelał na pozycje niemieckie. Widok z zamaskowanego punktu obserwacyjnego był tak fascynujący, że nie zapomnę go do końca życia. Kanonada naszych 24 dział i wybuchy pocisków wśród niemieckich schronów były zapłatą za rok 1939 i całą mroczną okupację niemiecką. Byliśmy z siebie dumni. Rachunek za pięć lat terroru i poniżenia został przez nas częściowo wyrównany.

Nasz szlak bojowy, choć zwycięski, nie należał jednak wcale do łatwych, cały czas miałem w głowie hasło, które przeczytałem na drodze do Cassino: „Nie bądź głupi, nie daj się zabić". ■

Maj wojenny

Po wyjątkowo ciepłym przedwiośniu i różnych niepokojących znakach przyroda w maju 1939 roku przyniosła w Polsce kolejne anomalie – burze i gwałtowne powodzie. Aura nieustannie ostrzegała Polaków przed kataklizmem wojny.

Zuzanna Ginczanka, młoda, ale zauważona już w ówczesnym środowisku literackim poetka, opublikowała wiersz zatytułowany „Maj 1939”. W jego pierwszych strofach pisała:

„Raz wzbiera we mnie nadzieja,
raz jestem niespokojna.
Zbyt wiele rzeczy się dzieje –
coś przyjdzie: miłość lub wojna.

Są znaki, że przyjdzie wojna:
kometa, orędzia, mowy.
Są znaki, że przyjdzie miłość:
serce, zawroty głowy.

Kometa błysnęła nocna,
gazeta nadbiegła dzienna.
O wiosno, wiosno miłosna!
Nie, nie miłosna. Wojenna!”.

Z pewnością najgłośniej wybrzmiało wtedy przemówienie ministra spraw zagranicznych Józefa Becka wygłoszone 5 maja 1939 roku w Sejmie RP. Odrzucając niemieckie żądania, stwierdził: „Pokój jest rzeczą cenną i pożądaną. Nasza generacja skrwawiona w wojnach, na pewno na pokój zasługuje. Ale pokój, jak prawie wszystkie sprawy tego świata, ma swoją cenę, wysoką, ale wymierną. My w Polsce nie znamy pojęcia pokoju za wszelką cenę. Jest jedna tylko rzecz w życiu ludzi, narodów i państw, która jest bezcenna. Tą rzeczą jest honor”. W rozmowie z Emanuelem Birnbaumem, dziennikarzem i emigrantem z III Rzeszy, Beck poszedł jeszcze dalej: „Jeżeli nie będzie mnie Pan cytował oficjalnie, mogę Panu powiedzieć, co obecnie muszę uważać za cel niemieckiej polityki wschodniej. Jest nim wspólna granica Niemiec z Japonią”.

Beck nie miał już żadnych złudzeń co do gry Hitlera. Nie przewidział tylko, że przed alternatywą wspólnej granicy niemiecko-japońskiej może pojawić się jeszcze jedna niezwykle groźna dla Polski ewentualność – wspólna granica niemiecko-sowiecka. Na dwa dni przed jego przemówieniem w Moskwie ze stanowiska komisarza spraw zagranicznych odwołano Maksyma Litwinowa, dyplomatę pochodzenia żydowskiego. Zastąpił go Wiaczesław Mołotow, który mógł być przyjmowany w Berlinie bez żadnych oporów. To było dla Polski groźne memento.

ZAKLINANIE RZECZYWISTOŚCI

Wobec złych wiadomości starano się wynajdywać okruchy optymizmu. W „Polsce Zbrojnej” wyeksponowano dwa takie wydarzenia. Pierwsze to wizyta naczelnego wodza Litewskich Sił Zbrojnych. Gen. Stasys Raštikis gościł w Polsce od 8 do 11 maja 1939 roku i został przyjęty z honorami przez marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego i prezydenta Ignacego Mościckiego. Gość zapewnił polskich polityków i wyższych rangą oficerów, że w wypadku wojny jego kraj zachowa neutralność i nie wystąpi przeciwko Polsce. To była ważna deklaracja, zważywszy na fakt, że dopiero niecały rok wcześniej doszło do normalizacji stosunków między oboma państwami.

Drugim wydarzeniem napawającym optymizmem była wiadomość, która nadeszła z Paryża. 19 maja zakończono polsko-francuskie rozmowy sztabowe. W podpisanym tego dnia protokole Francja zobowiązywała się, że w razie niemieckiego ataku na Polskę rozpocz-

Nr 125 Warszawa, sobota 6 maja 1939

Polska nie da się odepchnąć od Bałtyku

Wielka mowa ministra J. Becka na plenum Sejmu

Pakt nieagresji

Sytuacja aktualna

nie ofensywę przeciwko Niemcom w piętnastym dniu wojny. To napawało optymizmem polskich dowódców – byli pewni, że przez kilkanaście dni Wojsko Polskie utrzyma pozycje w walce z armią niemiecką.

PROWOKACJE NIEMIECKIE

Niemniej jednak zza zachodniej granicy Polski wciąż docierały niepokojące wieści. Dochodziło do prześladowań Polaków mieszkających w Niemczech i Wolnym Mieście Gdańsku, na granicy często zdarzały się prowokacje. 20 maja na przykład niemieccy bojówkarze napadli na polski posterunek celny w Kałdowie koło Malborka, w Strzelcach Wielkich na Śląsku brutalnie zaatakowano występujących tam polskich artystów, a w Berlinie gestapo zarekwirowało nakłady polskojęzycznych czasopism… Takich prowokacji prasa odnotowuje kilka na dzień, ale jak zauważa „Polska Zbrojna”, niemieckie gazety w tym czasie eksponowały na pierwszych stronach artykuł Goebbelsa o krzywdzeniu Niemców w Polsce.

Korespondenci „Polski Zbrojnej” nie omieszkali przy tym przedstawić „nowych porządków” zaprowadzanych przez Niemców w zaanektowanych Czechach – demontażu czeskich zakładów przemysłowych i wywózki ich maszyn do Niemiec, pierwszych masowych aresztowań, a co gorsza – pierwszych egzekucji. Można także było przeczytać artykuły o oficerach byłej armii czechosłowackiej uciekających do Polski lub na Zachód. Polscy dziennikarze nie mogli oczywiście wtedy wiedzieć o tajnej naradzie w Kancelarii Rzeszy 23 maja. Wtedy to Hitler nakreślił swym dowódcom cele przyszłej wojny: „Polska będzie zawsze po stronie naszych nieprzyjaciół. […] Gdańsk nie jest bynajmniej przedmiotem zatargu. Idzie tu o rozszerzenie naszej przestrzeni życiowej na Wschodzie”.

30 maja wielka fala powodziowa dotarła do Warszawy. „Polska Zbrojna” pod koniec tego miesiąca namawiała czytelników do masowego kupowania masek przeciwgazowych i drukowała list do Naczelnego Wodza, w którym jego autor deklaruje: „Zgłaszam się do plutonu żywych torped!”. Ten maj zdecydowanie nie był miłosny, lecz wojenny. PK ■

WYCINKI PRASOWE POCHODZĄ Z „POLSKI ZBROJNEJ” Z MAJA 1939 ROKU.

KOMENTARZ

KRZYSZTOF KAWALEC

Exposé sejmowe polskiego ministra spraw zagranicznych oznaczało odrzucenie, w spektakularnej formie, żądań niemieckich zawartych w wygłoszonym tydzień wcześniej przemówieniu Hitlera. Oba państwa zademonstrowały sztywność stanowiska. W powietrzu zapachniało prochem. Z perspektywy czasu, wiedząc, jaki był dalszy bieg wydarzeń, skłonni jesteśmy uważać go za nieuchronny. Dla współczesnych nie było to takie oczywiste. Komentując wystąpienie Becka, mjr William H. Colbern, attaché wojskowy w Ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Warszawie, nie sądził, by Niemcy zaryzykowały wywołanie wojny europejskiej przed wyjaśnieniem sytuacji na bardziej dla nich bezpiecznych kierunkach ekspansji, przede wszystkim na Bałkanach. 11 maja 1939 roku napisał do centrali: „W tym czasie Polska poddawana będzie wszelkim znanym Niemcom naciskom w nadziei złamania jej siły. Teraz nerwy ich są w dobrym stanie i szczerze podziwiam pewność, z jaką radzą sobie z tą sytuacją”.

Uwagę tę odnieść można nie tylko do rządzącej Polską grupy polityków oraz wojskowych, lecz także do opinii publicznej, w swojej większości okazującej wobec panującego systemu rezerwę, jeśli nie wrogość. Nie było tak, że zagrożenie zewnętrzne automatycznie odsunęło na bok wszelkie antagonizmy i napięcia. Pamiętano, że grupa rządząca zdobyła władzę nie w wyniku decyzji wyborców, lecz w rezultacie zbrojnego zamachu stanu, pamiętano też powtarzające się fałszerstwa wyborcze oraz represje. Wzajemna wrogość nie osiągnęła wszakże pułapu, po którego przekroczeniu przestaje się widzieć elementarne realia polityczne. Dlatego żadne z liczących się stronnictw nie kwestionowało proklamowanego przez obóz rządzący hasła obrony Polski. W realiach wiosny 1939 roku brutalny nacisk niemiecki na pewno był dodatkowym czynnikiem ułatwiającym zajęcie stanowiska. Istniały i partykularne względy, sprzyjające wytworzeniu się atmosfery narodowej jedności: prawica tradycyjnie obawiała się Niemiec, lewica zaś nienawidziła reżimu ustanowionego przez Hitlera. Chociaż mając na uwadze dalszy bieg wydarzeń, może to dziwić, deklarację Becka przyjęto z ulgą. Postrzegany był wcześniej jako polityk proniemiecki, obawiano się także powtórki scenariusza czechosłowackiego, kiedy to próby bardziej elastycznej polityki zakończyły się rozpadem państwa i katastrofą.

W maju 1939 roku, mimo komplikującej się sytuacji, dalszy bieg wydarzeń był wciąż zagadką. Rezultatem demonstrowania przez Polskę sztywnej postawy było uaktywnienie się przeciwników III Rzeszy, przede wszystkim Wielkiej Brytanii, chociaż państwo to nie było zdolne udzielić Polsce realnej pomocy. Można się spierać co do ocen potencjału Francji. Z kolei ZSRR było supermocarstwem, przeciwnikiem hitlerowskich Niemiec. Ciepłe przyjęcie przez sowiecką dyplomację deklaracji Becka łudziło perspektywą izolacji agresora, w konsekwencji zaś jego powstrzymania. Trudno było sobie wówczas wyobrażać, że ostentacyjnie antyfaszystowskie państwo „robotników i chłopów” przejdzie na stronę III Rzeszy. Maj 1939 pozostawał zatem miesiącem złudzeń. ■

Prof. KRZYSZTOF KAWALEC jest historykiem w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego (profesor zwyczajny oraz kierownik Zakładu Historii Polski i Powszechnej XIX i XX wieku), a także w Instytucie Pamięci Narodowej.

KAWAŁEK WOLNEJ POLSKI

Niemcy użyli go jako żywej tarczy. Widok polskiej flagi dodał mu sił, aby uciec.

ANNA DĄBROWSKA

Wybuchło powstanie. Wieczorem martwię się o rodziców, którzy nie wrócili do domu. Warszawa dookoła płonie", zapisał w pamiętniku pod datą 1 sierpnia 1944 roku szesnastoletni Aleksander Dziedzic. Chłopiec mieszkał wówczas z rodzicami, babcią i dwiema siostrami przy Krakowskim Przedmieściu.

Przed wojną ojciec Olka pracował w Poczcie Polskiej jako kierownik brygady zakładającej linie telefoniczne i rodzina przenosiła się z miejsca na miejsce. Wojna zastała ich w Worochcie. Kiedy do miejscowości weszli bolszewicy, wszyscy uciekli do Warszawy. Chłopak chodził do szkoły i uczył się na tajnych kompletach, ale nie działał w konspiracji. W Armii Krajowej był natomiast jego ojciec, Wiktor Dziedzic „Żbik". „W dniu wybuchu powstania ojca Olka zmobilizowano, matka była w pracy, a on został w domu z babcią i siostrami", opowiada Jacek Ogorzałek, regionalista i miłośnik historii z Zielonej Góry.

BIEG PO ŻYCIE

„4 sierpnia. O 10.30 na podwórku ukazali się Niemcy, którzy kazali wszystkim opuścić mieszkanie. Mnie wzięli i prowadzili z resztą osób na plac Kopernika. Stamtąd widziałem, jak moje mieszkanie podpalone przez Niemców spaliło się", zapisał Olek. Mężczyzn Niemcy popędzili jako żywe tarcze przed czołgami na barykadę przy ul. Mazowieckiej.

Jak wspominał Aleksander Dziedzic, domy na ulicy Królewskiej były zburzone i w oddali zobaczył stanowiska powstańcze oraz biało-czerwone flagi. „Mężczyzna idący przed nim został ranny, chłopiec przewrócił się razem z nim, a kiedy się poderwał, zaczął przez gruzy biec w kierunku tych flag", mówi Marek Wojdan, instruktor z Klubu 17 Wielkopolskiej Brygady Zmechanizowanej z Międzyrzecza. Mężczyzna opowiadał, że w tych flagach widział kawałek wolnej Polski. Cudem udało mu się uniknąć niemieckich strzałów. Dotarł do powstańców, którzy wciągnęli go za barykadę. Tam jeden z oficerów zaproponował mu wstąpienie do powstańczego oddziału i tak Olek stał się strzelcem „Rysiem" w Zgrupowaniu „Bartkiewicz" AK dowodzonym przez mjr. Włodzimierza Zawadzkiego „Bartkiewicza". „Jak opowiada pan Aleksander, trafił do powstania ubrany tylko w krótkie spodenki, koszulkę i sandałki. Miał też zegarek z dewizką, który dostał od dziadka", dodaje Ogorzałek.

ALEKSANDER BIEGŁ W KIERUNKU POLSKICH FLAG, NIE ZWRACAJĄC UWAGI NA NIEMIECKI OSTRZAŁ, I CUDEM UDAŁO MU SIĘ DOSTAĆ DO POWSTAŃCÓW

Oddział walczył w północnym Śródmieściu, w rejonie ulic Świętokrzyskiej, Mazowieckiej, Królewskiej, Marszałkowskiej i Kredytowej oraz placów Napoleona i Małachowskiego. Powstańcy utrzymali swoje pozycje do końca walk, pomimo silnych niemieckich ataków z ogrodu Saskiego i placu Piłsudskiego, a Olek zapisywał dzień po dniu swoje wrażenia i spostrzeżenia.

MAREK WOJDAN (2)

„7 sierpnia. Cała dzielnica wraz z drapaczami pali się od »krów«. Cały batalion gasi pożary. 24 sierpnia. Czwartek. Gdy rano szedłem do koszar, to dowiedziałem się, że AK zdobyła 1 nr Krakowskiego Przedmieścia, a z kościoła wydobyto kilkadziesiąt kobiet i dzieci żywych. Tęsknię za mamą. 27 sierpnia. Niedziela. Jak przechodziliśmy przez Marszałkowską, to 5 metrów ode mnie rozerwał się pocisk wystrzelony z »Tygrysa«. Jednego kolegę, który był o pół metra ode mnie, zabiło na miejscu, drugiego rzuciło o barykadę i przewróciło, a ja jakimś cudem leżałem pod tą barykadą i nic mi się nie stało, chociaż odłamki dookoła mnie sypały się jak groch. 29 sierpnia. Wtorek. To już trwa cztery tygodnie. Z tą myślą wstałem rano. Jeszcze przed śniadaniem dostałem mundur. Zaraz przyszyłem sobie na kołnierzu biało-czerwone patki i ubrałem go na siebie. 6 września. Środa. Nie ma co jeść. O wodę bardzo trudno. 16 września. Sobota. Dostałem karabin i 52 naboje do niego”.

„Pisał pamiętnik, bo zdawał sobie sprawę, że może nie przeżyć powstania i chciał pozostawić dla mamy wspomnienia po sobie. Dziś te zapiski to niezwykle ciekawy i wzruszający obraz walk widziany oczami szesnastolatka, który musiał bardzo szybko dorosnąć, choć w środku pozostał dzieckiem i nadal tęsknił za mamą i babcią”, zaznacza Ogorzałek.

Powstanie chyliło się ku upadkowi. „1 października. Niedziela. W nocy Niemcy znowu zaczęli niszczyć miasto. 2 października. Poniedziałek. Od rana zawieszenie broni. Nasz pluton ma służbę przy Mazowieckiej 7. AK poddaje się Niemcom. Ja idę z oddziałem. Pamiętnik chowam na kwaterze”. Olek ukrył notes w szparze koło okna. Z Warszawy trafił do obozu jenieckiego, a po wyzwoleniu wrócił do Polski. W Lesznie Urząd Bezpieczeństwa aresztował go na kilka tygodni za walkę w AK. Potem Aleksander Dziedzic skończył szkołę i pracował w Urzędzie Skarbowym. Jego mama, babcia i siostry przeżyły powstanie, ojciec zginął podczas walk na Starówce.

W WIRZE WALKI

Siedem lat po wojnie znalazł się znów w Warszawie na szkoleniu w Ministerstwie Finansów. Wieczorem z trzema innymi uczestnikami kursu wspominali czasy wojny. Opowiedział im o powstaniu i o tym, że pisał pamiętnik, który ukrył w jednym z domów przy Mazowieckiej. Następnego dnia wszyscy poszli obejrzeć to miejsce i okazało się, że choć dom został spalony, fasada budynku przetrwała. Udało się odnaleźć pamiętnik. Wszyscy się na nim podpisali, poświadczając jego oryginalność. Dziś dokument jest przechowywany w Muzeum Powstania Warszawskiego.

O tej historii Marek Wojdan dowiedział się kilka lat temu w starostwie powiatowym w Świebodzinie. Okazało się, że Aleksander Dziedzic mieszka we wsi Łąkie w gminie Skąpe pod Zieloną Górą. „Pojechałem do niego, zaczęliśmy rozmawiać, pokazał mi kopię pamiętnika i postanowiłem przedstawić jego historię podczas organizowanego w Świebodzinie tygodnia patriotycznego, którego celem jest upamiętnianie lokalnych bohaterów i przypominanie o ich dokonaniach”, mówi Wojdan, który jest organizatorem tej imprezy i przewodniczącym Okręgu Północno-Zachodniego Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej.

Zapiski strzelca „Rysia” stały się inspiracją do stworzenia w 2017 roku scenariusza inscenizacji, w którą zaangażowali się harcerze, uczniowie, członkowie grup rekonstrukcyjnych i żołnierze z 17 WBZ. Pokazano m.in., jak pan Aleksander ucieka Niemcom w kierunku powstańców i biało-czerwonej flagi, jak dostaje się do oddziału i broni barykady, a także inne epizody z walk: likwidację przez Niemców powstańczego szpitala, rozstrzeliwanie ludności cywilnej czy śmierć młodego powstańca. „To była żywa lekcja historii i oddanie czci por. Dziedzicowi oraz wszystkim, którzy walczyli w powstaniu”, podkreśla Wojdan. Inscenizację obejrzeli też stacjonujący w Skwierzynie amerykańscy żołnierze. „Byli pod wrażeniem. Wielu z nich nie miało pojęcia, jak wyglądały walki w Warszawie”, dodaje instruktor klubu.

Widowisku przyglądał się por. Dziedzic. „Był wzruszony, a jednocześnie żałował, że inni powstańcy, którzy mieszkali w okolicach Zielonej Góry, nie dożyli tej uroczystości”, opowiada Ogorzałek. Dodaje też, że dla pana Aleksandra powstanie było jednym z najważniejszych momentów w życiu. Jeśli tylko mu zdrowie pozwala, jeździ na obchody do Warszawy i odwiedza groby kolegów na cmentarzu na Powązkach. „Podkreśla też zawsze, że nie jest bohaterem, tylko po prostu znalazł się przypadkiem w wirze wojny”, dodaje Ogorzałek. ■

KWARTALNIKBELLONA.PL

KWARTALNIK BELLONA

PISMO NAUKOWE
TRADYCJA POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ
OD 1918 ROKU

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO POLSKIE

Nasza interpretacja –
Wasze źródła

Samotność długodystansowca

ARCH. ANDRZEJA NUSBEKA

HISTORIA PEWNEGO ZDJĘCIA

Brat Grodzki odbiera nagrodę po wygraniu biegu z Kusocińskim (jest też na zdjęciu).

Fotograf, który wykonał to zdjęcie, miał szczęście uchwycić w kadrze swego aparatu *ludzi wybitnych, zasłużonych zarówno dla sportu, jak i Wojska Polskiego.*

Na odwrocie zdjęcia zapisano: „Brat Grodzki odbiera nagrodę, po wygraniu biegu z Kusocińskim (jest też na zdjęciu)". Istotnie, Janusz Kusociński stoi wśród oficerów w głębi bramy, w białej sportowej koszulce. Oficer, który zwycięzcy wręcza nagrodę, to gen. Władysław Anders. Kusociński przegrał rywalizację z nie byle kim. Roman Grodzki (1908–2000) wprawdzie największe sukcesy odnosił w chodzie sportowym (w 1931 roku został mistrzem Polski), ale był też utalentowanym piłkarzem i biegaczem, czego zresztą dowodzi to zdjęcie.

Jego karierę sportową przerwało nagle tragiczne wydarzenie. Grodzki tak kochał swą narzeczoną, że przyrzekł sobie, iż nigdy nie zwiąże się z żadną inną kobietą. Kiedy jego wybranka zachorowała i zmarła, lekkoatleta wstąpił do zakonu franciszkanów w Niepokalanowie. Jako franciszkanin przyjął imiona Cyprian Maria. Początkowo pracował jako reporter franciszkańskiego „Małego Dziennika". Był nawet sprawozdawcą tej gazety na Igrzyskach Olimpijskich w Berlinie w 1936 roku. Dwa lata później został osobistym sekretarzem ojca Maksymiliana Kolbego. 19 września 1939 roku ojciec Grodzki znalazł się w grupie franciszkanów aresztowanych przez gestapo. Osadzono go w obozie w Ostrzeszowie, a 8 grudnia niespodziewanie zwolniono do domu. Po wojnie pracował jako katecheta i redaktor „Gościa Niedzielnego". PK ■

Żołnierz, ornitolog, łgarz, morderca

Uważany za bohatera wojennego, błyskotliwy oficer wywiadu brytyjskiego stał się jedną z inspiracji dla postaci Jamesa Bonda. Po latach wyszło na jaw, że w rzeczywistości był notorycznym kłamcą, a nawet mordercą. Richard Meinertzhagen – bohater imperium brytyjskiego.

ROBERT SENDEK

O życiu płk. Richarda Meinertzhagena można opowiadać bez końca. Podczas długiej służby w armii brytyjskiej przeżył podobno tyle, że wystarczyłoby na kilka biografii. Już za życia był uznawany za żywą legendę. Ekscentryk, od młodych lat pasjonujący się ornitologią, a jednocześnie błyskotliwy i skuteczny oficer brytyjskich wojsk kolonialnych. Pracował w wywiadzie, przeszedł do legendy jako mistrz dezinformacji. Taka jest oficjalna wersja. Prowadzone po latach badania nad osiągnięciami Meinertzhagena doprowadziły jednak do odkrycia faktów, które rzuciły się cieniem na tę postać, uważaną za bohatera brytyjskiej epoki kolonialnej. Rzeczywiście, Meinertzhagenowi można pozazdrościć szerokich zainteresowań, pasji podróżniczej, operatywności i skuteczności w działaniu. Problem w tym, że duża część jego przygód i osiągnięć, które z zapałem opisywał w pamiętnikach, najpewniej była po prostu zmyślona. Rzeczywiście, w manipulowaniu był dobry.

Podstępy Richarda Meinertzhagena miały pomóc żołnierzom brytyjskiego generała EDMUNDA ALLENBY'EGO w przełamaniu w 1917 roku tureckich systemów obronnych na linii Gaza–Beer Szewa.

PASJA I SŁUŻBA

Richard Meinertzhagen wywodził się z bogatej i wpływowej brytyjskiej rodziny. Jego ojciec był emigrantem z Niemiec, matka zaś Angielką. Od najmłodszych lat Richard obracał się wśród brytyjskiej elity, znał m.in. filozofa Herberta Spencera, od którego zaraził się pasją ornitologiczną. W 1899 roku wstąpił do wojska i jako żołnierz został wysłany najpierw do Indii, potem Birmy, wreszcie do Kenii. Podczas swych podróży miał niezwykłą możliwość obserwowania takich gatunków ptaków, które podówczas były nieznane europejskiej nauce.

Po wybuchu I wojny światowej Meinertzhagen działał jako oficer wywiadu we wschodniej Afryce, potem przeniesiono go na Bliski Wschód. Był to czas rywalizacji mocarstw w tym regionie. W początkach I wojny światowej Brytyjczycy opanowali Egipt, zamieniając go w swój protektorat. Kolejnym celem miała być Palestyna. Armia brytyjska chciała wyprzeć stamtąd dotychczasowych gospodarzy, czyli Turków osmańskich, pozostających w sojuszu z Niemcami. Do dużych walk na tym terenie doszło wiosną 1917 roku. Wojska brytyjskie zatrzymały się wówczas na dobrze bronionej przez przeciwnika linii Gaza–Beer Szewa. Opór Brytyjczykom stawiała armia turecka, wspierana przez wojska państw centralnych. Walki były bardzo zacięte, ale nie przyniosły rozstrzygnięcia. Pierwsza i druga bitwa o Gazę wiosną 1917 roku zakończyła się dla Brytyjczyków niepowodzeniem i dużymi stratami. W czerwcu dowództwo brytyjskie objął gen. Edmund Allenby, który przed kolejnym atakiem zreorganizował wojska. W zwycięstwie walnie miał mu dopomóc Richard Meinertzhagen dwoma genialnymi konceptami.

ZGUBIONY PLECAK

Widząc nieskuteczność dotychczasowych operacji w Palestynie, Meinertzhagen wpadł na pomysł, aby przed kolejnym szturmem właściwie „przygotować" sytuację. Sposobem na przełamanie frontu miała być dezinformacja. Chodziło o osłabienie czujności wroga i niespodziewany atak na słabiej bronionym odcinku. Należało tylko podsunąć przeciwnikowi spreparowane informacje. Według relacji Meinertzhagena odbyło się

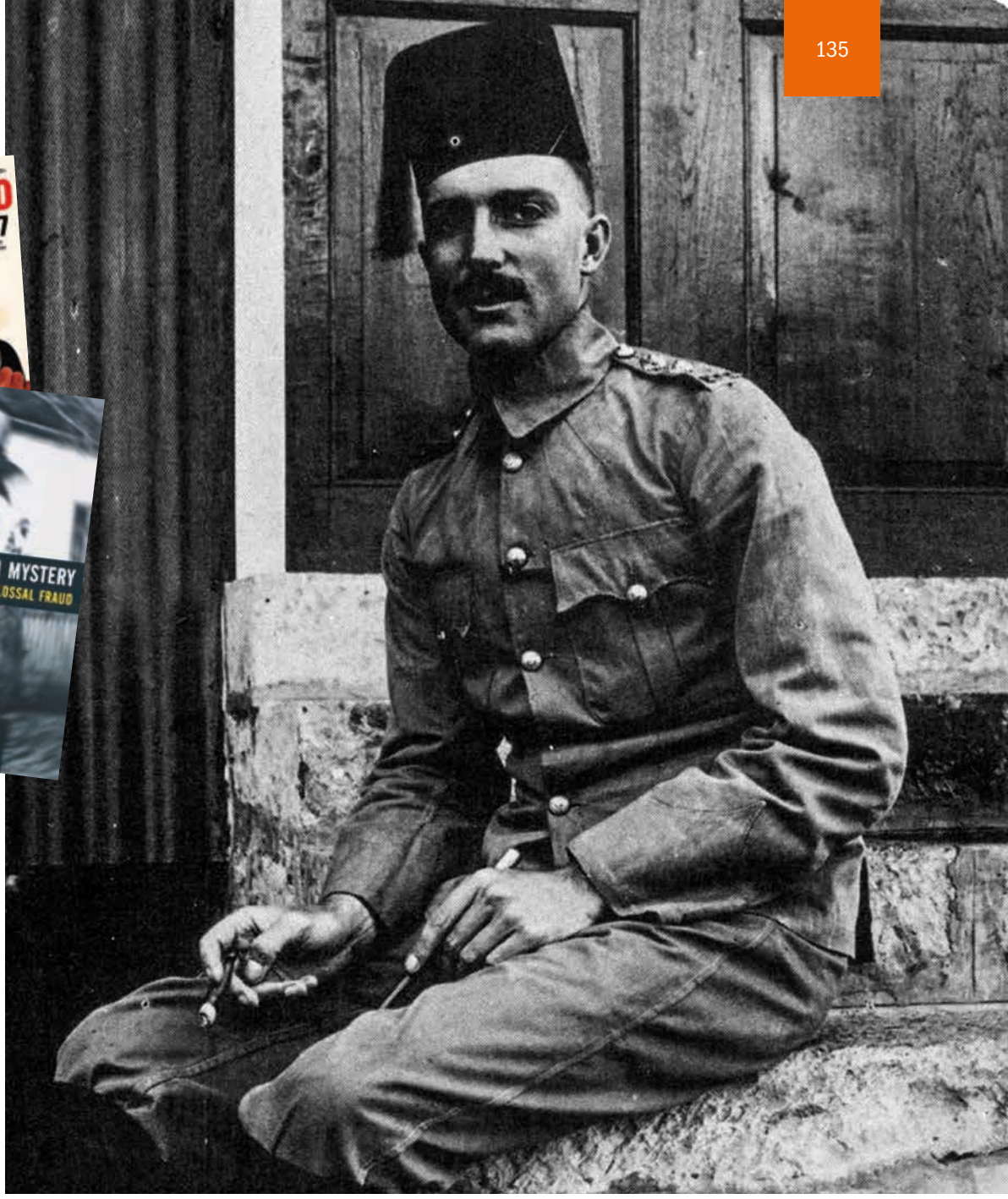

Brian Garfield we wstępie do swej książki zatytułowanej „Zagadka Meinertzhagena: Życie i legenda monstrualnego oszusta" zaznacza, że w młodości uważał Meinertzhagena za prawdziwego herosa. Badania, które podjął, zweryfikowały jednak tę opinię.

to w następujący sposób: podczas patrolu kawaleryjskiego oficer osobiście zbliżył się do linii przeciwnika. Gdy żołnierze osmańscy ruszyli za nim w pościg, Meinertzhagen rzucił się do ucieczki. W trakcie pogoni, raniony, niby przypadkiem zgubił karabin oraz plecak. Znajdowały się w nim sfałszowane dokumenty, dotyczące m.in. rozmieszczenia oddziałów brytyjskich, wskazane zostały daty i kierunki przygotowanego natarcia. Dla zwiększenia wiarygodności umieszczono w plecaku prywatne listy, zdjęcia oraz dużą sumę pieniędzy. Wszystko po to, by przeciwnik chwycił haczyk. Plan się udał, co ułatwiło Brytyjczykom atak, Beer Szewa została zdobyta.

Koncept wszedł następnie do anglosaskich podręczników wojskowości jako przykład udanej akcji dezinformacyjnej i był inspiracją dla wywiadu brytyjskiego w późniejszym okresie, np. na potrzeby operacji „Mincemeat" w trakcie II wojny światowej. Podrzucono wówczas Niemcom zwłoki brytyjskiego żołnierza z kompletem dokumentów sugerujących, że w 1943 roku alianci planują inwazję na Bałkany, a nie na Sycylię. Stąd wzięło się określenie „plecak Meinertzhagena" (Meinertzhagen's haversack) lub „fortel Meinertzhagena" (Meinertzhagen's ruse), pojawiające się w wielu angielskich opracowaniach historycznych.

ODURZYĆ PRZECIWNIKA

Jest jeszcze jedna interesująca historia z tego samego okresu wojny w Palestynie opisana przez Meinertzhagena w pamiętnikach. Otóż któregoś dnia wywiad brytyjski dowiedział się od pojmanego żołnierza, że w tureckim obozie brakuje tytoniu. Dało się to wykorzystać: Meinertzhagen

kupił dużą ilość papierosów, umieścił między nimi ulotki namawiające przeciwnika do poddania się, a następnie polecił przerzucić papierosy na drugą stronę frontu. Turcy wypalili papierosy z przyjemnością, ulotki zaś wykorzystali ponoć w toalecie. To była jednak tylko część planu. Kilka dni później Meinertzhagen nakazał ponownie zrzucić papierosy na stanowiska przeciwnika. Turcy przyjęli ten dar z entuzjazmem, dziwiąc się głupocie Anglików. Dowcip polegał na tym, że tym razem podrzucone papierosy nasączone były opium. Meinertzhagen w swych pamiętnikach opisuje, że sam wypalił jeden z takich papierosów: „Były naprawdę mocne. Efekt był pierwszorzędny: utrata energii, piękne sny i całkowita niezdolność do działania lub myślenia". Brytyjczycy bez problemu zajęli pozycje zajmowane przez niezdatne do walki wojska tureckie.

Pomysłowe, prawda? Nic dziwnego, że takie koncepty błyskawicznie przechodziły do legendy, a Meinertzhagen wyrastał na bohatera, będącego ucieleśnieniem zalet brytyjskiego żołnierza. W takim właśnie duchu pisana była jego pierwsza biografia, autorstwa Johna Lorda, opublikowana w 1970 roku, trzy lata po śmierci pułkownika. Miała charakterystyczny tytuł „Obowiązek, honor, imperium". Dla Iana Fleminga, który Meinertzhagena poznał osobiście, był on jedną z inspiracji do stworzenia postaci genialnego szpiega – Jamesa Bonda.

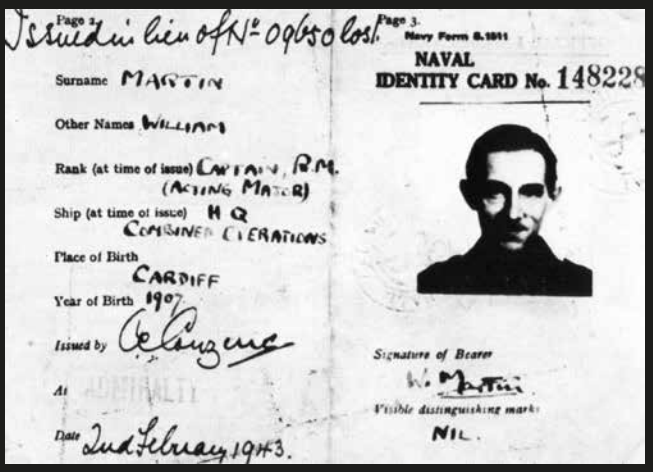
Page 2 Page 3. Navy Form S.1011

NAVAL IDENTITY CARD No. 148228

Surname MARTIN

Other Names WILLIAM

Rank (at time of issue) CAPTAIN, R.M. (ACTING MAJOR)

Ship (at time of issue) H Q COMBINED OPERATIONS

Place of Birth CARDIFF

Year of Birth 1907

Issued by

At

Date 2nd February 1943.

Signature of Bearer

Visible distinguishing marks NIL.

Podczas operacji „Mincemeat" w czasie II wojny światowej alianci podrzucili Niemcom zwłoki fikcyjnego brytyjskiego żołnierza majora Williama Martina, z kompletem dokumentów sugerujących, że w 1943 roku planowana jest inwazja na Bałkany, a nie na Sycylię. Na zdjęciu fałszywa legitymacja Martina.

LEGENDA W RUINIE

Meinertzhagen był pasjonatem ornitologii. Z wielkim upodobaniem obserwował ptaki, opisywał nowe gatunki, sporządzał ich rysunki, gromadził wypchane egzemplarze. Do dzisiaj uważany jest za jednego z pionierów brytyjskich badań ornitologicznych, autora wielu publikacji o dużej wartości naukowej. Zgromadził ogromną kolekcję wypchanych ptaków, która ostatecznie znalazła się w Muzeum Historii Naturalnej w Tring. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zajęto się katalogowaniem i opisywaniem ornitologicznego dorobku pułkownika, wyszła na jaw ogromna skala jego manipulacji i oszustw. Okazało się, że w kolekcji wiele egzemplarzy zostało po prostu skradzionych z innych zbiorów, przede wszystkim z londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej. To był początek upadku legendy. Późniejsi badacze, zafascynowani postacią i czynami brytyjskiego herosa, zaczęli odkrywać kolejne rysy na jego wizerunku.

Brian Garfield we wstępie do swej książki zatytułowanej „Zagadka Meinertzhagena: Życie i legenda monstrualnego oszusta" („The Meinertzhagen Mystery: The Life and Legend of a Colossal Fraud", 2007) zaznacza, że w młodości uważał Meinertzhagena za prawdziwego herosa. Badania, które podjął, zweryfikowały jednak tę opinię. Kopalnią wiedzy o życiu i działalności Meinertzhagena – ale także koronnym dowodem manipulacji – są jego dzienniki, wydane w 1959 i 1960 roku. Spisywał je ponoć na bieżąco, podczas podróży i działań wojennych. Być może to prawda, ale podobnie jak ze słynnym „jajeczkiem częściowo nieświeżym", prawda szczególnego rodzaju. Zestawiając ze sobą dokumenty i wspomnienia uczestników poszczególnych wydarzeń, Garfield ustalił, że opowieści Meinertzhagena są mocno podkoloryzowane. Wyszło przy tym na jaw, że sfałszowana została np. słynna historia z plecakiem. Wprawdzie Meinertzhagen był w tym czasie na linii frontu, jednak to nie on „zgubił" słynny plecak. W czasach, gdy większość uczestników prawdziwych wydarzeń już nie żyła, całą zasługę Brytyjczyk przypisał sobie. Podobnie było z opiumowanymi papierosami. Historia, choć niezwykle malownicza, okazała się niewarta funta kłaków, bowiem poza pułkownikiem nie potwierdził jej absolutnie nikt.

Kopalnią wiedzy o życiu i działalności Meinertzhagena – ale także koronnym dowodem manipulacji – są jego dzienniki, wydane w 1959 i 1960 roku. Spisywał je ponoć na bieżąco, podczas podróży i działań wojennych.

Najgorsze jednak było to, że w lipcu 1928 roku Meinertzhagen najprawdopodobniej zastrzelił swoją żonę Annę. Oficjalna wersja mówi, że stało się to w wyniku nieszczęśliwego wypadku. Garfield dowodzi jednak, że wszystko wskazuje na świadome działanie Meinertzhagena, który miał zarówno motyw, okazję, jak też możliwość dokonania tej zbrodni. Nigdy jednak nie został za nią rozliczony. ■

KRZYSZTOF KUBIAK

Skradziony wojenny grób

Brytyjski okręt podwodny „Poseidon” nie wyróżniał się niczym niezwykłym. Zbudowany w latach 1928–1930 należał do typu określanego jako Parthian i był konstrukcją charakterystyczną dla swojej epoki. Przy wyporności nawodnej 1500 t i podwodnej 2070 t zaliczano go wówczas do jednostek dużych. Chociaż banderę na okręcie podniesiono w czasie pokoju, nie dane mu było cieszyć się długą służbą. 9 czerwca 1931 roku, przydzielony do Floty Azjatyckiej, odbywał rutynowe ćwiczenia w asyście bazy pływającej „Marazion” w odległości 20 Mm od chińskiego Weihai.

Z nieustalonych powodów, mimo niskiego stanu morza i dobrej widzialności, brytyjski okręt podwodny zderzył się z chińskim frachtowcem „Yuta”. „Poseidon” zaczął błyskawicznie pogrążać się w toni. 31 członków załogi zdołało wyskoczyć do wody, ale 26 zostało uwięzionych we wnętrzu wraku, który ostatecznie zaległ na głębokości około 40 m. Ośmiu marynarzom udało się później wydostać dzięki wprowadzonym do użytku zaledwie dwa lata wcześniej aparatom ewakuacyjnym Davisa, ale dwóch z nich zmarło na skutek choroby kesonowej wywołanej zbyt szybkim wynurzaniem. Dla pozostałych marynarzy Royal Navy „Poseidon” stał się zbiorową mogiłą. Ta dramatyczna historia szybko poszła w zapomnienie, pamięć o niej zachowała się jedynie wśród niewielu ocalonych i rodzin tych, którzy polegli.

Stan taki trwał do roku 2005. Wtedy to amerykański dziennikarz posługujący się językiem chińskim przypadkowo odnalazł w elektronicznej wersji hobbystycznego czasopisma informację o tym, że wrak „Poseidona” już… nie istnieje. Został on zlokalizowany przez Chińczyków na początku lat siedemdziesiątych poprzedniego stulecia. W roku 1972 brytyjską jednostkę podniesiono i prawdopodobnie za pomocą pontonów odprowadzono do Weihai, a następnie zezłomowano.

Te informacje zbulwersowały wielu Brytyjczyków, zwłaszcza środowiska związane z marynarką wojenną. Nie chodziło o tajemnicę wojskową, bo jakie sekrety można było wydobyć z czterdziestoletniego wraku.… Kluczową kwestię stanowił sposób potraktowania szczątków marynarzy. Pekin początkowo całą sprawę ignorował, choć z drugiej strony przedsięwzięcie nie było już wówczas utajnione, gdyż czasopismo będące źródłem wiedzy Amerykanina znajdowało się w powszechnym obiegu. Czym innym jest jednak prasowy artykuł, a czym innym zajęcie oficjalnego stanowiska przez władze. Ostatecznie Chińczycy przyznali, że wrak podnieśli i zezłomowali, przy czym stwierdzili, że w jego wnętrzu nie znaleziono ludzkich szczątków.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia. Po co Chińczycy podnosili wrak okrętu prezentującego poziom techniczny początku lat trzydziestych XX wieku? Większość osób zajmujących się tym zagadnieniem twierdzi, że było to po prostu bardzo realistyczne ćwiczenie świeżo utworzonych sił ratowniczych floty. Pojawiają się jednak opinie, że w ówczesnej sytuacji, gdy konflikt chińsko-sowiecki przeszedł już w fazę ograniczonej, ale jednak konfrontacji zbrojnej, wobec całkowitego odcięcia od pomocy technicznej nawet przestarzałe rozwiązania brytyjskie mogły dostarczyć chińskim inżynierom-okrętowcom wielu cennych wskazówek. Nie wydaje się, by wątek ten można było całkowicie lekceważyć, choć jego weryfikacja może okazać się niesłychanie trudna. ■

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ LUDZIE

KADRY PAMIĘCI

To opowieść o stracie i żałobie, która trwa – mimo upływu lat.

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

MICHAŁ PAĆKO

Gdy postanowił pokonać na rowerze trasę z Los Angeles do Nowego Jorku (5600 km), chciał pokazać kolegom, że sport i aktywność fizyczna pozytywnie wpływają na rehabilitację. Pedałując zawzięcie wśród ciągnących się setkami kilometrów pól kukurydzy, plut. Michał Paćko nie wiedział jeszcze, że zaledwie kilka miesięcy po powrocie do kraju ruszy z kolejnym projektem. Tym razem żołnierze polegli na misjach będą aktorami drugiego planu. Bohaterkami zostaną ich matki.

TRAUMA PO MISJI

Plut. Michał Paćko, który dziś służy w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych na stanowisku zdolny z ograniczeniami, od dawna interesuje się fotografią. Gdy jednak trzy lata temu wziął udział w warsztatach dla weteranów, odkrył, że świat widziany przez obiektyw aparatu wygląda inaczej. Z tych zajęć zapamiętał zdjęcie prezentowane na poplenerowej wystawie: kapliczka zrobiona z kłosów zboża na tle pochmurnego nieba. „Fajna kompozycja. To może być obraz polskiej wsi", pomyślał. Szybko się przekonał, że od drzew, kapliczek i ptaków bardziej ciekawią go ludzie. Zanim jednak wyruszył z aparatem w teren, przy wsparciu DGRSZ zorganizował rowerowy rajd, aby uczcić pamięć kolegów, którzy nie wrócili z Afganistanu.

W ciągu trwającej 13 lat misji ISAF (International Security Assistance Force) poległo 44 polskich żołnierzy. Plut. Paćce dopisało żołnierskie szczęście – przeżył. Mina pułapka, zdetonowana pod rosomakiem, którym dowodził, „tylko" uszkodziła mu kręgosłup. Przez kilka lat po powrocie z misji nie potrafił też poradzić sobie z traumatycznymi wspomnieniami. Uporczywie powracało pytanie: dlaczego podczas powrotu patrolu do bazy podjął decyzję o zmianie trasy? Dlaczego wybrał krótszą drogę, chociaż wcześniej planował wracać dłuższą, ale bardziej uczęszczaną? Wyrzucał sobie, że gdyby tak nie postąpił, rosomak nie wyleciałby w powietrze. Do kraju wrócił z poczuciem winy – czuł się odpowiedzialny za to, że trzech kolegów zostało rannych. W końcu lekarze stwierdzili, że cierpi na PTSD. „Pomogło mi leczenie w szpitalu, ale obrazy z misji i tak powracały", wspomina Michał Paćko. Ciągle miał przed oczami rannego kolegę, którego po wybuchu miny pułapki wyciągał z przedziału kierowcy w rosomaku. Wyobraźnia podsuwała mu też wizję afgańskiego cywila, który podczas ostrzału wszedł na linię ognia.

Na terapii krok po kroku uczył się, jak żyć ze wspomnieniami, aby nie wywoływały ataków paniki czy lęku. W tym powrocie pomogła mu także jazda na rowerze. Złe emocje znalazły ujście w sporcie. Najpierw przejechał 1300 km z Nicei do Barcelony wzdłuż Lazurowego Wybrzeża. Potem namówił żonę na rowerową eskapadę z północnych Włoch na Sycylię – wspólnie pokonali 1640 km. Postanowił też wykorzystać tę pasję, aby upamiętnić polskich żołnierzy, którzy zginęli podczas misji w Afganistanie. Wspólnie z dwoma weteranami zdecydowali, że przejadą z zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych na wschodnie. Na tę wyprawę plut. Michał Paćko wyruszył wspólnie ze st. kpr. Sebastianem Stępniakiem z 32 Dywizjonu Rakietowego Obrony Powietrznej, oraz plut. Adamem Lewkowskim, spadochroniarzem 6 Brygady Powietrznodesantowej, rannym w 2009 roku w trakcie wymiany ognia z rebeliantami.

„To żołnierska pamięć", mówi Michał Paćko, pytany, dlaczego fotografuje matki poległych żołnierzy.

RAJD PRZEZ STANY

Przed wyjazdem weterani oświadczyli, że chcą pokazać kolegom pozytywny wpływ wysiłku fizycznego na proces rehabilitacji. „Naszym przedsięwzięciem pragniemy również promować działania na rzecz walki z PTSD, potocznie nazywanym przez żołnierzy stresem pola walki. To zaburzenie psychiczne jest niewidoczne dla otoczenia, ale co roku zbiera kolejne żniwo ofiar", mówili przed wyprawą.

MICHAŁ PAĆKO (2)

NIE ZAWSZE UDA SIĘ MU ZROBIĆ ZDJĘCIE, Z KTÓREGO BYŁBY ZADOWOLONY. WTEDY PRZYJEŻDŻA PONOWNIE.

PODCZAS KAŻDEGO SPOTKANIA SZUKA DETALU, KTÓRY ŁĄCZYŁBY MATKĘ Z SYNEM

Rajd trwał 44 dni. Każdy z nich poświęcony był upamiętnieniu jednego z 44 żołnierzy, którzy zginęli na misji w Afganistanie. Po drodze rowerowy team spotykał się z amerykańskimi weteranami. Michał, Sebastian i Adam opowiadali im o udziale polskich żołnierzy w zagranicznych operacjach. W parku w Las Vegas zasadzili drzewko pamięci. Tabliczka przy nim informowała o polskich żołnierzach oraz cywilach zabitych i rannych w Afganistanie. W Denver spotkali się z Polonią. W sali, gdzie opowiadali o swoich doświadczeniach, ustawiono 44 krzesła, na których umieszczono zdjęcia poległych kolegów.

W ostatnim etapie rajdu do weteranów dołączyły dwie wdowy ze Stowarzyszenia Rodzin Poległych „Pamięć i Przyszłość". „Dla nas ważne jest pielęgnowanie pamięci o naszych bliskich", przyznała wówczas Natalia Ambrozińska, żona kpt. Daniela Ambrozińskiego, który w 2009 roku zginął w Afganistanie.

PORTRETY MATEK

„Rodziny poległych żołnierzy pozytywnie odebrały rowerową inicjatywę. To było dla nas ważne, że doceniają nasze starania i wysiłek, aby uczcić pamięć kolegów", wspomina Michał Paćko. Po tym spotkaniu pojawił się pomysł kolejnego projektu. Żeby go zrealizować, Michał wrócił do fotograficznej pasji. Pomyślał o cyklu zdjęć. Jego bohaterkami byłyby matki żołnierzy, którzy nie wrócili z misji. „Dla każdej z nich czas się zatrzymał w dniu śmierci syna. Nadal ich opłakują. Postanowiłem o tym opowiedzieć za pomocą fotografii. Za każdym poległym kryje się historia. Wciąż bolesna, mimo że zaciera ją czas, który upływa, a życie toczy się dalej", mówi Michał Paćko.

Pierwszą osobą, do której zadzwonił, była Zofia Janik. Poznał ją kilka lat wcześniej na warsztatach psychologicznych. „Wzruszyła mnie jej historia", przyznaje. Jej syn budował dom. Kupił ziemię, a na niej po jakimś czasie wyrosły mury. Matka cieszyła się na emeryturę w spokojnej okolicy, w otoczeniu wnuków. Los miał jednak inne plany. 2 września 2013 roku st. chor. Sylwester Janik zmarł w szpitalu w Ramstein w wyniku obrażeń odniesionych kilka dni wcześniej podczas ataku rebeliantów na polską bazę w Ghazni.

Gdy Michał Paćko odwiedził Zofię Janik, najpierw pojechali na działkę, na której już stoi dom, potem na cmentarz, gdzie na grobie Sylwka zawsze leżą świeże kwiaty. Wspólnie przeglądali albumy ze zdjęciami. Pierwszy z dzieciństwa: na fotografiach mały chłopiec bawi się z rodzeństwem nad jeziorem. Drugi, wydany przez Centrum Weterana, poświęcony żołnierzom, którzy zginęli w Iraku i w Afganistanie. Najważniejszy element stanowiła jednak opowieść kobiety. Zdjęcia, które zrobił wówczas Michał, były tylko dodatkiem. Siedzieli w pokoju stołowym, z portretu na ścianie patrzył na nich st. chor. Sylwester Janik. Do ramy obrazu matka doczepiła pocisk, podobny do tych, które na misji zabijały polskich żołnierzy. „Całym sercem wspieram inicjatywę Michała. Bardzo chcę, aby pamięć o moim synu przetrwała", mówi Zofia Janik.

Nie zawsze uda się mu zrobić zdjęcie, z którego byłby zadowolony. Czasem pozującemu trudno zapomnieć o obecności aparatu. „Muszę uszanować emocje towarzyszące naszemu spotkaniu, ale je także chciałbym uchwycić w kadrze", podkreśla Michał. Zdarza się, że wybierze za szeroki obiektyw i – jak

PLUT. MICHAŁ PAĆKO

ARCH. MICHAŁA PAĆKI (2)

RAJD PO USA TRWAŁ 44 DNI. KAŻDY Z NICH POŚWIĘCONY BYŁ UPAMIĘTNIENIU JEDNEGO Z 44 ŻOŁNIERZY, KTÓRZY ZGINĘLI NA MISJI W AFGANISTANIE. PO DRODZE ROWEROWY TEAM SPOTYKAŁ SIĘ Z AMERYKAŃSKIMI WETERANAMI

mówi – „kompozycja się rozjeżdża". Wtedy przyjeżdża ponownie. Podczas każdego spotkania szuka detalu, który łączyłby matkę z synem. Może to być album fotograficzny z czasów dzieciństwa, medalion ze zdjęciem syna, który kobieta nosi na szyi, albo – jak w wypadku sierż. Szymona Sitarczuka – zegarek, który miał na ręku, gdy 18 sierpnia 2011 roku w trakcie patrolu w prowincji Ghazni zabił go ajdik.

Pomysł, aby zachować pamięć o synach, ale na fotografiach przedstawić ich matki, spodobał się także Krystynie Ambrozińskiej. Ona, podobnie jak inne kobiety w żałobie, ma w domu kącik pamięci poświęcony synowi. Są tam jego zdjęcia z dzieciństwa, z zagranicznych wyjazdów oraz z pogrzebu, widokówka z pozdrowieniami z Iraku, którą jej wysłał, fotografie kilkuletniej wnuczki, która straciła ojca. Jednym z ważniejszych eksponatów jest nóż. Przyleciał z Afganistanu po śmierci Daniela. Podobno jednym pociągnięciem można obciąć nim głowę, dlatego leży głęboko ukryty. W czasie pierwszej wizyty u Krystyny Ambrozińskiej Michałowi Paćce nie udało się zrobić dobrego zdjęcia, ale jest przekonany, że kolejna długa rozmowa sprawi, że taka fotografia powstanie.

„To żołnierska pamięć", mówi Michał Paćko, pytany, dlaczego fotografuje matki poległych żołnierzy. „O ich synach pamiętamy kilka razy w roku podczas obchodów różnych świąt, przez pozostałe 360 dni matki pozostają same ze swoim bólem". Chciał, aby przemówiły na jego fotografiach. To opowieść o stracie i żałobie, która trwa – mimo upływu lat.

Odwiedziny z aparatem fotograficznym u matek poległych żołnierzy to także terapia dla Michała. Nie wracają czarne myśli, gdy koncentruje się na działaniu. Tak jak żołnierz na misji, który skupia się na wykonaniu zadania, a nie myśli o tym, że może zginąć. On ma świadomość, że mógł znaleźć się na miejscu poległych kolegów.

Projekt Michała Paćki spodobał się płk. Szczepanowi Głuszczakowi z Wojskowego Centrum Edukacji Obywatelskiej. Pułkownik zaproponował, aby 21 grudnia z okazji Dnia Pamięci o Poległych na Misjach zorganizować wystawę fotografii matek żołnierzy. „Centrum Weterana jest gotowe do wydania w 2020 roku albumu złożonego z wystawowych zdjęć", deklaruje z kolei płk Leszek Stępień, dyrektor tej placówki. ■

Ostatnia misja prezydenta

Z Janem Tarczyńskim
o fenomenie rządu polskiego na uchodźstwie oraz przekazaniu do Polski insygniów władzy prezydenckiej rozmawia Anna Dąbrowska.

W tym roku mija setna rocznica urodzin Ryszarda Kaczorowskiego, ostatniego prezydenta II RP. Przez 20 lat był pan jego najbliższym współpracownikiem. Jak tłumaczy pan niespotykany w świecie fenomen 50 lat działalności polskich prezydentów na uchodźstwie?

Przed zakończeniem II wojny światowej, po pięciu latach walki Polskich Sił Zbrojnych u boku aliantów oraz armii podziemnej w kraju, Stany Zjednoczone, Wielka Brytania i Związek Sowiecki na konferencjach w Teheranie i Jałcie, bez wiedzy konstytucyjnego rządu polskiego rezydującego w Londynie, zdecydowały o losie Polski i jej granicach. Co więcej, przestały uznawać legalny rząd na rzecz tego narzuconego przez Związek Sowiecki. 25 czerwca 1945 roku rząd w Londynie odrzucił postanowienia mocarstw, stwierdzając, że „uprawnienia swoje przekaże jedynie rządowi, który będzie odpowiadał woli narodu wyrażonej w swobodnych wyborach". Prawnym fundamentem ciągłości konstytucyjnej władz państwowych i podstawą legalizmu wszystkich prezydentów oraz powoływanych przez nich rządów na obczyźnie był art. 24 Ustawy Konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 roku: „W razie wojny okres urzędowania Prezydenta Rzeczypospolitej przedłuża się do upływu trzech miesięcy od zawarcia pokoju". Już na cztery lata przed wojną zabezpieczono możliwość zachowania legalności i ciągłości władz naczelnych kraju, a więc podstawowych atrybutów funkcji państwa. Polityczne uzasadnienie tego działania – zniewolenie Polski przez ZSRR, nieprzeprowadzenie wolnych wyborów parlamentarnych w kraju oraz niezawarcie traktatu pokojowego między Polską a Niemcami – funkcjonowało przez 45 lat. Na obczyźnie rezydowało sześciu prezydentów spełniających swoje konstytucyjne zadania. Prezydent Ignacy Mościcki, ostatni sprawujący urząd w kraju, przekazał we wrześniu 1939 roku władzę prezydenta Rzeczypospolitej Władysławowi Raczkiewiczowi, działającemu we Francji i Wielkiej Brytanii. Po nim – już na ziemi brytyjskiej – urząd ten obejmowali: August Zaleski, Stanisław Ostrowski, Edward Raczyński, Kazimierz Sabbat i Ryszard Kaczorowski.

JAROSŁAW WIŚNIEWSKI

Ryszard Kaczorowski – harcerstwo i prezydentura. Co ważniejsze?

W służbie Polsce Pana Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego te dwa wątki splatają się ideowo. A bezinteresowne działanie na rzecz zniewolonego kraju ma głębokie podłoże harcerskie. Pięknie określa to jeden z tysięcy wpisów w księgach kondolencyjnych wyłożonych w Belwederze po katastrofie smoleńskiej w 2010 roku: „Odszedł Człowiek, który uchronił przed wynarodowieniem przynajmniej trzy pokolenia emigracyjnej młodzieży polskiej. I to nie jako Prezydent Rzeczypospolitej, bo był nim krótko, ale jako wieloletni działacz harcerski, niekwestionowany moralny autorytet w środowiskach polonijnych na wszystkich kontynentach". W roku stulecia urodzin Pana Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego warto podkreślić zakończenie przez niego dziejowej misji rezydentów Rzeczypospolitej na uchodźstwie – przekazanie przed 29 laty, do wolnego już kraju, demokratycznie wybranemu prezydentowi insygniów władzy prezydenckiej II RP.

RYSZARD ZEPECKI

Nadanie doktoratu honorowego Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego byłemu Prezydentowi RP Ryszardowi Kaczorowskiemu. Gratulacje składa Prezydent Rzeczypospolitej prof. Lech Kaczyński. 5 doktoratów honorowych wyższych uczelni oraz 41 honorowych obywatelstw miast i ziem Rzeczypospolitej to wynik społecznego zaufania do ostatniego prezydenta II RP.

Jakie znaczenie miała ta uroczystość dla polskich władz na obczyźnie?

Pieczęcie prezydenta RP, chorągiew Rzeczypospolitej, oryginał Konstytucji Kwietniowej z 1935 roku oraz ordery Orła Białego i Odrodzenia Polski były insygniami władzy prezydentów Polski międzywojennej. Przechowywane przez lata zniewolenia kraju przez reżim komunistyczny, były – jak mówił Pan Prezydent Ryszard Kaczorowski podczas uroczystości na Zamku Królewskim w Warszawie 22 grudnia 1990 roku – zarówno symbolem legalizmu państwowego władz polskich na emigracji, jak i wiary w odbudowę ducha narodu. Ich przekazanie pierwszemu po wojnie demokratycznie wybranemu polskiemu prezydentowi podkreślało ciągłość między II Rzecząpospolitą a wolną już Polską. Dla prezydenta i rządu polskiego na uchodźstwie uroczystość była wypełnieniem konstytucyjnej misji ostatniego prezydenta II Rzeczypospolitej w kraju Ignacego Mościckiego i płynącego stąd oświadczenia pierwszego prezydenta II RP na obcej ziemi Władysława Raczkiewicza, że władzę państwową przekaże w ręce następcy wybranego przez naród w wyborach wolnych od obcych nacisków.

Część władz polskich na uchodźstwie wahała się jednak, czy jest to właściwy moment, aby uznać misję w Rzeczypospolitej za zakończoną. Dlaczego?

Część Rady Narodowej, czyli emigracyjnego parlamentu i stronnictw politycznych, uważała, że rząd na uchodźstwie powinien działać aż do wolnych wyborów parlamentarnych w Polsce. Chciano też poznać rozwój sytuacji w kraju, w którym przecież stacjonowały jeszcze wojska sowieckie. Zwycięstwo kandydatów Solidarności przyjęto w Londynie z radością, ale rozmowy Okrągłego Stołu, które zdecydowały o kontraktowych wyborach, potraktowano jako sterowane przez komunistów.

Dlaczego zdecydowano się więc na przekazanie insygniów władzy prezydenckiej do Polski?

Wpłynęło na to kilka czynników. Działacze opozycji antykomunistycznej w kraju, szczególnie środowisko krakowskie, utrzymujący od lat ożywione kontakty z Panem Prezydentem, także jako ministrem do spraw krajowych w okresie poprzedzającym prezydenturę, uważali takie działanie za ważne i społecznie potrzebne wsparcie młodej demokracji. Pan Prezydent Ryszard Kaczorowski, mając dobre rozeznanie sytuacji w Polsce, uznał, że wybór prezydenta Polski dokonany przez naród w wolnych wyborach jest zbieżny z konstytucyjną misją prezydentów II RP i wspomnianą już zapowiedzią pierwszego z nich rezydującego poza krajem. Uznał także, że wybrany z woli narodu prezydent jest najwyższym przedstawicielem polskiego państwa, a jego misja została zakończona. Pan Prezydent Ryszard Kaczorowski nie chciał dopuścić do sytuacji, w której istniałoby równolegle dwóch polskich prezydentów. Moment, w którym przekazał insygnia władzy, był właściwy i podbudował tworzące się państwo, zarówno wewnętrznie, jak i na arenie międzynarodowej. Pewien wpływ miało także przekształcenie się emigracji – z niepodległościowej w ekonomiczną.

Jaką rolę w doprowadzeniu do uroczystości na Zamku Królewskim odegrał prof. Andrzej Stelmachowski, marszałek pierwszego powojennego Senatu?

Był organizatorem tej uroczystości, budował kontakty z polską emigracją, z rządem na uchodźstwie. Był też geniuszem mediacji, dzięki jego działaniom nie zerwano rozmów przygotowawczych pomiędzy delegacją Pana Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego a stroną prezydencką w Polsce, choć było już blisko takiej sytuacji.

Na czym polegały spory?

Dyskusje toczyły się wokół znaczenia tej ceremonii. Dla władz Rzeczypospolitej na uchodźstwie i działaczy antykomunistycznych w ojczyźnie, na czele z Wojciechem Ziembińskim, liderem

Stronnictwa Wierności Rzeczypospolitej, przekazanie insygniów powinno mieć wymiar rzeczywisty i podkreślać zachowanie ciągłości prawnej II i III RP. Pojawiła się koncepcja przywrócenia w kraju Konstytucji Kwietniowej i chwilowego objęcia urzędu głowy państwa przez Prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego. Oczekiwano deklaracji politycznej, że III RP nie jest postpeerelowską hybrydą, lecz kontynuacją Polski międzywojennej i zachowuje z nią ciągłość polityczną, prawną i moralną. Nie zostało to jednak przyjęte przez silny wówczas układ związany z odchodzącym systemem politycznym i prezydentem elektem, zwłaszcza szefem jego kancelarii. Kontrowersje wzbudzało też miejsce – ten historyczny akt miał się odbywać w Sejmie i bezpośrednio po złożeniu przez Lecha Wałęsę przysięgi prezydenckiej. To też nie zostało przyjęte. Kompromisowo wybrano Zamek Królewski, przedwojenną siedzibę prezydentów. Uroczystość sprowadzono natomiast do roli symbolicznej.

Z czego wynikały rozbieżności?

W Londynie uważano, że ta niechęć wynikała z obawy przed naruszeniem pewnego konsensusu, wypracowanego przy Okrągłym Stole, a zmiany prawne w Polsce, także i międzynarodowe, będące konsekwencją działań proponowanych przez emigrację i opozycję, mogłyby przynieść dla wielu beneficjentów poprzedniego układu politycznego niepożądane skutki. Postkomuniści wiedzieli o sile wpływu władz na uchodźstwie – m.in. przez emigracyjne agendy rządowe, instytuty i stowarzyszenia, a także związki towarzysko-rodzinne – na gospodarzy krajów, w których osiedlili się Polacy po II wojnie światowej. Byli też świadomi ogromnego zaangażowania – międzynarodowego, a także finansowego – emigracji niepodległościowej, na czele z rządem i prezydentem, w demontaż narzuconego przez ZSRR systemu politycznego w kraju. Budowa III RP z silnym udziałem prawno-politycznym depozytariuszy legalnej władzy państwowej II Rzeczypospolitej była dla nich nieakceptowalna.

Władza ludowa w Polsce zapewne wiedziała, że mimo wycofania po wojnie przez Zachód uznania dla legalnego rządu RP na uchodźstwie, po utworzeniu w kraju prosowieckiego Rządu Jedności Narodowej wiele państw nadal popierało ten legalny, a sympatie dla jego działań zachowały do upadku komunizmu w Polsce.

Jeszcze kilka lat po wojnie rząd polski w Londynie uznawały m.in. republiki środkowoamerykańskie, Kuba, Tajwan, Liban, Hiszpania i Irlandia, a do 1972 roku istniała ambasada rządu na uchodźstwie w Watykanie, natomiast w Argentynie, Brazylii i Szwajcarii działały wydziały konsularne poselstw zlikwidowanych po wycofaniu uznania dla rządu RP. Paszporty z orłem w koronie były jeszcze w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku uznawane w świecie nawet przez kraje, które nawiązały stosunki z rządem komunistycznym w Polsce! W państwach uznających rząd PRL-u działali nieoficjalni przedstawiciele rządu RP. Chcę podkreślić, że rządzący w krajach Zachodu musieli liczyć się z rzeszą Polaków na obczyźnie, która lobbowała za naszym państwem. Władze na uchodźstwie były symbolem sprzeciwu wobec komunizmu w Polsce, przypominały o sytuacji w kraju, mobilizowały społeczeństwo Zachodu do pomocy Polakom, m.in. w stanie wojennym wspierały finansowo podziemie niepodległościowe, tworzące się nawet w strukturach ludowego wojska.

Czy działania rządu na uchodźstwie zostały zakończone wraz z przekazaniem 22 grudnia 1990 roku prezydenckich insygniów?

Pan Prezydent Ryszard Kaczorowski podpisał 20 grudnia dekret rozwiązujący rząd RP na uchodźstwie i jednocześnie powołał komisję likwidacyjną z zadaniem zakończenia działalności instytucji rządowych na obczyźnie. Rada Narodowa w Londynie została rozwiązana po ukonstytuowaniu się w Polsce władz wybranych w powszechnych, wolnych wyborach.

Jak Ryszard Kaczorowski postrzegał swoją rolę w Polsce w kolejnych latach?

Był depozytariuszem majestatu przedwojennej Rzeczypospolitej, prezentował wzór postępowania byłych przywódców politycznych. Postawił sobie zadanie – wzmacniać jedność narodu i autorytet Polski w świecie, wykorzystując w tym doświadczenie zdobyte na emigracji. Co roku czynnie uczestniczył w setkach spotkań i imprez nieprzynoszących profitów, a niekiedy bardzo trudnych w realizacji, lecz promujących polskie dokonania, naukę i kulturę, odkłamujących przeszłość, dających satysfakcję z polskiej tożsamości. Działał w wymiarze interdyscyplinarnym – wychowania obywatelskiego i patriotycznego. Wykłady, odczyty, debaty publiczne, audycje telewizyjne i radiowe – zawsze non profit – były głównymi narzędziami realizacji tych działań. Choć nie był już prezydentem, traktowano go jak głowę państwa. Ludzie potrzebowali wzorców, a on był dla nich do końca swojego życia niepodważalnym autorytetem. ■

WIZYTÓWKA

DR JAN TARCZYŃSKI

Jest działaczem polskiej emigracji niepodległościowej w Wielkiej Brytanii, historykiem, publicystą, dziennikarzem, scenarzystą historycznych filmów dokumentalnych, dyrektorem Centralnej Biblioteki Wojskowej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W latach 1996–2010 był dyrektorem Biura byłego Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ryszarda Kaczorowskiego w Londynie. ■

DYBUK SPOD MONTE CASSINO

„Sprytny, ruchliwy, mało dokładny”, taką opinię Władysław Anders wystawił szefowi Referatu Filmowego 2 Korpusu Polskiego. Generał tym samym stworzył jedną z najtrafniejszych definicji geniusza, którym był adresat tych słów – Michał Waszyński.

PIOTR KORCZYŃSKI

„Dybuk”

Waszyński i Ava Gardner

„Wielka droga”

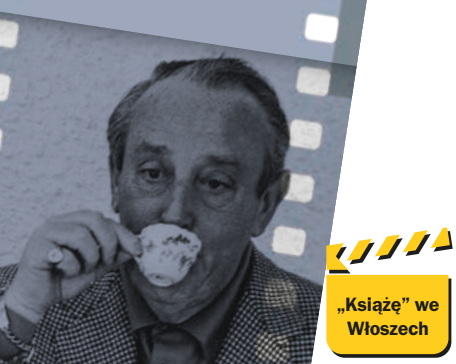

„Książę” we Włoszech

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE (3)

Naprawdę nazywał się Mosze Waks i urodził się w 1904 roku w rodzinie ortodoksyjnych Żydów w Kowlu. A zmarł jako „Il príncipe polacco” – polski książę Michael, w 1965 roku w Madrycie. Między tymi dwiema datami w jego życiu bezapelacyjnie dominowało kino. Przed wojną był uważany za jednego z najbardziej aktywnych polskich twórców. Równie swobodnie reżyserował zarówno komedie, jak i melodramaty. Jego filmy („Jego ekscelencja subiekt”, „Antek policmajster”, „Bohaterowie Sybiru”, „Znachor” czy „U kresu drogi”) cieszyły się ogromną popularnością wśród polskiej publiczności, a w historii światowego kina zapisał się przede wszystkim filmem „Dybuk”. To przejmujące studium opętania młodej kobiety przez demona, tytułowego dybuka z żydowskich legend. Co ciekawe, to dzieło po latach w pewien sposób prześladowało też jego twórcę.

MIEJSCE POSTOJU ADAMA I EWY

Zanim to nastąpiło, wybuchła wojna i jak wielu artystów żydowskiego pochodzenia, Waszyński uciekł przed Niemcami na wschód, gdzie został zagarnięty przez wkraczającą na polskie kresy Armię Czerwoną. Kiedy latem 1941 roku ogłoszono układ Sikorski-Majski, Waszyńskiemu, jako jednemu z nielicznych żydowskich artystów, udało się wstąpić do Armii Polskiej w ZSRS gen. dyw. Władysława Andersa.

Otrzymał przydział do Referatu Filmowego Armii Polskiej, stacjonującego pod Taszkentem, kierowanego przez por. Wiktora Ostrowskiego, znanego podróżnika i literata. Mimo prymitywnych warunków i braku podstawowych narzędzi filmowych (w referacie początkowo była tylko jedna zdezelowana kamera) polska ekipa, w której oprócz Waszyńskiego znaleźli się m.in. reżyser i scenarzysta Konrad Tom oraz operatorzy Seweryn Steinwurzel i Stanisław Lipiński, szybko mogła pochwalić się pierwszymi realizacjami filmowymi. W czasie pobytu Armii Polskiej w ZSRS Wyszyński wyreżyserował dokument „Od pobudki do capstrzyku", który ukazywał jeden dzień zesłańców i łagierników starających się zostać żołnierzami.

Kolejne filmy powstały już po ewakuacji armii na Bliski Wschód w 1942 roku. W Iranie Waszyński wyreżyserował fabularyzowany reportaż „Marsz do wolności". Po przeniesieniu się czołówki do Kairu, gdzie egipska wytwórnia udostępniła naszym filmowcom laboratorium i atelier, powstały kolejne filmy. Są to zrealizowane przez tandem Tom-Waszyński „Dzieci", „Generał Sikorski na Bliskim Wschodzie", a przede wszystkim „M.p. Adama i Ewy" (m.p. to skrót wojskowego terminu „miejsce postoju). W tym średniometrażowym filmie Waszyński wykorzystał materiały nakręcone przez czołówkę w ZSRS, Iraku i Egipcie. Tytuł oczywiście nawiązywał do biblijnych ziem, na których stacjonowali polscy żołnierze. Jak podkreślano w jednej z recenzji: „»M.p. Adama i Ewy« to bodaj pierwszy reportaż z armii bez defilad, trybuny, przecinania wstęgi, wbijania gwoździ i składania kamienia węgielnego". Obraz ten stanowiło wiele retrospektywnych migawek, a klamrą współczesną była rozmowa dwóch przyjaciół w kairskiej kawiarni, którzy wspominali, jak niedawno dostawali w kość na rosyjskich stepach i irackich piaskach.

MICHAŁ WASZYŃSKI NIE ZDECYDOWAŁ SIĘ PO WOJNIE WRÓCIĆ DO KRAJU. WE WŁOSZECH ZAJĄŁ SIĘ PRODUKCJĄ I PRACOWAŁ DLA NAJWIĘKSZYCH FILMOWYCH SŁAW TAMTYCH CZASÓW

WŁOSKIE KLIMATY

Gdy z Armii Polskiej na Bliskim Wschodzie wyodrębnił się 2 Korpus, Anders mianował Michała Waszyńskiego, choć miał on tylko stopień kaprala, szefem Referatu Filmowego. Dzięki temu powstał jeden z najoryginalniejszych dokumentów wojennych o Wojsku Polskim – „Monte Cassino". Ten film w większości kręcony był kamerą trzymaną w ręku, w tak modny dziś sposób, kiedy mamy do dyspozycji lekkie kamery. Wiosną i latem 1944 roku był to jednak nie lada wyczyn, do tego dokonany w czasie jednej z najkrwawszych bitew tej wojny.

Operator (najczęściej Stanisław Lipiński) kręcił materiał w czasie walki. Siedział na burcie czołgu lub w willisie w pobliżu strzelających dział. Jak pisał Stanisław Ozimek w „Filmie polskim w wojennej potrzebie": „Trudno ustalić, ile tu autentyku, a ile dokrętek robionych bezpośrednio po bitwie. Czasem są to ujęcia niosące w sobie akcenty symboliczne, jak polski czołg przejeżdżający gąsienicą przez hitlerowski hełm […]. W rozbłyskach huraganowej nawały ogniowej wyłaniają się skupione w oczekiwaniu twarze żołnierzy, sylwetki maskowanych dział i wozów bojowych. W dalekim tle rysują się kontury opactwa pod Monte Cassino". Recenzenci podkreślali mistrzostwo reżyserii Waszyńskiego i porównywali go m.in. do wielkiego Johna Hustona.

We Włoszech Waszyński zrealizował także jedyny na Zachodzie polski film fabularny „Wielka droga". W ten sposób wrócił do klimatów przedwojennego melodramatu. Jego akcja rozpoczyna się w Warszawie 1939 roku, a kończy w pierwszych dniach pokoju w Italii. Główny motyw stanowi historia żołnierza 2 Korpusu – Adama (w tej roli Albin Ossowski), który w bitwie pod Monte Cassino zostaje ranny i trafia do szpitala. Troskliwie opiekuje się nim skromna i niezbyt ładna sanitariuszka Jadwiga (Jadwiga Andrzejewska), która zakochuje się w Adamie i marzy, że kiedyś go poślubi. Niestety jej wybranka odnajdzie pierwsza narzeczona, piękna Irena (Renata Bogdańska, prywatnie żona gen. Andersa). Happy endem jest ślub Ireny i Adama. Ich wielka droga kończy się w Wiecznym Mieście, gdzie zaczynają nowe życie.

KSIĄŻĘ Z BAJKI

Michał Waszyński, podobnie jak bohaterzy „Wielkiej drogi", nie zdecydował się po wojnie wrócić do kraju. We Włoszech zrealizował dwa filmy, które przeszły jednak bez echa. Zrezygnował więc z reżyserii i zajął się produkcją filmową. W tej roli znowu odniósł sukces i pracował dla największych filmowych sław tamtych czasów. Był m.in. asystentem Orsona Wellesa podczas realizacji „Otella", kierownikiem artystycznym „Quo vadis" Mervyna LeRoya i „Rzymskich wakacji" Williama Wylera. Został producentem wykonawczym „El Cida" i „Upadku Cesarstwa Rzymskiego" Anthony'ego Manna. Zachowały się zdjęcia, na których Wyszyński pozuje z ówczesnymi ikonami kina, takimi jak Sophia Loren, Ava Gardner czy Audrey Hepburn. Sam Waszyński zaczął wówczas opowiadać, że jest polskim księciem.

Do tego stopnia zacierał swoją żydowską tożsamość, że – jak wspomina jego szofer – jeździł swym rolls-roycem po Rzymie w poszukiwaniu kopii swego największego dzieła w języku jidysz, czyli „Dybuka", by je wykupić i zniszczyć. Znajomym i współpracownikom opowiadał o pałacach rodzinnych pod Warszawą, o przyjaźni z Rudolfem Valentino… Był przy tym tak czarujący i dystyngowany, że nikomu nie przyszło do głowy podawać tych opowieści w wątpliwość. Książę Michael ożenił się z włoską hrabiną. Kiedy niespodziewanie umarł na zawał serca w wieku 61 lat, kronika filmowa we Włoszech relacjonowała w kinach przebieg uroczystości pogrzebowych. Paradoksalnie Waszyńskiego dziś pamięta się przede wszystkim dzięki „Dybukowi", choć włożył tyle wysiłku, żeby wymazać ten film ze swojego życiorysu. ■

XXI SELEKCJA

nabór i info: **www.combat56.pl**

26.06 - 1.07.2019

/ SELEKCJA

Organizator:

Partnerzy i Sponsorzy:

FUNDACJA ORLA STRAŻ

Zawsze można coś zrobić

Były oficer organizuje pomoc dla ofiar wojen na Bliskim Wschodzie.

ANNA DĄBROWSKA

Chcemy w taki sposób pomagać, aby osoby, które wspieramy, radziły sobie potem same", mówi kmdr ppor. rez. Bartosz Rutkowski, prezes fundacji Orla Straż, pomagającej ofiarom terroryzmu w północnym Iraku. Organizacja wspiera uchodźców wojennych, uwolnione osoby, które były przetrzymywane przez Państwo Islamskie, oraz rodziny powracające do wyzwolonych miejscowości.

O JEDNĄ TRAGEDIĘ ZA DUŻO

Bartek od dziecka pasjonował się historią wojskowości, jako nastolatek zaczął nurkować, skakać ze spadochronem i się wspinać. Po maturze zdecydował się na kierunek rozpoznanie w Wyższej Szkole Oficerskiej Wojsk Zmechanizowanych we Wrocławiu. Po Zmechu, jako doświadczonemu nurkowi, zaproponowano mu służbę w Ośrodku Szkolenia Nurków i Płetwonurków Wojska Polskiego. Służył też dwa lata w Dywizjonie Okrętów Wsparcia w Gdyni na ORP „Piast". „To była wspaniała przygoda", mówi.

Codziennie przed rozpoczęciem pracy miał zwyczaj siadać z herbatą i przeglądać wiadomości. Doskonale pamięta, to była środa 7 października 2015 roku. O 7.15 na jednym z portali internetowych przeczytał informację, że w wiosce niedaleko Aleppo ekstremiści Państwa Islamskiego torturowali, a następnie ukrzyżowali dwunastoletniego chrześcijańskiego chłopca. „Ta kolejna wiadomość o bestialstwie ISIS spowodowała, że byłem wściekły, a jednocześnie poczułem się bezsilny", opowiada. Pomyślał wtedy o swoich synach, z których starszy, Antek, był wtedy w wieku zamordowanego chłopca.

FUNDACJA ORLA STRAŻ wspiera uchodźców wojennych, uwolnione osoby, które były przetrzymywane przez Państwo Islamskie, oraz rodziny powracające do wyzwolonych miejscowości.

„Zastanowiłem się, co mogę zrobić, aby uratować choć jedno dziecko na Bliskim Wschodzie. Po pierwszej myśli, że nic nie da się zrobić, przyszła kolejna, że przecież mam pieniądze, możliwości, znam języki i mogę chociaż postarać się pomóc". Zdecydował, że odejdzie z wojska i będzie pomagał ofiarom terrorystów na Bliskim Wschodzie. O swoich planach opowiedział żonie. „Była w szoku, ale zaakceptowała moją decyzję".

Postanowił pojechać do Iraku, aby na miejscu ocenić, jaka pomoc jest tam najbardziej potrzebna. Złożył wypowiedzenie ze służby i 31 stycznia 2016 roku, po 22 latach w armii, zdjął mundur. Sześć dni później wyruszył do Iraku z legitymacją współpracownika jednej ze stacji telewizyjnych w kieszeni. „Była mi niezbędna, ponieważ jako osoba prywatna nie dostałbym się w miejsca, na których mi zależało, w zamian za nią przekazałem stacji darmowe materiały prasowe", tłumaczy Bartek.

W Iraku spędził dwa tygodnie. Jeździł po północy kraju i rozmawiał z uchodźcami. Widział dzikie

obozowiska, gdzie tysiące ludzi koczuje w lepiankach, schronach z blachy falistej czy namiotach z worków po ryżu. Jego przewodnikiem był Sfean Mando, syn jednego z przywódców klanu jezydów, który pomaga ofiarom terrorystów i ich rodzinom. „Jezydzi to wyznawcy religii synkretycznej, czyli łączącej cechy kilku innych wierzeń, m.in. islamu, chrześcijaństwa i zaratusztrianizmu", wyjaśnia oficer. Zamieszkują głównie tereny Iraku i Syrii i są prześladowani przez ekstremistów muzułmańskich.

FUNDACJA ORLA STRAŻ

FUNDACJA KUPIŁA MATERIAŁY I WYPOSAŻENIE NIEZBĘDNE DO OTWARCIA OKOŁO 50 WARSZTATÓW I PUNKTÓW USŁUGOWYCH

LUDOBÓJSTWO JEZYDÓW

W północnym Iraku rebelia dżihadystów rozpoczęła się w czerwcu 2014 roku. Terroryści zajęli Mosul i ogłosili powstanie samozwańczego kalifatu Państwo Islamskie. Na początku sierpnia bojownicy zaatakowali chrześcijańskie miasta na Równinie Niniwy. Po zajęciu Sindżaru 3 sierpnia rozpoczęli zabijać jezydów. W sumie blisko 10 tys. osób zostało zamordowanych lub porwanych przez dżihadystów jako niewolnicy, a tysiące uciekło w głąb kraju. Do dziś w niewoli znajduje się 3,5 tys. ludzi.

Bartek jeździł po obozach i słuchał historii: o uwolnionej dziewczynie, która była seksualną niewolnicą u islamistów, o żołnierzach jednostek broniących ludności cywilnej, którzy nie dostają żołdu, nie mają butów czy ubrań, o wracających z niewoli kobietach i dzieciach, które nie mają z czego żyć. Wrócił do Polski i założył fundację. Wspólnie z Fundacją Pomocy Dzieciom zebrali 12 tys. dolarów, które w Iraku rozdzielił pomiędzy kobiety wykupione z niewoli. Resztę środków przeznaczył na żywność, ubranie i czynsze dla rodzin chrześcijańskich żołnierzy – ochotników walczących z terrorystami. Wyposażył też trzy jednostki w apteczki, plecaki ratownicze i przywiózł z Polski ratownika, który przeprowadził dla żołnierzy szkolenie z ratownictwa pola walki.

Dziś licząca trzy osoby Orla Straż współpracuje z wieloma organizacjami i fundacjami z Polski i zagranicy.

„Okazało się, że w pracy fundacji przydaje mi się nabyta w wojsku umiejętność szybkiego podejmowania decyzji i znajomość logistyki, a także nurkowa zdolność działania pod ciśnieniem", uśmiecha się Bartek.

Od wyzwolenia północnego Iraku spod władzy dżihadystów fundacja pomaga rodzinom powracającym do zniszczonych domów. „W lipcu 2017 roku zapytaliśmy sołtysa miejscowości Karakosz, co jest potrzebne, aby ruszyła odbudowa miasta. Powiedział, że warsztaty ślusarski i spawalniczy. Wyposażyliśmy je w narzędzia. Dwie rodziny dostały źródło utrzymania, a kilka dni później zabrały się do pracy", opowiada Dariusz Celiński, sekretarz fundacji. Darek znał Bartka jeszcze z czasu służby w ośrodku szkolenia nurków. „Byłem tam instruktorem, a on szefem szkolenia i moim przełożonym", opowiada. Kiedy w 2010 roku odszedł na emeryturę, kontakt się urwał. Dwa lata temu w telewizji obejrzał wywiad z Bartkiem. Zaraz po emisji zadzwonił do niego z pytaniem, jak może pomóc. Tak trafił do fundacji. „Jesienią 2018 roku wróciłem w szeregi armii i jako podoficer sztabowy służę w 7 Pomorskiej Brygadzie Obrony Terytorialnej", mówi Dariusz Celiński.

W Orlej Straży tłumaczą, że Irakijczycy w większości chcą wrócić do wcześniejszego życia, pracować i utrzymywać rodziny. Trzeba im tylko pomóc zacząć. „Boją się, że świat przyzwyczai się, iż mieszkają w obozach i już nigdy nie będą inżynierami, rolnikami czy lekarzami, jak przed wojną", wyjaśnia Dawid Czyż, pracownik fundacji, który poznał Bartka w Iraku. Aby z nim pracować, przeniósł się z Częstochowy do Sopotu.

Do tej pory fundacja kupiła materiały i wyposażenie niezbędne do otwarcia około 50 warsztatów i punktów usługowych: sklepów, wypożyczalni narzędzi, punktów ksero, gabinetu lekarskiego, salonów fryzjerskich czy punktów krawieckich. „Kiedy w miejscowości działa ślusarz, lekarz czy sklep, ludzie zaczynają wracać", mówi Dawid. Inwestycje te pochłonęły średnio 1,5–2 tys. dolarów.

Ponadto, dzięki programowi polskiego rządu, w 2018 roku dostarczyli pieniądze na kupno owiec i kóz dla 80 rodzin, które wcześniej zajmowały się hodowlą. Z kolei dla jezydzkich kobiet wyzwolonych z rąk dżihadystów fundacja zorganizowała kursy szycia ręcznego i maszynowego oraz dziewiarstwa, a dla dzieci zajęcia edukacyjne oraz naukę angielskiego. Wspiera też odbudowę zniszczonej infrastruktury w północnym Iraku. Funkcjonuje już linia elektryczna w dwóch wsiach w regionie Sindżar, wyposażono kilkanaście szkół w Równinie Niniwy oraz udzielono pomocy w odbudowie kościoła w Bartelli. Fundacja przekazuje też pieniądze na materiały i narzędzia do budowy murowanych domów o powierzchni 30–40 m^2.

POKRZYWDZENI CZEKAJĄ

„W Polsce czasem pytają nas, dlaczego tam ludzie nie mogą sobie sami odbudować miast, tak jak my odbudowaliśmy kraj po wojnie. My jednak mieliśmy narzędzia, materiały i wsparcie z zewnątrz, a oni nie mają nic i bez pomocy nie ruszą", wyjaśnia Darek. Fundacja ma kolejne plany, m.in. myśli o otwarciu na północy kraju szkoły zawodowej kształcącej przyszłych mechaników, spawaczy, budowniczych czy krawców.

Jak zaznacza Dawid, ponad 93% środków idzie na pomoc w Iraku. Dotąd wydano na nią około 400 tys. dolarów. „Pieniądze dostajemy od osób prywatnych, organizujemy zbiórki na terenie całego kraju. Jeździmy na spotkania w kościołach, bibliotekach, szkołach czy domach kultury. Tylko dzięki hojności dobrych ludzi możemy pomóc pokrzywdzonym w Iraku", podkreśla Bartek. ■

KSIĄŻKA

Napisane przez życie

Z Sylwią Winnik
o emocjach zamkniętych w ciszy oraz strachu i odwadze rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.

Dlaczego napisała pani książkę na temat misjonarzy, którzy są przedmiotem hejtu w internecie?

„Tylko przeżyć. Prawdziwe historie rodzin polskich żołnierzy" powstała, żeby ten hejt zneutralizować. Jeśli po lekturze choć jedna osoba zmieni podejście do weteranów, to uznaję, że było warto. Otrzymałam mnóstwo wiadomości, że ta książka otwiera ludziom oczy. Kiedy poznałam pierwszą rodzinę, z którą miałam przeprowadzić wywiad, dotarło do mnie, że hejt w sieci nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

Dlaczego na spotkaniu promującym „Tylko przeżyć" powiedziała pani, że nie czuje się autorką tej książki?

To nieco przewrotne stwierdzenie, ale prawdziwe. Najpiękniejsze historie pisze życie. Reportaże zawarte w „Tylko przeżyć" nie powstałyby, gdyby nie rozmowy z moimi bohaterami: szczere, długie i często trudne.

Każdy rozdział jest historią o wyjeździe na misję i powrocie oraz o rodzinie. Co panią zaskoczyło w opowieściach żołnierzy i ich bliskich?

Zaskakujące były pierwsze rozmowy z żołnierzami. Mówili: „wyjechałem na misję, bo chciałem poczuć adrenalinę". Słuchałam historii ludzi wyjeżdżających na misje, a później borykających się z PTSD [zespół stresu pourazowego]. Godziny rozmów uświadomiły mi, że żołnierz to nie zawód, lecz służba, poczucie misji do wypełnienia. Zrozumiałam też, że oni potrzebują adrenaliny. Doszłam do wniosku, że cywil nie jest w stanie zrozumieć żołnierza. Zaskakujące było dla mnie także uświadomienie sobie, że wcale nie musi rozumieć. Wystarczy akceptacja i szacunek.

Rozmawiała pani także z żonami misjonarzy, które pozostały w domu i toczyły nie mniej ważną walkę niż mężowie – o utrzymanie rodziny.

One także były moimi bohaterkami. Ich głos w książce jest bardzo ważny. Chciałam pokazać rolę kobiety, żony i matki w życiu żołnierza. Miesiącami musiały one samotnie radzić sobie z niepewnością, ale również z codziennym życiem. W książce pokazuję te indywidualne walki. Nie były to bitwy tak niebezpieczne jak te w Afganistanie, ale równie ważne. Kobiety, które opowiedziały mi swoje historie, to niezwykle silne osoby. Jeden z moich rozmówców porównał swoją żonę do komandosa. Inny po powrocie z misji powiedział: „Boże, jak tu się ciężko żyje! Tam musiałem tylko przeżyć!". Podczas pracy nad książką zadawałam sobie dziesiątki pytań. Dlaczego żołnierz wyjeżdża i zostawia rodzinę? Co jest dla niego ważniejsze: rodzina czy wojsko? Czy warto jechać, ryzykując własne życie? Odpowiedzi można znaleźć w książce.

Sylwia Winnik, „Tylko przeżyć. Prawdziwe historie rodzin polskich żołnierzy", Znak, 2019.

Kiedy opowiadamy o misjach, zapominamy o dzieciach żołnierzy, które czuły się przez ojców porzucone…

To prawda. Wyjazd na misję powoduje spore obciążenie u całej rodziny, a nieobecność ojca najbardziej odbija się na dzieciach. Jednym z bohaterów książki jest Patryk, syn Dariusza, który opisuje swoje odczucia związane z misjami ojca. Łączy ich złożona relacja – chłopak ma żal do ojca, który ze względu na służbę poza granicami kraju zostawił go w trudnym okresie. Jest mu przykro, ale nie potrafi się z tym pogodzić.

Czy podczas rozmów, które pani prowadziła, zapadało także milczenie?

Tak, ale czasem wyrażało znacznie więcej niż słowa. Może zabrzmi to patetycznie, ale z ciszy można wyczytać mnóstwo emocji. Podobnie jest ze łzami. Nie tylko słucham słów moich rozmówców, lecz także staram się odbierać inne sygnały.

Do jakich refleksji chciała pani zmusić czytelnika?

Po pierwsze, mam nadzieję, że książka przyczyni się do zastanowienia się nad mocą słów. One budują, ale mogą także niszczyć. Po drugie, pamiętajmy, że w globalnym świecie każda wojna, tocząca się nawet na drugiej półkuli, jest poniekąd także naszą wojną. Wszyscy jesteśmy narażeni na niebezpieczeństwa. Po trzecie, szanujmy się. Brak szacunku i tolerancji doprowadza do wojen. ■

SYLWIA WINNIK jest absolwentką dziennikarstwa, autorką książek „Tylko przeżyć. Prawdziwe historie rodzin polskich żołnierzy" i „Dziewczęta z Auschwitz".

JACEK SZUSTAKOWSKI (4)

LAUR dla zwycięzców

Na Gali Sportu Wojskowego doceniono osiągnięcia sportowców w 2018 roku. Najlepszym przyznano wyróżnienia.

JACEK SZUSTAKOWSKI

St. szer. Jakub Krzewina

Kpt. Marcin Kołoszuk

Serca kibiców st. szer. Jakub Krzewina z wrocławskiego Wojskowego Zespołu Sportowego i Wojskowego Klubu Sportowego „Śląsk” zjednał sobie fantastycznym finiszem na ostatniej zmianie sztafety 4x400 m w Halowych Mistrzostwach Świata w Lekkoatletyce w Birmingham. W końcówce emocjonującego biegu wyprzedził prowadzącego Amerykanina i zapewnił Polakom złoty medal. Co więcej, biało-czerwoni wynikiem 3 min 1,77 s ustanowili nowy rekord świata pod dachem. Krzewinę docenili też trenerzy z wojskowych zespołów sportowych, którzy wybierali najlepszego sportowca wyczynowego Wojska Polskiego. Lider polskiej sztafety otrzymał od nich najwięcej punktów. Podobnego zdania była kapituła plebiscytu portalu polska-zbrojna.pl, która przyznała żołnierzowi tytuł sportowca roku.

Z werdyktem trenerów reprezentacji uczestniczących we współzawodnictwie w sporcie powszechnym na szczeblu Sił Zbrojnych RP, którzy wybrali najlepszego zawodnika tej rywalizacji, zgodni byli też czytelnicy portalu polska-zbrojna.pl oddający głosy na mistrza sportu powszechnego. Nagrody za zwycięstwo w głosowaniach odebrał kpt. Marcin Kołoszuk z 4 Pułku Przeciwlotniczego w Czerwieńsku.

Oficer w 2018 roku został uznany za najlepszego zawodnika mistrzostw Wojska Polskiego w pokonywaniu toru przeszkód ośrodka sprawności fizycznej (zdobył złote medale w biegu indywidualnym i drużynowym). Wywalczył też złoto w Mistrzostwach Wojska Polskiego w Pięcioboju Wojskowym w rywalizacji indywidualnej i srebro w Mistrzostwach Wojska Polskiego w Biegu Patrolowym w rywalizacji drużynowej.

Tymi medalami kapitan przyczynił się do ósmego z rzędu triumfu reprezentacji Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych 1 we współzawodnictwie w sporcie powszechnym w Wojsku Polskim. Oficer z jednostki w Czerwieńsku po raz drugi z rzędu wygrał też sportowy plebiscyt.

Nagrodę specjalną kapituła przyznała kpr. Jakubowi Tynce z Jednostki Wojskowej Agat w Gliwicach. Żołnierz wykazał się nadzwyczajnym hartem ducha i z naderwanym mięśniem dwugłowym ukończył wyścig kolarski w czasie ubiegłorocznych igrzysk Invictus Games.

Na Gali Sportu Wojskowego uhonorowano dziesiątki żołnierzy, ich dowódców i trenerów oraz działaczy i popularyzatorów sportu. Wśród nich było też pięcioro laureatów „Plebiscytu na najpopularniejszych sportowców Wojska Polskiego”, organizowanego od siedmiu lat przez redakcję portalu polska-zbrojna.pl. Wyróżnienia wręczył zwycięzcom Maciej Podczaski, dyrektor Wojskowego Instytutu Wydawniczego. Oprócz wspomnianych Krzewiny i Kołoszuka decyzją kapituły plebiscytu laureatami zostali: Tadeusz Rutkowski, Helena Wiśniewska i kpr. Jakub Tynka.

Rutkowskiego, szkoleniowca na co dzień pracującego w Wojskowym Klubie Sportowym „Grunwald”, kapituła okrzyknęła trenerem roku. Od roku 1988 trenował on w Poznaniu biegaczy na orientację. Jego największym marzeniem jest doprowadzenie podopiecznego do medalu mistrzostw świata w kategorii seniorów. „Mam nadzieję, że ten sukces odniesie Aleksandra Hornik”, stwierdził. „Zawsze pracowałem w cieniu, w drugim szeregu. Dziękuję kapitule, że doceniła moją pracę. Tym bardziej że trenuję zawodników w dyscyplinie sportu, która nie jest olimpijska”, dodał szkoleniowiec.

Helena Wiśniewska została z kolei nadzieją sportu wojskowego. Utalentowana kajakarka z Cywilno-Wojskowego Związku Sportowego „Zawisza” w 2018 roku na mistrzostwach świata seniorów wywalczyła brązowy medal w konkurencji olimpijskiej K-4 500 m. Z kolei nagrodę specjalną kapituła przyznała kpr. Jakubowi Tynce z Jednostki Wojskowej Agat w Gliwicach. Podoficera doceniono za walkę w ubiegłorocznych igrzyskach Invictus Games, które odbyły się w Australii. Żołnierz wykazał się nadzwyczajnym hartem ducha i z naderwanym mięśniem dwugłowym ukończył wyścig kolarski, a potem wziął jeszcze udział w zawodach pływackich na dystansie 50 m stylem dowolnym. ■

KSIĄŻKA

Bolesna lekcja

Grzegorz Kaliciak przypomina misję, która powoli zaciera się w naszej pamięci.

Na Bałkany st. szer. Tomasz Nehring trafił trochę z zaskoczenia. Owszem przygotowywał się do misji, tyle że w Kambodży. Tymczasem w lutym 1993 roku znalazł się w bazie Slunj w Chorwacji. Bogatym doświadczeniem wówczas nie mógł się pochwalić – jak twierdzi, saperskiej roboty w praktyce uczył się na miejscu. Dla niego i wielu innych to był nie tylko przyspieszony kurs rozminowania, lecz także dojrzałości. Wielu żołnierzy tego nie wytrzymywało i odsyłano ich do domu przed zakończeniem zmiany. On sobie poradził, ale ta misja go odmieniła. Inaczej spojrzał na świat, ludzi.

Nehring to jeden z bohaterów książki „Bałkany. Raport z polskich misji” płk. Grzegorza Kaliciaka, który dowodził obroną City Hall w Karbali, a teraz jest dowódcą 6 Mazowieckiej Brygady Obrony Terytorialnej. Zdobył też uznanie jako autor książek m.in. o operacjach w Iraku i Afganistanie. Przelewając swoje doświadczenia na papier, jak wielokrotnie podkreślał, chce pokazać przeciętnemu czytelnikowi, z czym na misjach muszą się mierzyć polscy żołnierze, w jaki sposób zmieniają one ich życie. Teraz pod lupę wziął operacje na Bałkanach, a szczególnie ich trudne początki. Niewiele się mówi o tych misjach, a jeżeli już, to w kontekście zadań, które Polacy wykonują tam w ostatnich latach. Ta książka opowiada zaś o tym, jak młodych, niedoświadczonych żołnierzy przerzucono w region, przez który przetoczył się kataklizm wojny. Na miejscu zobaczyli spalone, opuszczone domy, sponiewieranych ludzi. Zastali dojmującą pustkę i ciszę, która wisiała w powietrzu, niczym zapowiedź kolejnego dramatu. Nie radzili sobie z tym. Nie znali kontekstu strategicznego, nie mieli dystansu, nie było też pod ręką psychologa, jedynie wsparcie „doktora z Finlandii”.

Płk Grzegorz Kaliciak pokazał bałkański kocioł, do którego trafili polscy żołnierze w 1992 roku. Oddał głos uczestnikom misji na Bałkanach, ale też wdowie po kpt. Witoldzie Kowalczyku, który zginął wówczas podczas rozminowywania drogi. Te opowieści pokazują, że od doświadczeń tych ludzi rozpoczął się proces, który zmieniał polskie wojsko, choć opornie i stopniowo. Bałkany to była jedna z serii takich bolesnych lekcji. ■

ANETA WIŚNIEWSKA

Grzegorz Kaliciak, „Bałkany. Raport z polskich misji”, Czarne, 2019.

ANDRZEJ FĄFARA

Utwór nie do tańca

W bardzo dawnych czasach, gdy już dostałem etat dziennikarski i moja sytuacja materialna diametralnie się poprawiła, zaglądałem dość często do swojskiej knajpy „Sielanka", znajdującej się na rogu Czerniakowskiej i Gagarina. Kapela tam przygrywająca krótko po północy zawsze wykonywała „Czerwone maki na Monte Cassino". Szef orkiestry stanowczo zaznaczał, że jest to utwór nie do tańca. W tym momencie wszystkie pary karnie schodziły z parkietu i uczucia patriotyczne były przeżywane w intymności, czyli przy stolikach.

Z okazji przypadającej w połowie maja 75. rocznicy słynnej bitwy warto przypomnieć historię tego wielkiego patriotycznego hitu. Skomponował „Czerwone maki" Alfred Schütz, a słowa napisał Feliks Konarski. Obaj twórcy znajdowali się blisko centrum wydarzeń, gdyż wchodzili w skład dość licznej grupy artystów działających przy 2 Korpusie Polskim. W bitwie nie uczestniczyli, ale można powiedzieć, że mieli dokładną wiedzę na temat tego, co się wtedy działo.

Historia powstania pieśni brzmi bajkowo, ale może rzeczywiście tak było. Otóż w noc poprzedzającą zdobycie Monte Cassino Konarski usłyszał odgłosy ostrzału artyleryjskiego i to go zainspirowało do napisania dwóch zwrotek wiersza. Obudził Schütza i namówił go do skomponowania muzyki. Gdy polski szturm na niemieckie pozycje zakończył się zwycięstwem, tego samego dnia, 18 maja, odbyła się uroczystość, podczas której doszło do pierwszego wykonania „Czerwonych maków". Interpretatorem był aktor Gwidon Borucki, również żołnierz 2 Korpusu.

Najciekawsze wydają się najnowsze losy „Czerwonych maków na Monte Cassino". Kompozytor Alfred Schütz osiadł po wojnie w Brazylii, skąd przeniósł się do Monachium. Tam w 1999 roku zmarł. Pięć lat później zakończyła życie jego żona. Ponieważ Schützowie nie mieli dzieci, prawa autorskie do jednej z najsłynniejszych polskich pieśni patriotycznych przejęła niemiecka agencja mieszcząca się w stolicy Bawarii. Trudno o większą ironię losu.

Polska oczywiście intensywnie starała się o przejęcie praw autorskich do „Czerwonych maków". Niemcy niby nie robili przeszkód, ale i tak sprawa ciągnęła się strasznie długo. Starania były prowadzone przez kolejne rządy, więc ostateczny sukces (15 września 2015 roku) można by nazwać zbiorowym.

W dawnych czasach, gdy odwiedzałem „Sielankę", autorzy „Czerwonych maków" cieszyli się jeszcze dobrym zdrowiem, ale nikt wtedy nie przejmował się czymś takim jak prawa autorskie. Schütz i Konarski nie zarobili więc ani grosza na knajpianej popularności swojego utworu. Z biegiem lat problem zniknął całkowicie i bezpowrotnie. Kultowa „Sielanka" na rogu Czerniakowskiej i Gagarina przestała po prostu istnieć. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych. Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

JAKIE KONSEKWENCJE MANDATU?

Za zgodą dowódcy wykonuję dodatkową pracę, jaką jest transport osób. Co się stanie, jeśli zostanę złapany przez policję lub inspekcję transportu drogowego, nie przyjmę mandatu i sprawa zostanie skierowana do sądu? Jakie konsekwencje to niesie? Czy staję się osobą karaną? Czy jest to podstawa do odebrania mi poświadczenia bezpieczeństwa? Czy mogę zostać zwolniony z armii?

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90, poz. 593 z późn. zm.) – art. 56 ust. 4 pkt 3; ustawa o ochronie informacji niejawnych z 5 sierpnia 2010 roku (DzU nr 182, poz. 1228), tekst jednolity z 9 lutego 2018 roku (DzU 2018, poz. 412) – art. 22 ust. 1, art. 24 ust. 2 pkt 2).

➔ **Żołnierz to zawód zaufania publicznego. W sytuacji, gdy żołnierz zostanie ukarany wyrokiem sądu, może się liczyć z tym, że w stosunku do niego zostanie wszczęte postępowanie sprawdzające, mające na celu „potwierdzenie" poświadczenia bezpieczeństwa.** Obecne regulacje prawne nie dają możliwości pozostawienia w służbie żołnierza zawodowego, który nie legitymuje się takim poświadczeniem. W praktyce raczej fakt ukarania za przewinienie drogowe nie staje się podstawą do wszczęcia postępowania sprawdzającego, o ile żołnierz nie prowadził pojazdu pod wpływem alkoholu. W takiej sytuacji może zaistnieć wątpliwość, czy nie jest on uzależniony od alkoholu. Istnieje zagrożenie, że osoba uzależniona może być podatna na działania obcych służb specjalnych, które chciałyby ją zwerbować, lub bardziej skłonna do nawiązania kontaktu z tymi służbami.

Jeżeli nawet pełnomocnik ds. ochrony informacji niejawnych w jednostce wojskowej nie cofnie żołnierzowi poświadczenia bezpieczeństwa, to nadal musi się on liczyć z tym, że dowódca jednostki może w każdym momencie cofnąć zgodę na dodatkową pracę. Zgodnie z przepisami ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych dowódca jednostki, w której żołnierz zawodowy zajmuje stanowisko służbowe, może zezwolić żołnierzowi na wykonywanie pracy zarobkowej lub prowadzenie działalności tylko wtedy, gdy nie narusza ona prestiżu żołnierza zawodowego.

Reasumując, korzystniejsze z punktu widzenia interesu prawnego i faktycznego zainteresowanego jest przyjęcie mandatu. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI,
Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej" mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

NADGODZINY

Podstawa prawna: rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku (DzU nr 122, poz. 786 z późn. zm.) – § 8 ust. 1–3.

Jestem starszym kapralem i zajmuję stanowisko w zespole ewakuacji medycznej. Okrojony skład zespołu oraz duża liczba zabezpieczeń medycznych i zajęć generują sporo nadgodzin. Czy nadgodziny z 2018 roku przechodzą na rok obecny, czy przepadają? Proszę o podanie podstawy prawnej.

➔ **Brak jest możliwości odbioru nadgodzin.** Zgodnie z rozporządzeniem ministra obrony narodowej w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2008 roku (…) żołnierzowi, który w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym z uzasadnionych względów służbowych lub osobistych nie wykorzystał przysługującego mu czasu wolnego w wymiarze, o którym mowa w ust. 1, udziela się czasu wolnego w tym samym wymiarze nie później niż w następnym okresie rozliczeniowym. Co do zasady zatem żołnierzowi, który na polecenie dowódcy jednostki wojskowej lub osoby upoważnionej przez tego dowódcę wykonywał zadania służbowe w wymiarze przekraczającym w danym tygodniu czas służby, udziela się czasu wolnego w tym samym wymiarze czasowym. Udzielenie wolnego powinno nastąpić w najbliższym tygodniu, nie później jednak niż w ciągu czteromiesięcznego okresu rozliczeniowego. W opisywanym przypadku zainteresowany powinien każdorazowo zwrócić się drogą służbową do dowódcy jednostki wojskowej z raportem informującym o zaistniałej sytuacji oraz wnosić o umożliwienie wykorzystania zaległych nadgodzin. Tylko w ten sposób będzie mógł wpływać na realizację swojego prawa. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI,
Kancelaria Radcy Prawnego Egida

CZY NALEŻY SIĘ GRATYFIKACJA URLOPOWA?

Jestem po rozwodzie (2019 rok), mam troje dzieci, na które płacę alimenty. Dzieci mieszkają z żoną, ale ja widuję się z nimi regularnie i biorę czynny udział w ich wychowaniu. Czy w takiej sytuacji będzie mi przysługiwała wypłacana w tym roku gratyfikacja urlopowa na dzieci?

➔ **Gratyfikacja urlopowa na dzieci nie będzie przysługiwać.** Zgodnie z ustawą o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych przy ustalaniu wysokości gratyfikacji urlopowej uwzględnia się również małżonka, a także dzieci pozostające na utrzymaniu żołnierza zawodowego. Szczegółowe regulacje dotyczące sposobu naliczenia tego świadczenia określa rozporządzenie MON w sprawie gratyfikacji urlopowej żołnierzy zawodowych (…). Jest w nim mowa jest o tym, że liczbę osób uwzględnianych przy ustalaniu gratyfikacji urlopowej określa się na podstawie oświadczenia zawartego we wniosku, według stanu rodzinnego żołnierza w dniu złożenia wniosku. W tej konkretnej sytuacji gratyfikacja urlopowa na dzieci nie będzie przysługiwać, ponieważ nie tworzycie państwo rodziny w świetle prawa. Co istotne – dzieci pozostają na utrzymaniu byłej małżonki, a pan partycypuje jedynie w kosztach ich utrzymania poprzez zapłatę na ich rzecz zasądzonych alimentów. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI,
Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawa prawna: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90, poz. 593 z późn. zm.) – art. 87 ust. 1–6; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie gratyfikacji urlopowej żołnierzy zawodowych z 18 marca 2014 roku (DzU 2014, poz. 411) – § 3.

WOKANDA

Sąd opowiedział się za żołnierzem

Czy w każdej sytuacji żołnierz zawodowy musi zostać poddany corocznemu opiniowaniu służbowemu?

Sprawa dotyczyła żołnierza zawodowego, który wniósł skargę na decyzję ministra obrony narodowej dotyczącą zwolnienia z zawodowej służby wojskowej – z powodu otrzymania dostatecznej ogólnej oceny w opinii służbowej (art. 112 ust. 1 pkt 4 ustawy o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych) – i przeniesienia do rezerwy. Ocenę dostateczną otrzymał z powodu przebywania w opiniowanym okresie na zwolnieniu lekarskim.

Przepis art. 26 ust. 1 cytowanej ustawy stanowi, że żołnierz zawodowy zostaje poddany corocznemu opiniowaniu służbowemu. Kwestię powyższą regulują szczegółowo przepisy rozporządzenia MON w sprawie opiniowania służbowego żołnierzy zawodowych (…). Zgodnie z zapisami § 2 pkt 1 opiniowaniem służbowym obejmuje się żołnierza zawodowego, który do 15 sierpnia danego roku przez co najmniej sześć miesięcy wykonywał obowiązki na stanowisku służbowym.

Sprawę – jako pierwsza instancja – rozpoznawał Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie. Skład sędziowski doszedł do wniosku, że przebywanie żołnierza na długotrwałym zwolnieniu lekarskim nie uniemożliwia przeprowadzenia opiniowania służbowego. Z unormowań tego przepisu wynika, że jeśli do 15 sierpnia danego roku żołnierz pozostawał w służbie przez co najmniej sześć miesięcy, to sporządza się o nim opinię bez względu na to, że w badanym okresie żołnierz nie mógł wykonywać obowiązków z usprawiedliwionych przyczyn. Sąd pierwszej instancji podkreślił również, że ustawodawca nie przewidział żadnych wyjątków, które pozwalałyby na odstąpienie od opiniowania żołnierza w terminach określonych ustawowo.

Odmiennego zdania był Naczelny Sąd Administracyjny w Warszawie, który przyznał rację skarżącemu. Uznał on, że usprawiedliwiona nieobecność żołnierza zawodowego w okresie do 15 sierpnia danego roku oraz niewykonywanie przez niego obowiązków służbowych na zajmowanym stanowisku służbowym oznacza, że nie można wobec niego wszczynać i prowadzić procedury opiniowania. Ewentualnie wydaną w takiej sytuacji opinię służbową należy uznać za nieistniejącą, co z kolei prowadzi do wadliwości zwolnienia żołnierza ze służby na podstawie art. 112 ust. 1 pkt 4 ustawy. NSA w Warszawie zgodził się z argumentami pełnomocnika skarżącego, iż nie sposób jest oceniać przez przełożonego wykonywania obowiązków służbowych przez żołnierza zawodowego, skoro faktycznie ich nie wykonuje. Wskazano również, że istnieje różnica pojęciowa pomiędzy wyrażeniami „zajmować" a „wykonywać" obowiązki służbowe.

NSA nie zgodził się również z uzasadnieniem dotyczącym braku unormowania przez ustawodawcę sytuacji, w których żołnierz nie podlega corocznemu opiniowaniu. Zostały one wymienione w treści rozporządzenia, a za poprawnością takiego wywodu przemawia dodatkowo zapis przewidujący brak możliwości opiniowania żołnierza zawodowego, który do 15 sierpnia danego roku na co najmniej sześć miesięcy nie zostanie skierowany do wykonywania zadań służbowych, a obecnie pełniącego służbę w rezerwie kadrowej. Naczelny

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010 nr 90, poz. 593 z późn. zm.) – art. 26 ust. 1 i 5, art. 112 ust. 1 pkt 4; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie opiniowania służbowego żołnierzy zawodowych z 26 maja 2014 roku (DzU 2014, poz. 764) – § 2 pkt 1 i 2.

Sąd Administracyjny w Warszawie powołał się również na wytyczne Departamentu Kadr MON, zgodnie z którymi polecono jednostkom wojskowym wyłączenie spod opiniowania żołnierzy pozostających w rezerwie kadrowej i niewykonujących obowiązków służbowych, pozostających w dyspozycji, przebywających na urlopach związanych z rodzicielstwem oraz urlopie wychowawczym, a także skierowanych do pełnienia służby poza granicami państwa.

13 lutego 2019 roku Naczelny Sąd Administracyjny rozpatrzył skargę kasacyjną od wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 26 stycznia 2017 roku (sygn. akt II SA/Wa 1647/16). Ostatecznie uchylił zaskarżony wyrok oraz decyzję ministra obrony narodowej i poprzedzający ją rozkaz personalny dyrektora Departamentu Kadr MON. Wyrok jest prawomocny.

Powyższe stanowisko NSA w Warszawie stanowi wyłom w dotychczas prezentowanych stanowiskach sądów administracyjnych rozpoznających podobne sprawy. Zgodzić się jednak należy z tym, że zwolnienie żołnierza z zawodowej służby wojskowej za uzyskanie oceny dostatecznej z opiniowania służbowego tylko dlatego, iż przebywał na zwolnieniu lekarskim, jest naruszeniem art. 32 ust. 1 i 2 Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Wprowadza bowiem niedopuszczalne zróżnicowanie pozycji takiego żołnierza w stosunku do np. żołnierzy przebywających na urlopach związanych z rodzicielstwem oraz urlopie wychowawczym. W obu przypadkach nieobecność, i co się z tym wiąże niewykonywanie zadań służbowych przez żołnierza są usprawiedliwione, a podejmowana próba oceny wykonywania tychże zadań jest sprzeczna z dyspozycją art. 26 ust. 5 pkt 1 ustawy.

Wyrok NSA w Warszawie z 13 lutego 2019 roku, sygn. akt. I OSK 1351/17 – prawomocny. ■

Sprawę prowadziła Kancelaria Prawna Egida – ROBERT KŁOSIŃSKI.

Także: http://orzeczenia.nsa.gov.pl

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Pieniądze na zapomogi dla żołnierzy?

W tym roku MON przeznaczy na zapomogi dla żołnierzy zawodowych ponad 13 mln zł.

Pieniądze na pomoc dla żołnierzy, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji, wypłacane są z funduszu socjalnego MON-u. Jest on uruchamiany decyzją ministra obrony narodowej kilka razy w roku. Tym razem resort zaplanował wypłatę środków w dwóch transzach.

Pierwsza z nich, w wysokości 9 mln 600 tys. zł, trafiła już do jednostek. 6 mln 500 tys. otrzymało Dowództwo Generalne RSZ, 230 tys. Dowództwo WOT, a 180 tys. Dowództwo Operacyjne RSZ. Inspektorat Informatyki ma z kolei do rozdysponowania dla potrzebujących 175 tys. zł. Pieniądze trafiły też do wojsk specjalnych. Jednostka Wojskowa Nil ma do podziału 120 tys. zł, GROM – 60 tys. zł, Formoza – 40 tys. zł, a Jednostka Wojskowa Komandosów – 80 tys. zł. W pierwszej transzy 355 tys. zł dostała też Żandarmeria Wojskowa, 20 tys. zł – Służba Kontrwywiadu Wojskowego, a o pięć tysięcy mniej – Służba Wywiadu Wojskowego.

Drugą transzę – w wysokości ponad 3,6 mln zł, MON planuje uruchomić w październiku. W sumie na ten rodzaj finansowego wsparcia resort obrony narodowej przeznaczy w tym roku 13 mln 287 tys. zł.

O zapomogę mogą się ubiegać żołnierze zawodowi wszystkich korpusów i rodzajów sił zbrojnych, których sytuacja materialna pogorszyła się na skutek zdarzeń losowych. Pieniądze mogą być przyznane w sytuacji, gdy żołnierz straci najbliższego członka rodziny, gdy jego dziecko poważnie zachoruje lub gdy dom ulegnie zniszczeniu w wyniku pożaru lub innej klęski żywiołowej. Wysokość zapomogi zależy m.in. od dochodów wojskowego i jego najbliższej rodziny oraz poniesionych wydatków w związku z zaistniałym zdarzeniem. Na finansową pomoc resortu mogą też liczyć członkowie rodziny po śmierci żołnierza. W tym przypadku zapomoga może zostać wypłacona, gdy np. wojskowy zaginie w związku z wykonywaniem zadań służbowych lub poniesie śmierć. PG ■

POLSKA-ZBROJNA.PL

PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU, TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH

ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

Spokój nieśmiertelnika

Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować pamięć o tych, którzy odeszli.

Pani Joannie Pałys
wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

Panu kmdr. ppor. Olgierdowi Wójcikowi
oraz Jego Bliskim
szczere kondolencje i wyrazy głębokiego
współczucia z powodu śmierci
Ojca
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Centrum Operacji Morskich –
Dowództwa Komponentu Morskiego w Gdyni.

Panu płk. Krzysztofowi Martowiczowi
wyrazy głębokiego współczucia
i solidarności w smutku z powodu śmierci
Ojca
składają kierownictwo, koleżanki i koledzy
z Ośrodka Monitorowania i Analiz MON.

Pani dr Marlenie Niemiec
wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci
Mamy
składają dziekan, kadra i pracownicy
Wydziału Zarządzania i Dowodzenia
Akademii Sztuki Wojennej w Warszawie.

Z wielkim żalem i smutkiem
przyjęliśmy wiadomość o śmierci
naszej Drogiej Koleżanki
Marty Mlenko.
Rodzinie
składamy szczere kondolencje
oraz wyrazy głębokiego współczucia.
Kadra i pracownicy Wojskowej Komedy Uzupełnień
w Białymstoku

Panu mjr. Damianowi Bytnerowi
wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci
Teściowej
składają dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
wraz z kadrą kierowniczą
oraz żołnierze i pracownicy resortu obrony narodowej
Zarządu Zasobów Osobowych J-1
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Łączymy się w bólu
z **Panią Ewą Dawidowicz**,
wieloletnią pracownicą Komendy Głównej
Żandarmerii Wojskowej,
i **Jej Najbliższymi**
po stracie
Męża,
byłego żołnierza Żandarmerii Wojskowej,
st. chor. sztab. rez. Zbigniewa Dawidowicza.

Pani Ewo, proszę przyjąć szczere kondolencje –
komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Panu ppłk. Bartłomiejowi Mejce
oraz **Jego Bliskim**
w tych trudnych chwilach wyrazy głębokiego
współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy RON
1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego w Świdwinie.

Szanownemu Panu
gen. bryg. pil. w st. spocz. Romanowi Harmozie
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci
Brata
składa dowódca generalny rodzajów sił zbrojnych
gen. broni Jarosław Mika.

Panu płk. Michałowi Komosińskiemu
wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Teścia
składają komendant, żołnierze i pracownicy
Centrum Wsparcia Systemów Dowodzenia
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu Maciejowi Krymerowi
wyrazy głębokiego współczcia
z powodu śmierci
Ojca
składają szef finansów IWspSZ
oraz kadra zawodowa i pracownicy wojska.

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Matki
Panu szer. Oskarowi Wiśniewskiemu
składają żołnierze i pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Panu ppłk. rez. Robertowi Majdeckiemu
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Mamy
składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

CENTRUM WETERANA DZIAŁAŃ POZA GRANICAMI PAŃSTWA

Pamiętamy

kpt. Sławomir Stróżak
8 maja 2004 roku
PKW Irak

st. szer. Józef Stępniak
19 maja 1975 roku
UNEF II Egipt

kpr. Wiktor Ciereszko
12 maja 1976 roku
UNEF II Egipt

st. szer. Tomasz Ługowski
21 maja 2000 roku
KFOR Kosowo

st. sierż. Kazimierz Boroch
7 maja 1997 roku
UNIFIL Liban

kpr. Zbigniew Grochowina
12 maja 1976 roku
UNEF II Egipt

st. chor. Andrzej Bakselerowicz
25 maja 1993 roku
UNTAC Kambodża

mł. chor. sztab. Marek Krajewski
8 maja 2004 roku
PKW Irak

st. chor. sztab. Aleksander Safon
19 maja 1975 roku
UNEF II Egipt

kpr. Tomasz Chmura
29 maja 1994 roku
UNDOF Syria

Panu płk. Robertowi Kowalskiemu
słowa wsparcia oraz wyrazy głębokiego żalu
i współczucia z powodu śmierci
Mamy
składają dyrekcja, pracownicy i żołnierze
Departamentu Administracyjnego MON.

Pani Małgorzacie Majdeckiej
oraz jej Najbliższym
wyrazy głębokiego współczucia i szczere kondolencje
z powodu śmierci
Teściowej
składają dowódca, żołnierze i pracownicy wojska
5 Lubuskiego Pułku Artylerii w Sulechowie.

Panu st. szer. Karolowi Gajkowi
oraz Jego Rodzinie
wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Mamy
składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Panu płk. Grzegorzowi Szmitowi
wyrazy współczucia i najszczersze kondolencje
z powodu śmierci
Ojca
składają szef, kadra i pracownicy Zarządu Kierowania
i Dowodzenia – P6 Sztabu Generalnego WP.

Wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
oraz wsparcia i otuchy
w trudnych chwilach, z powodu śmierci
Taty
Panu Pawłowi Słupińskiemu
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

„Człowiek odchodzi, pamięć pozostaje”.

Wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia
z powodu śmierci
Teściowej
przekazuję zastępcy dowódcy
8 Flotylli Obrony Wybrzeża
Panu kmdr. Zygmuntowi Białogłowskiemu
oraz Jego Najbliższym
w imieniu swoim oraz całego stanu osobowego
8 Flotylli Obrony Wybrzeża.
Dowódca kmdr Piotr Nieć

Wyrazy głębokiego współczucia oraz słowa wsparcia
z powodu śmierci
Taty
przekazuję oficerowi dowództwa
8 Flotylli Obrony Wybrzeża
Panu kmdr. ppor. Przemysławowi Jarząbkowi
oraz Jego Najbliższym
w imieniu swoim oraz całego stanu osobowego
8 Flotylli Obrony Wybrzeża.
Dowódca kmdr Piotr Nieć

„Nie umiera ten, kto trwa w pamięci żywych…”.

Pani Agnieszce Kutkiewicz
wyrazy współczucia, szczere kondolencje
i słowa wsparcia
w trudnych chwilach z powodu śmierci
Taty
składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
45 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wędrzynie.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przesyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213, 261 845 230, 261 840 227

17 WIELKOPOLSKA BRYGADA ZMECHANIZOWANA

IM. GEN. BRONI JÓZEFA DOWBOR-MUŚNICKIEGO W MIĘDZYRZECZU

ZOSTAŃ ŻOŁNIERZEM

17

CZEKAMY NA CIEBIE
W KAŻDY WTOREK
O GODZ. 8.00

SŁUŻBA-PRZYGODA-PASJA

ul. Wojska Polskiego 17
66-300 Międzyrzecz

www.17wbz.wp.mil.pl

261-674-814 / 17WBZ
95-722-58-99 / WKU

SŁUŻYMY NIEPODLEGŁEJ

GWARANT BEZPIECZEŃSTWA

ROSOMAK BMS

PGZ

ROSOMAK BMS to budowany przez Konsorcjum PGZ mobilny, zautomatyzowany, sieciocentryczny system wsparcia dowodzenia i kierowania walką na szczeblu taktycznym Wojsk Lądowych SZ RP. To jedyny polski system klasy BMS, w którym zastosowano rozwiązania zgodne z najnowszymi standardami kryptograficznymi wdrażanymi w NATO, co umożliwi pełną interoperacyjność w sieciach NATO Secret. Konsorcjum ROSOMAK BMS jest gwarantem dostarczenia komplementarnego rozwiązania, zintegrowanego z KTO ROSOMAK, w pełni spełniającego wymagania współczesnego pola walki i bezpieczeństwa państwa.

Battle Management System